









**FELIKS BRODOWSKI**  
**DRZEWA**



**NAKŁAD JAKÓBA MORTKOWICZA**

**WARSZAWA 1907.**

<http://rcin.org.pl>



A. 20.

---

-60





# **DRZEWA**

AWINIO

FELIKS BRODOWSKI

# DRZEWA

NOWELE I MYŚLI

INSTYTUT  
BADAŃ I TERACHICZ PPAW  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-330 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

NAKŁAD JAKÓBA MORTKOWICZA.  
WARSZAWA: G. CENTNERSZWER I SKA.  
LWÓW: KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA.



350 -

**ODBITO W Drukarni Narodowej w Krakowie.**

**CZĘŚĆ I**

**NOWELE.**

**DRZEWA.  
CZYJAŻ ONA BYŁA!  
OBOK ZAULKA.  
PALUCHOWIE.  
HIERONIM RUDDER.**



## DRZEWA.

Spróbuję pisać o drzewach. Lepiej to będzie — bo gdy o ludziach zamierzę, nastreczają mi się sami biedni, a to nareszcie znuży niebiednych. Sądzę, że daleko większy krąg pocziwców i daleko silniej zainteresować się może opisem drzewa chorego i konającego na jałowym, zubożałym gruncie lub drzewa, któremu grozi przemoc silnej łapy, uzbrojonej w piłę lub topór, — niż opisem cierpień człowieka, wynikłych z bardzo podobnych powodów.

Więc niech motto brzmi:

— Budźmy spólczenie dla drzew!

### I.

Obawiam się, że i do drzew nie można dojść i o nich nic powiedzieć się nie da, nie napomknąwszy w pierw czegośkolwiek o ludziach biednych. To prawdziwe nieszczęście — czego nie tkniesz i dokąd się nie ruszysz, wszędzie potknąć się musisz o próg, niedający się ominąć, wstrętny, wytarty a mimo to najeżony drzazgami... biedy. I lubo tak wiele mam do powiedzenia o drzewach, które rosły do niedawna na skwerze (—dziś go już niema) i z wiosną rozpuszczały swe pąki, jednak w wstępie umieścić muszę uwagę, tyczącą się ludzi, którzy z wiosną — chłodną, jak zwykle u nas — przyglądali się puszczeniu pąków.

Po przejściu zimy biedak każdy — podobno, że bez wyjątku — przypomina swym wyglądem podróżnego, gdy ten z uciążliwej, długiej, w zawieje i mrozy odbytej drogi, powraca zziębnięty, utrudzony, zmietoszony, niepodobny do siebie i zaledwie mogąc przestawiać nogi sztywne, jak kawałki drewna pospajane zardzewiałymi zawiasami, odpina ciężką zimową odzież, w którą się zapakował, odpina ją niezręcznie, rękami zgrabiałemi, które posłuszeństwo mu wymawiają.

Drzewa.

Kiedy na skwerku — gdzie stróżował znajomy mój Anastazy — zaczynała podsychać ziemia; kiedy po drodze, okrążającej wielki, owalny trawnik, dotąd czarnej jeszcze i błotnistej, dawały się widzieć smugi szare, na których obuwie przechodnia już tylko ledwie widoczne zostawiało ślady; kiedy na siedzeniu ławek nie błyszczała woda z tającego śniegu, brudnego i pomieszanego z liśćmi; kiedy i przejść drogą nie grzęznąć i spocząć na ławce, nie walając odzieży, stawało się możliwym — więc czasem w końcu marca, czasem w końcu kwietnia, tu właśnie, na skwerku można było uczynić powyższe spostrzeżenie co do biedaków.

Wszyscy — kogo zwabiło słońce chłodno-błede, dosięgające skweru z ponad sąsiednich nie zbyt wysokich oficyn, kogo zważył podsychający, szary trawnik i świeżo obeschnięte ławki, a byli to wyłącznie biedni ludzie z tych stron miasta — wszyscy oni sprawiali szczególne wrażenie.

Przysiągłbyś, że widzisz powrót z długiej, zawiejnej drogi ludzi wymiętoszonych wśród wielu niewygód, zmęczonych do tego stopnia, iż popadli w odrętwienie, z którego z trudnością ocucić się usiłują. Było widoczne, jak to ciężko im przychodzi rozpakować się, pozrzucić z siebie — nie odzież zimową, lecz narosłą na nich przez zimę warstwę gniotących i utrudzających ciała i duszę wrażeń. Stanowczo — miałeś tu przed sobą osoby — czemużby biedaka nie nazwać osobą — do których najniewłaściwszą rzeczą byłoby zwrócić się z zapytaniem: Jak pan spędził karnawał?

Drzewa swobodnie i zapewne radośnie, mimo chłodu, wypuszczały już swe pąki, w duszach zaś tych ludzi był jeszcze zupełny mróz i daremnieby szukać w nich kiełków ożywienia i radości. Na wszystkich jedno piętno — zastygnięcia zimowego. Na kogoś nie spojrział — twarz skrzywiona lub zastygła, schorowana lub ospała. Ile tu wtedy widziało się głów w futerałach z chust, szalików, bandażyków i waty na obrzękłych, zielonkawych policzkach, ile postaci skurczonych i jeszcze dźwigających całe sterty



ubrania, które napchano jedno na drugie, jakby był tegi mróz! A chłodu już nie było i powiewał ciepławy wietrzyk. — Lecz im zimno, oni trzęsą się, oni jeszcze nie przestali czuć na sobie lodowego jarzma zimy — —

To jej niewolnicy. Nigdy odrazu nie są zdolni uwierzyć, że słońce już zdaża z okupem za nich. Potrzeba czasu, by mogli się oswoić i odczuć łagodną pieszczotę ciepłego wietrzyka.

A posłuchać było rozmów...

Słowa jakoś niechętnie padały, nic się rwała. Jeśli na ławce spotkali się znajomi i zaczęli rozmawiać, to napewno tylko o minionych utrapieniach zimy. Ten sam chorował, temu żona, temu — dzieci; temu ktoś umarł; ten błąkał się pół zimy bez roboty. Zwłaszcza u kobiet świeżą była i trudną do zagojenia pamięć wszystkich przykrości; mieszkanie było zimne — ani sposób się dopalić — dzieci się zaziębiały — jedno, drugie, wszystkie po kolei. I słyszało się wciąż nazwy chorób. Mówiono o lecznicach, o tanich poradach, niezawodnych środkach, o dobrych bezinteresownych i niedobrych lekarzach, o szpitalu, o pogrzebach; przebierano całą koronkę przykrych, smutnych lub ponurych rzeczy. Być może, że oni teraz, gdy cieplej, dopływają do jakiegoś brzegu, ale przeprawa była tak ciężką — niełatwo jej zapomnieć; być może — że bieda ich się kończy, ale cień jej ciągnie się jeszcze i zasłania im weselsze rzeczy.

A dzieci — —

— Bawcie się, — mówi kobieta do kilkorga drobiazgu, który obsiadł ją z jednej i drugiej strony.

— Bawmy się — powtarza cienki głosik którego z nich.

I żadne się nie rusza, tylko mocniej stulają się jedne do drugich i do matki, a to, które powiedziało; — bawmy się, zaciska w rękę róg matczynej chustki i zasuwa pod nią swe kolanka.

Już obeschła droga, po której nic przyjemniejszego, niż gonić się wokoło trawnika, pełno na niej tych kamyczków, któ-

remi bawiły się zeszłego roku, i już wcale nie zimno — one jednak nie mogą się rozruszać.

— Bawmy się — znów się odzywa któreś, ale zaraz zwięsza na bok główkę i smutno patrzy podsiniałemi oczkami a ławki opuścić nie myśli.

Trudno im się ożywić; cóż dziwnego — to takie maleństwa, brzemię zimy zaś tak ciężkie.

## II.

Nawet młodego marcowego słońca, gdy dopiero wygląda przez szczelinę przymkniętych drzwi zimowej komory, nie pomówiłbym o stronność; wtedy to tylko powiedzieć można, że ono jest niepewne, czy wolno mu już świecić jaśniej i grzać, czy nie jeszcze, lecz kiedy odważy się na uśmiech — wbrew może instrukcyi i przepisom policyjnym wszechświata — to, jak u starego słońca, jest ten uśmiech jednak dla wszystkich i nie zna większej lub mniejszej miary życzliwości. Zatem nie idzie, aby między nami nie miało być różnic w ochoczości, z jaką je witamy — to chłodno-blade słońce. Może się znaleźć ktoś najskwapliwszy. Każda odrębna gromada ludzka może mieć takiego przodownika. Tej, która odwiedzała skwerek, przodował stary żyd.

Zjawiał się na skwerze wtedy, kiedy zima ledwie, ledwie schodzić zaczynała i nikt jeszcze ani myślał używać tu wywczasu.

Nie był podobny nic a nic do jaskółki, z urzędu podobno mającej zwiastować wiosnę, jednak pozwalał sobie to czynić. Ale nie więcej. Rzeczywiście tylko oznajmiał nadejście cieplejszej pory, ukazywał się na zupełnie pustym skwerze raz lub dwa razy i później znów go oko niczyje nie oglądało do końca następnej zimy.

Widzę tego starego brodacza... Idzie — wypatruje najbardziej na słońce wystawionej ławki — staje przy niej, liście, wodę, grudki śmiecia strząsa końcem swej kapoty. Jej niema już czego

oszczędzać — cała w dziurach, które po wyrudziałym wierzchu rozpełzły się na podobieństwo wstrętnej choroby, wrzodów i ran, z dobywającymi się przez nie kłakami brudnej i cuchnącej gnojnej waty. Siadając spogląda sobie pod nogi, chciałby je umieścić w suchszym miejscu, ale grunt obsechł tylko środkiem drogi, tu zaś w koło ławki grząskie błoto. W nim muszą tkwić niekształtne, rozpęczniałe, w wykoszlawionych butach, do klocków podobne nogi jego, które noszą go jeszcze po świecie.

Za to całą twarz ma wystawioną na słońce — prawdziwe, rzetelne, nieodbite od ścian podwórzowych, nie przełamujące się w brudnej szybce, najczystsze, najprawdziwsze słońce, które patrzy wprost z przestworzy i widzi go całego. — Czy cieszy się on? Skądże? — zasypia zaraz.

Łapa zimy ciąży na nim, trzyma go. Tamci, którzy tu po nim przyjdą, może otrząsną się, ale on — nie. On już nie zrzuci tego brzemienia, nie rozepnie swej zimowej odzieży, nie wyzwoli duszy z lodowego uścisku. Kto tak krótko widuje słońce... Raz, dwa razy na rok... To za mało, i dlatego cały schyłek jego życia musi być zapewne jedną zimą nieprzerwaną, w milczeniu i zastygłe idącą ku godzinie, kiedy podjedzie wóz czarny, wóz śmierci.

Ale przez jedną chwilę, jednego dnia w roku, on to był tutaj zwiastunem dobrej wieści. Drzewom — liście, ptakom — lot w ciepłym przestworzu, niebu bezchmurną krasę, ludziom młodszym od niego i choć trochę lepiej ubranym od niego i choć trochę mniej przygniecionym brzemieniem zimy — wyzwolenie wiosenne z zielenią tego skweru, dobrym, czystym powietrzem i prawdziwym słońcem — zwiastował stary żyd, najwcześniej pojawiający się na skwerze, w cuchnącej swej, pognoionej ka-pocie.

I zapewne nie dlatego tu przychodził, by samemu się czymś nacieszyć, lecz by dać świadectwo jakiejś prawdzie zapoznawanej, a wstydem okryć niesprawiedliwość uznaną.

## III.

Niepowabnego stróża miały te drzewa. Anastazy był to drobny człowieczek z twarzą kościstą, zczerniałą, złą, w gniewie zaś, którym łatwo się zapalał — nabierającą strasznej, bronzowej barwy. Oczy wpadnięte szklily mu się niedobrym blaskiem; niekiedy tryskały z nich promienie — rzeczyby można — jadowite, które przesywały was nawskroś, jak szpilki długie i piekielnie ostre. Miał pierś wklęsłą a poniżej tylko miejsce na brzuch, który mu się gdzieś zapadł; idąc machał długimi rękami; chód wyrobił sobie szczególny, tupiący, jakby zamiast stóp miał kijanki płaskie, szerokie, ciężkie, którymi z całej siły walił o ziemię...

Drobny, z pociemniałą twarzą i zjadliwymi oczami człowieczek miał wielu wrogów.

Jak każdy, kto coś silnie kocha,

Nie ma się o co spierać — rzeczywiście tak jest, iż cobądź się kocha — ideę czy człowieka czy chociażby psa tylko lub drzewo — wrogiem musi się stać każdy, kto godzi na ukochanie nasze, kto je krzywdzi, kto coś złego wyrządzić usiłuje naszej idei, czy naszemu człowiekowi, czy nareszcie psu tylko lub drzewu. Pomieszałem tu różne rzeczy nie bez powodu; w kręgu ich niewątpliwie mieściła się cała charakterystyka stróża drzew. Zrozumieć stosunek jego do drzew, psów, ludzi — znaczyłoby przejrzeć prawie do dna głąb jego duszy. A idea — byłaż i idea w nim? Tak, to najważniejsze, ale stosunek do idei trudno jest określić, gdy nie dość się skryształizowała. Częstki jej, z których powstałby kryształ przy sprzyjających warunkach, można było wyczuć właśnie w stosunku drobnego człowieka do innych istot, ale całość jakoś się nie składała. Całości idei, nie mogącej się w nim skupić w kryształ, można się było domyślać, przeczuwać ją, lecz domysły i przeczucia nikogo nie interesują.

Co do miłości — jest jeszcze jeden powód, dla którego przysparza wrogów. Zawsze jesteśmy skłonni mniemać, iż daje ona

wyjątkowe przywileje, że rzecz kochana, dla tego tylko, iż kochana, jest już naszą i sprawowanie nad nią opieki powinno wyłącznie do nas należyć. Ten podszept miłości, rzadko kiedy słuszny, zawsze bywa niebezpieczny i nie ma na celu jednania nam przyjaciół.

Ani jedno źdźbło trawy na skwerze nie było własnością Anastazego. A jednak — gdy z olbrzymim, półtora razy dłuższym od siebie samego trzonkiem miotły ganiał psy, które, nim skłoniły się ostatecznie do ucieczki, zmuszały go kilka razy obiegać wkoło trawnika — czyż nie darł się wtedy:

— Wara, podłe kundle, wara od *mojej* trawy.

Jakaś stara przyjaciółka tych zwierząt przyprowadzała swą psinę na sznurku. Anastazy nie ufał temu środkowi. Stawał pod drzewem, nawprost zagrożonej pozycji i nie spuszczał z niej oka. Małe zwierzę zaniepokojone świdrującym je wzrokiem, poczynało targać się na sznurku i szczekać z uniesieniem tym większym, im straszliwsze stawały się oczy stróża.

Nareszcie ujadanie przechodziło w skowyt, płacz i wycie; pies chował się pod ławkę; starając się zapomnieć o tej dziwnej hecy i rozerwać się, wkraczał stamtąd na trawnik, o ile długość sznurka pozwalała. Anastazy czynił wtedy skok tygrysi, tupał straszliwie i wydobywał z gardła gruby, chrapliwy, niesłychanie przykry głos, w skutek którego psina wzruszona i ostatecznie zgnębiona szukała ucieczki na kolanach swej opiekunki.

Są dowody, iż to nie był zbytek gorliwości służbowej i również — nie nienawiść; widziano go, jak psom bezdomnym dawał wędlinę. Na ulicy — nigdy tutaj. Tutaj żyła trawa, którą urażały nieogłędne psie skoki i harce.

— Moja trawa, moje drzewa.

To nie były czcze słowa, bo poza niemi tkwiło istotnie czucie czegoś, co odpowiadało ich brzmieniu. Nic tu właściwie nie było jego, ale istniały uczuciowe więzy, z których to skłonni jesteście wysnuwać prawa urojone.

Szesnaście lat stróżowania przy skwerze był to wprawdzie ładny kawałek czasu, lecz czas i przyzwyczajenie nie tłumaczyły dostatecznie uczucia stróża. Dłuższe okresy, niekiedy życie całe spędzają ludzie w pobliżu drzew swego ogrodu lub lasu, są świadkami podrastania, dojrzałości, śmierci ich, przyzwyczajają się do nich, lubią je, dbają o nie — a jednak nie wytwarzają sobie cierpienia z powodu zdeptanej trawy lub złamanej gałązki. Ludzie są ludźmi, drzewa drzewami, to się rozumie i to się czuje. Otóż właśnie Anastazy różnicy owej nie wyczuwał jako czegoś znów tak bardzo wielkiego. A był to objaw tak niezwykajny, iż czas przestawiania z drzewami nie dość go usprawiedliwiał.

Daleko wyraźniej tłumaczyło ten stan rzeczy osamotnienie.

Był to biedny, zupełnie samotny człowiek, bez rodziny, nie znający radości ojcostwa. Może nieurodność, szpetne jego oblicze odstręczało go od szukania kobiety, któraby go obdarzyła tą radością. Za młodu jednak mógł nie być tak brzydki, wreszcie, czyż — mężczyzna — byle, jak mówią, urodą przewyższał szatana — nie znajdzie zawsze istoty, gotowej zostać matką jego dzieci? — więc może były jeszcze i inne powody. Mniejsza jednak o to, dlaczego się nie ożenił, dość, iż nie miał nikogo, był sam, a to jest straszny stan, mogący zrodzić dziwne, niezwykle uczucia.

Dziwną zaś była nie tylko moc jego kochania, lecz i sposób, w jaki się przejawiało. Nie miało ono nic wspólnego z zamiłowaniem, jakie dostrzega się u ogrodników, rolników, wszystkich, kto hoduje rośliny, wytwarza nowe odmiany, dopomaga żyć roślinom, upiększa je, wtrąca się do ich życia, nagina je do swego widzimisię i za uległość obdarza je mniejszą lub większą życzliwością.

Miłość stróża znała tylko jeden nakaz —

Nie przeszkadzać żyć roślinom, żyć w kupie, jak chcą i mogą.

Nie przeszkadzając sam, nie pozwalał i innym. Ta obrona roślin przed wtrącaniem się do nich była — według niego — jedynie dozwolonym, bo najdelikatniejszym wtrąceniem się w ich życie.

Stąd bardzo naturalnie — zatargi z psami i ludźmi.

## IV.

Skwer miał wygląd mniej niż skromny. Co tam było? Trawnik, dość ładny, bo dzięki zasadzie Anastazego nabierał latem podobieństwa do łąki o soczystej trawie i mnóstwie kwiatków, — w okrag jego, po linii koła, jakby cyrklem zakreślonego, kasztany sztywno, symetrycznie, w jednakowej od siebie odległości porostawiane, koronami swemi splecione w wieniec aż niemile prawidłowy, — w narożnikach placu trochę innych drzew, kilka akacyi, jedna mająca bardzo oryginalnie skręcone i pokurczone konary — jeszcze topola zwykła, nadwiślańska, drzewo rozrosłe, wielkie, pozbawione wdzięku, jakby z wyczerpaniem trzymające pod kątem prostym jedno ze swych ciężkich ramion — jeszcze parę młodych klonów — i zresztą nic więcej.

Z dwu stron ciągnęły się budynki jednopiętrowe, szaro-czerwonej barwy; z trzeciej gładka, ślepa, boczna ściana jakiejś kamieniczki; wreszcie od ulicy — sztachety żelazne. Budynki czerwone były skrzydłami gmachu, należącego do instytucyi finansowej. Jej własnością był również plac ten, nieprocentujący od lat kilkudziesięciu i obrócony na skwer, dostępny dla przechodnia. Szereg okien i długi balkon pierwszego piętra w jednym z skrzydeł należały do mieszkania dyrektora.

Publiczność, zbierająca się na skwerku, widywała dyrektora czasem w jednym z okien — było to okno gabinetu — a czasem gdy siadał do karety. Każdy wyjazd jego był wypadkiem, budzącym tutaj wiele zajęcia.

Poczynano się gapić od chwili, gdy jakiś człowiek otwierał obie połowy bramy wozowni, która mieściła się w drugim skrzydle bocznym, gdy wytaczano karete lśniącą, mającą zawsze wygląd rzeczy nowiutkiej, tylko co wyjętej z pudła.

Potym uwaga przenosiła się na konie, piękne kare stworzenia, stąpające wytwornie, pełne taktu hamującego nadmiar sił żywnych; tylko lekkie drgania mięśni i skóry ujawniały rozpierającą je rzeźkość i fantazję. Niewątpliwie ta para stworzeń

cenila owies i wywczasy, lecz zarazem znać było na nich kulturę wychowania, które nie pozwala zbyt chętnie się z swego dostatniego życia, zdrowia i siły, by nikogo nie zawstydzić, nikogo nie upokarzać.

Ukazywał się stangret — słuszny mężczyzna w sile wieku, o regularnych rysach, opięty a jednak z piersią ogromnie wydetą dzięki świetnemu krojowi liberyi; ramiona zadziwiająco proste, na głowie zgrabny kaszkiecik. Piękna powierzchowność tego człowieka, byle go przybrać w inny strój, mogłaby się wydać jeszcze lepiej we wnętrzu karety niż na jej koźle, taką miał pańską twarz, łaskawą, swobodnie uśmiechniętą; w ruchach jego znać było zupełnie to samo panowanie nad swoją siłą i werwą, jak u koni. Był bożyszczem dziewcząt na skwerze, nianiek i mamek; unosiły się, błyszczały, gorzały na jego widok; niektóre nie wstydzily się na cały głos wywoływać:

— Ależ to piękny chłop!

— No, chłop jak marzenie!

Największego pojęcia dosięgała uwaga z chwilą, gdy konie i kareta poczynały wolniutko okrążyć trawnik, po szerokiej drodze, między dwoma szeregami zajętych przez ludzi ławek. Konie wtedy nie stąpały, lecz tańczyły. Był to prześliczny taniec — powolny, z nogi na nogę, pełny rytmu, wdzięku i lekkości. Na ławkach mówiono sobie, że uczone szkapy, w cyrku, pod muzykę, i to niepotrafią tak iść, tak się ruszać. Tych koni zupełnie się nie lękano, dzieci nie rozbiegały się, nie umykały, zaledwie ustępowały z środka drogi nie przywoływane przez matki. Ufano zwierzętom i stangretowi. Odgadywano ducha wysokiej kultury, która nie pozwala na ordynaryjne potrącenie nikogo, nawet najpospolitszej istoty. — W cieniu kasztanowej alei, przetykanym złotem, słonecznymi krążkami, przesuwala się kareta, jak zjawisko, cichutko, prawie nie słycać było stąpania koni.

Naraz parę żywych, posuwistych ruchów i zatrzymują się one, jak wryte, u ganku, stanowiącego prywatne od skweru wyjście.



Nizki, pulchny, z ogoloną, białoróżową twarzą jegomość, odpowiadając na powitanie stangreta, uchyla cylindra. Wtedy widać przepyszną siwiznę jego włosów — czystą, matową, bez odcieni — siwiznę czupryny, którą utraciła tylko barwnik i zachowała całą swą młodzieńczą bujność.

I znów karetą cicho i wolno zatacza półkole, a z jej okna żywe, błyszczące oczy młodzieńczego staruszka spoglądają uprzejmie na gapiącą się dziatwę i wszystkich szarych, codziennych gości skweru, których nazywa dyrektor żartobliwie swemi gośćmi.

## V.

Skwer bywał często przedmiotem rozmów pomiędzy osobami, które z głębi wygodnych, skórą obitych foteli wyglądały przez okna dyrektorskiego gabinetu.

— Dyrektorze, — mówiono tutaj — towarzystwo wasze uprawia filantropję kosztowną i bardzo szczególną. Nie wyzyskujecie ogromnego placu w śródmieściu, wolicie żeby użytkowały z niego te ciemne postaci, które tak wyglądają, że — no, niemiłe byłoby spotkanie którego z nich na uboczu gdzieś, o zmroku.

Na twarz dyrektora przekradł się lekki uśmieszek.

— Tak, ani słowa, to nie są klienci, żaden z nich nie składa u nas swych kapitałów. I mimo to — cóż nam szkodzi, że tu przyjdą! Eleganckie parki miejskie zabrały sobie całą wytworną publiczność, a dla naszego skweru zostało trochę tych biedaków.

Oczywiście, nikt tego nie brał na serjo; towarzystwa finansowe nie ponoszą, Bogu dzięki, obowiązku dostarczania komukolwiek świeżego powietrza. Więc coś w tym jest.

—Dyrektorze, co w tym jest?

Różowy staruszek dla żartu bronił się jeszcze:

— Ależ nic w tym niema. Po prostu brak nam czasu do myślenia o takiej drobnostce.

Lecz naraz skupiał się i włożył w skórę człowieka, który —

niestety! — o wszystkim myśleć, pamiętać i wszystko przewidzieć musi i — potrafi.

— Jeśliście ciekawi... W tym jest rzecz bardzo prosta, Ot, ta kamieniczka a raczej szpetna barykada na końcu skweru. Tam-tędy przejdzie ulica. No — nie dziś i nie jutro; układy toczą się już Bóg wie od jak dawna. Otóż, kiedy ten plac pozyska dwa fronty, wtedy<sub>x</sub> — łaskawi — przyjdźcie zapytać o jego cenę.

— Twarde warunki postawicie dyrektorze?

— Bynajmniej. Żadnych nie postawimy, bo to nie będzie do sprzedania. Tylko wtedy zwali się rudere, w której obecnie dano mi mieszkanie, i...

— I wystawicie gmachy, które zostaną ozdobą miasta?

— To bardzo być może.

— Ale do tego czasu — skoro nie jest on blizki — możnaby poniósłszy pewne wkłady, urządzić z skweru prywatny dla was, dyrektorze, zaciszny i miły ogródek.

— O!

Skrzywił się z wyraźnym niesmakiem.

— O, dla mnie — to zbyt cenne.

Rzeczywiście, co za myśl. Ogródek dla człowieka, którego rodzina<sub>x</sub> co roku, spędza kilka miesięcy w jakiegokolwiek z najpiękniejszych stacyi letnich Europy, który w każdej chwili mógłby nabyć — gdyby chciał — posiadłość wiejską.

Za skwerem przemawiała jeszcze jedna okoliczność, o której gościom swym i zresztą w ogóle nikomu dyrektor nic nie mówił, bo tyczyła się jego wewnętrznego życia. Przyzwyczał się. I to nie tylko do samego skweru, lecz i do ludzi, którzy tam przesiadywali, może nawet głównie do nich, właśnie do takich, jakimi byli. Zmartwiłby się i pogniewał, gdyby którego południa zebrała się tam strojna publiczność z alei parkowych. Z pewnością wieczorem kazałby zamknąć skwer i więcej go nie otwierać.

Miał on dwa różne sposoby wyglądania ze swego okna. Czasem, wśród nawału myśli i interesów, jakieś drzewo lub grupa

ludzi, czyjaś łysa głowa wystawiona na chłód cienia, dziecko uśpione na rękę mamki, wózek popychany jej ręką, nędzna kołderka dziecinną rozpostarta na ławce, po której smugi słoneczne mijały się z cieniami — słowem, coś z tego stanowiło punkt mechanicznego zaczepienia jego wzroku. Patrzył — zdawało się, iż bardzo uważnie — a właściwie tylko zaczepił wzrok, który mu był wtedy niepotrzebny; unieruchomiwszy go, zyskiwał większą swobodę myśli, która pracowała bardzo daleko od tego, co było za oknem.

Czasem znów bywał zmęczony. Zastrzegł sobie krótką przerwę w przyjmowaniu interesantów i na jakiś kwadrans, lub tylko kilka minut, starał się wypłoszyć z głowy wszelkie myśli; szedł do okna i wtedy jakaś cząstka jego duszy żyła w powiązaniu z życiem skweru i tamtych ludzi.

Bardzo go wtedy zajmowali. Poznawał starych bywalców, przypominał sobie dzieci, które widywał już zeszłego roku, uważał na ruchy ludzi spacerujących, na ich zachowanie się; chwycił słowa rozmów, interesował się przebiegiem jakiejś sprzeczki lub zalotami strażaka do ładnej mamki; uśmiechał się na widok pościgu Anastazego za psami; prawie uczestniczył w zabawach dzieci, krzykliwych i ordynarnych. A czasem nie mógł oderwać oczu od jakiej dziwacznej figury, wyjętej z zatechłej galerji biedaków. Miał już w pamięci całą kolekcję ciekawych postaci.

— Ah, jak naszym artystom trudno przychodzi wyłowić coś charakterystycznego, a tu — kopalnia typów, — myślał.

Znał doskonale żyda brodacza, obdartusa, zjawiającego się na skwerze w marcu. Posłał mu kiedyś złotą monetę, na widok której żyd, przymrużywszy jedno oko a drugie wytrzeszczając, pomrukiwał coś długo, zanim wreszcie wyszeplecił dość wyraźnie, by lokaj mógł go zrozumieć:

— Na co to? Dla czego to? — Nie wezmę.

Słowem, w tych chwilach zbierał swe spostrzeżenia, których zasób pozwalał mu mniemać i nawet powtarzać to swojej żonie—

z którą żył w dobrej przyjaźni — iż on pojął naturę biedaków, że rozumie to coś — *l'ame de la misère* — duszę biedoty, której inni nie rozumieją.

— Mój mąż nie jest automatem do dawania jałmużny, jak wiele osób; on rozumie *l'ame de la misère* — mawiała potem ona z kolei.

Kwadrans wyglądania i życia życiem skweru stanowił dla jego umysłu rodzaj kąpieli, czy rodzaj myślowej, niewinnej — jak rzeczywista — gimnastyki szwedzkiej. Naraz uczuwał świeży tok wypoczętej myśli; sprężyście odchodził od okna i dzwonił.

— Kto teraz? Prosić.

Z powodu istnienia tych nici, wiążących duszę dyrektora ze skwerem, mnóstwo ludzi, pomimo oczywistych braków w odzieży, tłumaczyło na swoją korzyść napis przy bramie: „Wchodzić wolno tylko przyzwoicie ubranej publiczności“.

## VI.

Było to w połowie marca.

Dyrektora znużyli interesanci; zawiesił na chwilę przyjęcie; zostawszy sam, westnął parę razy dla ulgi i poszedł do okna. Skwer był pusty, cały krajobraz szary, brudny; z boku widać było kawałek ulicy, rzadkich przechodni, paru robotników zajętych obcinaniem gałęzi z drzew ulicznych.

U wejścia do skweru ukazał się Anastazy. Dyrektor skinął nań i za chwilę stróż stał u progu gabinetu, zeszytywniały, z zwykłą swą kwaśną miną.

— Mój Anastazy, co robią teraz robotnicy na plantacjach miejskich?

— Nie widziałem, panie dyrektorze.

Miał przygasłą minę; mówił głosem bezdźwięcznym, nie mającym naturalnego brzmienia, wydobywanym z przymusu. Taki głos mają ludzi małowówni, którzy czasem całe dni nie otwierają ust.

— Nie widziałem.

— To dziwne. Ja stąd widzę — ot tam, po drugiej stronie ulicy. Przystawili drabinkę, obcinają gałązki, doprowadzają drzewa do porządku. Czy nasze drzewa, Anastazy, nigdy nie będą doprowadzone do porządku? Zdaje się, że należałoby niektóre poprzycinać.

— Po co, panie dyrektorze? — doleciał bezdźwięczny głos ode drzwi.

— Jakżeż po co? Czemuż wszyscy i wszędzie to robią.

— Ja tylko mówię to, panie dyrektorze, po co dręczyć roślinę.

— Nie, to już przesada. Anastazy jest pewny, że to ją dręczy? Stróż chrząknął, usiłując przetrzeć gardło i dobyć czystego ludzkiego głosu.

— Najpewniejszy jestem.

— Jednak systemu nerwowego u roślin nie ujawniono — odezwał się łagodnie dyrektor. Zresztą przypuśćmy coś podobnego. No, a u ludzi, u dzieci np., czy one nie płaczą, kiedy trzeba rozczesać ich potargane włosy, czy to nie jest dla nich udręczeniem? A przecież nie sposób uniknąć takiej operacji. Cóż wy na to, Anastazy?

Upór stróża był równie sztywny, jak on cały.

— To stare drzewa, nie dzieci.

— Ależ wiem, zrobiłem tylko porównanie. Dziwny z was człowiek.

Nastąpiło milczenie. Dyrektor nie chmurzył się wcale; nawet z pewnym zadowoleniem psztykał palcami rąk, w tył założonych. Spór ten, nie miał innego celu nad chwilowe jego roztargnięcie. Chciał jeszcze co usłyszeć, wyciągnąć tamtego na słowa.

— „Tak, nie sądzę żebyście mieli słuszość. I drzewom potrzeba czegoś takiego, jak dzieciom po przebudzeniu, czegoś w rodzaju mycia się, czesania, strzyżenia czupryny...”

— Im aby tylko nie przeszkadzać, panie dyrektorze.

— Komu?

— Drzewom, trawie — —

— Ah, tak. To już słyszałem kiedyś od was. Szczególny pogład, np. — kąkolowi nie przeszkadzać, aby zagłuszał zboże!

— Nie to chciałem powiedzieć. Tu u nas, niema zboża, nic się nie sieje. Zebrały się różne trawy do kupy i ot — niechby im nie przeszkadzać.

Dyrektor zrobił sprężysty zwrot przy oknie i stanął twarzą do twarzy stróża. Z wyraźnym zajęciem patrzył w tej chwili na karykaturę człowieka, stojącą u drzwi, na jego ręce niezgrabne, zwisające, stopy płaskie i wielkie, na twarz pociemniałą z dołami pod wystającymi kośćmi policzków, na oczy, które swój szklisty niedobry blask z zakłopotaniem ukryły pod powiekami.

Patrzył i zdejmowała go chęć — prawie przyjacielska — zajrzenia w głąb tej dziwacznej duszy.

— Więc mówicie — nie przeszkadzać im... Leczą, właściwie, w czymże? — zaczął łagodnie i zcicha, prawie jakby do samego siebie. — Ale już ulatywała chwilowa chęć rozgadania się z nim. Czy warto sondować, czy i bez tego nie dość rozumie tego przekorę. I nagle urwał już z chłodną, pańską wyrozumiałością dla dziwaka.

— No, zresztą — niech na ten raz drzewa nasze zostaną jak są. Ostatecznie, wyglądają nieźle.

Po wyjściu stróża jeszcze chwilę myślał o nim, z większym jednak zniecierpliwieniem, niż zajęciem.

„Czy ten sprzeka rozumie przynajmniej, iż z jego przyjemnym usposobieniem i powierzchownością, z jego przekorą i nieposłuszeństwem i wątpliwą chęcią do roboty (bo ostatecznie tego nieprzeszkadzania drzewom — czyż nie można uważać za wykręt, byle nic nie robić!) — że z temi zaletami nigdzieby nie zagrzeał kąta. I co to za człowiek — byłoby zabawne, gdyby powiedziano, że popieram zagadkowe osobistości. A mówią już z powodu skweru, że we Francji wypokostowano mnie demokracją i że

teraz tu, u nas — gdzie to niema sensu — staram się o łaski ulicy. A Anastazy — hm, w istocie — to niewtrącanie się do roślin, coś niby jak usuwanie postronnych, wyzyskujących je sił — —“

Uśmiechnął się.

No, ale niebezpiecznym chyba nie jest? Tu, na skwerze.

Anastazy mógł być pewny dożywotniego chleba. Przedewszystkim dyrektor lubił szpetność oryginalną, czego dowodem były cudaczne posążki jakichś bóstw w jego gabinecie, następnie przyzwyczał się do starych gratów, a po trzecie — w istocie był niezłym człowiekiem.

## VII.

Kres kariery nie był dalekim dla dyrektora. On sam oznaczył ten kres, chwilę — kiedy ustąpi. Był to człowiek rzetelnej ambicji i dumy, która zżyma się na myśl, że mogliby — ktoś by mógł — dać do zrozumienia, iż — już czas... Dla niego najnaturalniejszą rzeczą było pójść w ślady tych — bardzo zresztą nielicznych — premierów w gabinetach zagranicznych, którzy niekiedy decydują się na ustąpienie w pełni popularności i uznania. Z tą różnicą — że taki premier myśli nie tylko, by blaskiem swego zachodu przyćmić wschodzące światółko swego następcy, lecz i o powrocie za czasem do władzy, dyrektor zaś resztę tego programu odrzucał. Nakryć kogoś swym cieniem, rozniecić piękny pożar wieczornych blasków przy swym zachodzie — i owszem, lecz odszedłszy — już nie wracać. Ostatnim wielkim czynem miało być załatwienie od pół-wieku ciągnącej się sprawy ulicy po drugiej stronie skweru.

W ciągu kilku lat zaniedbał tę rzecz trochę umyślnie. — Niech się ustali mniemanie, że wobec bajecznych wymagań osób interesowanych i opieszałości władz miejskich jest to węzeł, nie dający się ani rozwiązać, ani rozciąć. Tymczasem zaś on trzyma w ręku nitkę, za pociągnięciem której w odpowiedniej chwili pajacyk podskoczy. Chwila podeszła. Dyrektor rozwinął gorączkową

czynność, ugłaskał jednych, obudził energję innych osób i — rzecz się dokonała.

Efekt był piękny.

Nie dyrektor otrzymywał na ostatku upominek, lecz, przeciwnie, towarzystwu od niego dostawał się wspaniały dar.

Mógł teraz powiedzieć:

Barykada obalona, miejsce wolne. Stawiajcie sobie swe wspa-  
niałe gmachy, w których ja już nie zamieszkam.

On zamieszka u siebie, na wsi, w nowonabytym pałacyku,  
okolonym parkiem.

Dobre serce jego sprawiło, że natychmiast pomyślał o Ana-  
stazym.

— Nie mogę zabrać trawnika, drzew i mojej galerji biednych,  
lecz zabiorę tego dziwaka — będzie mi to wszystko przypo-  
minał.

Co dla niego obmyśleć? Ależ, naturalnie, niech robi cokol-  
wiek w parku — tam znajdzie całe przestrzenie, gdzie będzie  
mógł oglądać swobodne zrzeszanie się roślin.

I oto znowu w połowie marca odbyła się rozmowa z Ana-  
stazym. Dyrektor siedział w fotelu przy biurku.

— Mój Anastazy, czy wy też wiecie, od ilu lat robimy sta-  
rania, żeby przeprowadzić ulicę po drugiej stronie skweru?

Z takim jak zawsze przymusem wydobywany głos odpowie-  
dział odedrzwi:

— Trzydzieści lat podobno, panie dyrektorze.

— Gdzież tam — całe pięćdziesiąt. Sprawa ta datuje się pra-  
wie od początku istnienia towarzystwa; podejmowało ją dwu  
moich poprzedników. Więc — mój Anastazy — mnie się powio-  
dło to, co im się nie udawało.

— Będzie ulica, panie dyrektorze?

— Będzie ulica. A za jaki miesiąc tu, na skwerze, poczną  
zakładać fundamenty pod nowy gmach dla naszego zarządu.

— Napewno już, proszę pana dyrektora? — odezwał się



z większym trochę ożywieniem. — Bo to i przeszłego roku ludziska mówili i pozaprzeszłego, a jakoś — nic.

— Ale teraz nie ludziska wam mówią, tylko ja, mój Anastazy. Z was dziwny człowiek.

Dyrektor zapanował nad lekkim zniecierpliwieniem. Wstał i podszedł do okna. Mglisty opar słotnego dnia wisiał nad skwerem; droga rozmiękła w czarną wstęgę błota, opasującą szary trawnik; mokły szeregi pustych ławek; drzewa zastygły w spokojnym, ciepłym wyczekiwaniu swojej wiosennej przyszłości.

— Szkoda naszych drzew, Anastazy.

Stróż milczał.

— Myślałem, że może niektóre z nich da się zachować, jeśli przypadną w obrębie przyszłego podwórza. Ale widzę, że źle są rozlokowane. Żadne nie ocaleje.

— To i lepiej, — doleciało odedrzwi.

— Co? Nie żałujecie ich?

— Mówię tylko — nie daj Boże, żeby miało zostać jedno, czy dwa. One żyły gromadą.

— Ach, tak. Wy to lepiej wiecie — wyrzekł dyrektor z zwykłą swą pobłażliwością.

I naraz uczuł prawie rozrzewnienie na myśl o gromadnej śmierci tych drzew. Czy to podmuch był jego własnej starości, uczuwającej lekki strach przed szyldwachem, który gdzieś zastąpi mu drogę: Dalej nie wolno!... Czy — przewidywanie, że przykro mu będzie rozstawać się z widokiem, do którego nawykł...

— No, mój Anastazy, przecież nie popłaczymy się nad drzewami, — rzekł miękko i pocieszającym tonem. Lecz zaraz, rzucawszy okiem ku drzwiom, pojął z niemiłym zdumieniem, że to tylko do niego miało przystęp roztkliwienie. Oczy stróża szklily się złym, ponurym blaskiem. Dyrektor uczuł coś w rodzaju niechęci do niego.

Milczał chwilę, potym sucho mu oznajmił, że zamierza wziąć go z sobą na wieś.

— Jeśli Anastazemu nie trafi się coś lepszego, — dodał z pewnym przekąsem.

### VIII.

Zima w tym roku, od początku łagodna i prawie bezśnieżna, kończyła się słotą długotrwałą, która sprawiała, że świat rozmiękał w chlapaninie deszczu, śniegu, drobnego gradu, mgły, błota. Potym, jednego dnia wiatr uprząłnął i obmiótł kawałek drogi dla słońca, które przez całych godzin kilka świeciło nie poza zasłoną i chuchało ciepłem.

Widocznie musiały to być zadatek pogody, bo już na drugi dzień ukazał się żyd samotnik, wietrzący wiosnę. Przez chwilę stał niezdecydowany u wejścia skweru — przed sobą miał ciekłe, błyszczące błoto, rozlane po drodze. Ale słońce świeciło.

Zapewne powiedział do siebie:

— Drugi raz może ja się nie wybiorę, lub może słońce się nie wybierze.

I wszedł na skwer.

Tuż przy bramie leżała cegła; wziął ją, a dotarłszy do ławki, położył na ziemi, w rodzaju podnóżka, na którym oparł nogi w wykoszlawionych, zabłoconych butach.

Tym razem nie był sam tutaj. Uganku dyrektorskiego, na stopniu, skulony siedział mały, czarniawy człowieczek, mający łokcie oparte na kolanach i podbródek do stulonych pięści przywarty.

Popatrzyli na siebie. Człowieczek zawinął wysoko nogawice u spodni, wstał i, obojętnie chlapiąc w swych kamaszach po błocie, doszedł do żyda i stanął przed nim.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry!

Były to pierwsze słowa, jakie kiedykolwiek między sobą zamienili, lubo znali się od wielu lat. Stróż usiadł, chrząknął i począł zacierać ręce. Nawiedziła go — co rzadko się zdarzało —

potrzeba, by coś do kogoś mówić. Ale potrzeba była wewnątrz, w duszy, na zewnątrz zaś gardło i język, nienawykłe do mowy, z trudnością przepuszczały słowa.

— Będzie wiosna, panie starozakonny?

— Już jest.

— Aha.

Milczeli.

— Gorzej wyglądacie w tym roku, — zaczął znów stróż.

— Gorzej? Nie może być — odparł żyd.

Na jego mizerne, rozorane w zmarszczki, starcze jagody wydobylał się z trudem od wewnątrz idący uśmiech.

— Co to znaczy gorzej? Ja mówię moim dzieciom i wnukom, że wyglądam coraz lepiej. Bo, widzicie, człowiek coraz to jest podobniejszym do tego, który już zupełnie dobrze wygląda i już ani się budzi, ani wstaje, ani łązi, ani zjada chleb innym.

— Aha. To nie boicie się śmierci?

— I, cóż to wielkiego śmierć.

— Tak, to nic wielkiego, — zgodził się stróż — i znów milczeli czas jakiś.

— Ale wy jeszcze pożyjecie... Zresztą — tak, czy tak — czy macie jeszcze pożyć na świecie, czy już niedługo — zawsze dziś pożegnajcie się z tym miejscem.

— Z jakim miejscem? — zastanowił się żyd, mrużąc jedno oko, a drugie ku stróżowi zwracając.

— Z tym skwerem. No — tą waszą ławką, z drzewami...

— Tak? Mówicie, że tu więcej już nie przyjdę?

— Mówię, że jak przyjdziecie za rok a chociażby i za miesiąc, to już nic tego nie będzie; drzewa wytną, zaczną stawiać dom.

— Nic tego nie będzie? Ha, trudno, widać Pan Bóg tak chce.

— Nie, to ludzie tak chcą.

— Niech będzie — że ludzie.

I zaczął się podnosić.

— Już pójdę. Bywajcie zdrowi!

Na odchodnym zwrócił się raz jeszcze do stróża:

— Nie martwcie się! Przecież na tamtą stronę, gdzie [kiedyś] pójdziemy, nie przenieśliście drzew, a na tej stronie dla waszych i naszych dzieci urosną gdzieś nowe.

Ale Anastazy pokręcił głową, jakby chcąc powiedzieć: „Ja myślę co innego“.

Zostawszy sam, począł uporczywie i z troską w oczach przyglądać się gałązkom. Nie widać było po drzewach ocknięcia się.

„Ah, — pomyślał — gdybym mógł terazbym je wszystkie układał pokotem, niechby własną ręką — zanim jeszcze dostaną liści. Terazby nie tyle czuły.“

Lecz, gdy jeszcze dzień przetrzymało ciepło, prąd życia drgnął i naraz krążenie jego w drzewach stało się widocznym. Wszystkie do ostatniej gałązki podniosły się. Dotąd bezsilne, wiotkie, łamliwe, zjędrniały, rzeźko porwały się ze snu i sprężyście parły w górę, w powietrze.

Były to znów żywe i rozbudzone istoty, i teraz nic już nie mogło uśpić ich czujnej radości.

Na skwerze szybko podsychało. Południe ścigało już ludzi, tych szczególnych ludzi o wyglądzie niedobitków, którym cudem udało się ocaleć z pogromu zimy. Pokazywały się dzieci na pałkowatych nóżkach, odrętwiałe jeszcze, nie mogące uwierzyć, że to już można biegać i nie trzeba się tulić po kątach.

Ledwie jednak cień domów nakrywał skwer, zaraz ciągnęło chłodem surowym i wilgotnym, który wszystkich wypłaszał. Pod wieczór szklistą tafelką lodu pokrywały się ostatnie małe kałuże na drodze i grunt marzł.

Zostawał — mimo zimna — tylko mały czarniawy człowiek, skulony na stopniu ganku, gdzie go niewiele było widać. Gdy się ściemniło i wcale go nie było widać, podnosił się i stawał pod którym z drzew, opierając się o pień.

A kiedy rano tu wracał, pierwsze, co rzucało mu się w oczy,

były gałązki kasztanowe, które już zdążyły się wygiąć w łuki, mające na końcu pęk ciemny, polakierowany żywicą.

— Już zawiązują liście, — myślał z uczuciem, które niczym się nie różniło od rozpacz. Zawiązują liście — po co — po co?..

Wreszcie zaczęło mu być tak ciężko, iż musiał się bronić przed czymś, co go usiłowało zgnieść. Począł sobie robić nadzieje. Czy nie nastraszo go czasem. Może nic nie będzie. Może się coś odmieniło. Oto skwer pełniutki ludzi; wszystko jak bywało dawniej; wszystko tak może zostanie.

Nazajutrz wielu naraz robotników rozpoczęło pracę przy burzeniu kamieniczki, która tyle lat broniła skweru.

Ah, więc prawda —

Postanowił sobie, że będzie patrzył na wszystko, że nie odstąpi „ich“ do końca.

Pewnego rana grupa ludzi zebrała się na ulicy przy przewróconych sztachetach skweru, za którymi ciągnął się już szereg ustawionych prostopadle belek pod rusztowania. Koło drzew panował ruch.

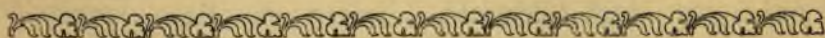
Pierwsza miała paść akacja, która swe bezlistne jeszcze, dziwnym kurczem poskręcane konary, tragicznie rozmiotła ku niebu, rzucając w obojętne jego przestrzenie swoją straszną, niemą skargę.

Odezwał się naprzód topór, którym zrobiono nacięcie; za-zgrzytała piła, zarzucono sznur —

Gdy rozległ się trzask, ktoś w grupie ludzi zawył przeciągle, ohydny, psim głosem. Jakiś człowiek, roztrącając innych, pobiegł ulicą z wyciągniętymi przed siebie rękami i strasznie rozszerzonymi źrenicami oczu...

Gromado ludzka, może ty przygarniesz go teraz, gdy gromada jego drzew skończyła swe istnienie...

R. 1904.



## CZYJAŻ ONA BYŁA?

Mieszkaliśmy któregoś lata na wsi, u chłopca. Dobry to był człowiek — i o kobiecie jego, zachowaj Boże, abym miał powiedzieć co złego. Dzieci też były dobre. Tylko co do Wiktorca spieraliśmy się z moją żoną — twierdziła, że to złe dziecko. Pewnego razu wypłoszył z kałuży żabę i ubił ją kijem. Innym razem z gniazda wroniego wybrał parę nagich jeszcze piskląt i przyniósł do domu. Jaki miał w tym cel, o co mu szło — licho-ż go tam wie. Podobno oświadczył, że chce się przekonać, „co z tego wyjdzie“. Z czego? — I coby miało wyjść? — nie wiem. Wydobył z pod łóżka klatkę — jak mówił, ale to była tylko mała skrzynka z deseczek i łyka zrobiona; wsadził tam pisklęta, nasypał jakiegoś ziarna i zawiesił „klatkę“ na chojaku — jest tam u nich taki biedny, stary świerk poobłamywany, rośnie za stodołą. Zrana pisklęta już nie żyły,

— I po jakiego djabła tyś je umordował i to w klatce? — zadziwił się stary Madziak — nie byłoż to odrazu gdzie cisnąć, albo pożywić Mrausa?

— Ale — boby Mraus żarł to?

Otwarcie mówiąc — miał głupią minę. Przekładał z ręki do ręki nagie, sine, wstrętnie brzydkie trupy piskląt i widocznie sam sobie zadawał teraz pytanie — po co to wszystko było robić?

Jeszcze innym razem przyniósł już nie pisklę, lecz dobrze podrosłą, młodą wronę. Okazało się, że ptak ma przetrącone nogi. Moja kobieta wręcz go oskarżyła.

— To twoja sprawa?

— O! już pani wie, że moja? A nie moja. Nalazłem w polu przetrąconą.

Wrona została mu odebrana. Nawiasowo powiem, że dostała się do nas na kurację, która o tyle się powiodła, iż po kilku dniach ptak mógł podlatywać, a jeszcze po kilku — przelecieć

ot tak na jakie dwa sążnie. I jakoś z okna sfrunął przed dom, gdzie w oka mgnieniu zwała się nań gromada kur z kogutem na czele i nim żona moja wybiegła na pomoc, wrona była już śmiertelnie poraniona. Na rękę żony ułożyła się bokiem, mając dziób otwarty i z wysiłkiem chwytając powietrze. Zastanowiły mnie wtedy oczy ptaka — młode, czyste, niebieskawe, z wyrazem jakiegoś tępego, bolesnego zdziwienia. Naraz uniosła głowę, szyja jej się wyprężyła, pióra na niej najeżyły — wstrząsnęła się i straciła z przed oczu dziwne i okrutne zagadki bytu.

Otóż żona moja miała złą opinię o Wiktorku. Obawiam się, że sąd ów był zabarwiony uczuciem. Bardzo silnie ta kobieta odczuwa niedołę i cierpienia zwierząt, każda krzywda im wyrządzona jest i dla niej jakby sól wtarta w ranę żywą. Gdy więc parę przytoczonych faktów roznieciło w niej uczuciową pretensję do chłopaka, widać trudno już potem było zdobyć się na spokojną, przedmiotową ocenę jego charakteru. W istocie zaś fakty te absolutnie niczego nie dowiodły. Jeśli to on nawet przetrącił wronie nogi... Wron nie lubią i kury i ludzie. Wrona Madziakom zamordowała kiedyś kurczę. Wszystkie chłopaki tłuką wrony, gdzie im się tylko nadarzy. Moznaby coś powiedzieć o warunkach i wpływach otoczenia, urabiającego umysł i serce Wiktorka, ale źle wyrokować o tym sercu — nie sądzę, aby już był powód.

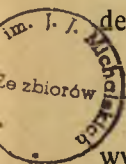
Antypatja — jak to zawsze bywa — stała się wzajemną. W obecności mojej żony Wiktorek miał zawsze opuszczoną głowę, przygryzał usta, patrzył z pode łba z wyrazem chmurnej niechęci. Zawzięli się na siebie.

Pewnego ranka siedzę przy oknie, patrzę — idzie od lasu Wiktorek z młodszym Józwą. Przechodząc, spojrzeli w okno podejrzliwie, ale mnie nie widzieli, bo zasłaniała firanka.

I słyszę, jak Wiktorek mówi:

— Byle ta nie zobaczyła.

Tknęło mnie coś, że „ta“ — to moja żona. Ale ona także wyglądała z drugiego okna i już dostrzegła to, co i ja — że Wi-



ktorek ukrywa coś w swojej długiej kapocie, którą matka mu dawała, gdy miał iść na noc pilnować szkapy na pastwisku.

— A no, — pomyślałem — powtórzy się historia z wroną, żabą czy pisklętami.

Jakoż żona natychmiast wybiegła na dwór — widać dowiedzieć się, co oni tam mają, ale chłopcy już się gdzieś ukryli. Cały dzień trawił ją niepokój, chodziła markotna i udręczona, zaglądała w różne kąty, nie mogła sobie znaleźć miejsca. A wieczorem przychodzi i powiada mi:

— Już wiem!

— A co?

— Wiem, co oni mają. Wiewiórkę — maleństwo jeszcze bardzo młode.

Posiedziała przy mnie chwilę, milcząc, sfrasowana, ale coś ją podnosiło i znów gdzieś wybiegła.

Gospodarze nasi wcześniej się kładli, my zaś długo zwykle wysiadaliśmy na ganku. A tej nocy jeszcze i księżyc świecił, wcale się nie chciało do izby wracać. Wielki a cichy urok miała noc. Głęboko już wszystko dokoła było uśpione, gdy żona nadeszła, wzięła mnie za rękę i kazała iść za sobą. Okrążyła domostwo i stodołę i zatrzymała się o kilka kroków od starego świerku.

— Widzisz?

Nie widziałem, o co jej idzie i całą duszą utonąłem w widoku, jaki stąd się rozpościera. Ciche pola pławiły się w cudnym świetle, majaczył w dali w zarysach widmowych las, zarośla, białe ściany domów, białe grzbiety wzgórz piaszczystych — wszystko utulone i spokojne. Płynęło nad światem jakieś nieporównanie słodkie, wypogodzone, dobre marzenie.

Naraz żona wskazała mi na świerk.

Aha, widzę — wysoko, niemal że u wierzchołka, wisi znów owa ohydna klatka.

— Tam jest wiewiórka — szepnęła żona.



I jakoś ostro na miejscu zawróciła i ku domowi poszła. Pojąłem, że bardzo ją trapi niewola zwierzątka. Przeworny Wiktorek chytrze się urządził — tylko zwinny, jak on, malec, mógłby mu stamtąd zabrać jego klatkę.

W godzinę potym zasnąłem i widać twardo, skorom się nie obudził, gdy żona zapalała światło, ubierała się, wychodziła. I nawet, gdy stanąwszy nademną, dotknęła mego ramienia, ocknąć się odrazu nie mogłem.

— Zobacz, zobacz.

Wpadły mi wprawdzie do uszu te słowa, ale wydawało mi się, że to dalszy ciąg jakiegoś snu. Znów świerk przede mną, klatka wisi bardzo wysoko, poczynam wdrapywać się na drzewo...

— Zobacz, mój drogi, nic podobnego jeszcze nie widziałeś.

To już była jawa.

— Cóż to się stało?

— Zobacz, zobacz tylko...

Szczęściem, że to coś nadzwyczajnego znajdowało się blisko. Tuż za moim łóżkiem, w kąciku, miała swe postanie suczka Mucha, która przed paru dniami się oszczeniła (zostawiliśmy jej tylko jedno małe). Wychyłam się z łóżka — patrzę. Żona przyświecała lampką. Na postaniu, obok małego jak szczurek czarnego szczenięcia Muchy tuli się do niej rude stworzonko z rozłożystym ogonkiem, założonym na grzbiet.

— Wyobraź sobie — mówi żona — wcale się Mucha na nią nie gniewa, owszem — zdaje się nawet, że jej rada.

Mucha podniosła łepkę, popatrzyła na nas przyjaznym, prawie serdecznym, dobrym okiem — potym zamasyżuje i ze smakiem oblizuje swe szczenię — potym powąchała wiewiórkę i liznąwszy jej rudą głowinę, ułożyła się spokojnie, poruszając końcem ogona, co miało oznaczać:

— Wszystko jest dobrze. Idźcie spać.

Rada była uczciwa. Spać mi się chciało na potęgę.

Zrana stało się wiadomym, że klatka na chojaku jest próżna

a wiewiórka znajduje się u nas. Żona nie robiła z tego tajemnicy, tylko nie zwierzała się nikomu, w jaki sposób udało jej się uwolnić rude zwierzątko. Madziakom dziwnym się wydało, by suczka miała przygarnąć wiewiórkę. Przyszli, popatrzyli — wiewiórce, co prawda, przykrzyło się siedzieć w jednym miejscu — coraz to wyścibi łeppek, wysunie się trochę, ale co prędzej zawraca i z powrotem wtula się w czarne kudły Muchy. Napatrzyli się, nakiwali głowami, trochę naśmieli — i poszli Madziakowie do swych spraw pilniejszych i ważniejszych. Ale ktoś jeden był zmartwiony. Uważam — raz przeszedł koło okna Wiktorek, drugi raz — spogląda, a z oczów mu patrzy nie niechęć, ani zawziętość, tylko dziecinne, blizkie płaczu rozżalenie.

Przykro mi się zrobiło. Wychodzę. Pytam:

— Czegóżeś ty taki zmartwiony, Wiktorku?

Dużo widać żalu zebrało mu się na sercu, bo wybuchnął jakimś zmienionym głosem, w którym już łzy grały:

— A bo pani zabrała wiewiórkę, jak swoją!

Pytam:

— Czyjaż ona była?

— A moja.

Powiedział to już pewnym głosem i nawet twardo jakoś.

— Dlaczegożby ona miała być twoją?

— A bo ja lażem za nią na drzewo — powiada — i złapałem ją, a ona ugryzła mnie w palec.

Byłem bardzo zdziwiony, nie tym, że ona go ugryzła w palec, lecz że te trzy okoliczności — laż na drzewo, złapał ją, ugryzła go — stanowią dlań i widocznie w dobrej wierze — dowód niezbity, że wiewiórka jest „jego“.

— Ugryzła cię, powiadasz?

— Tak.

Pokazał palec. Prawda. Jest znak bardzo charakterystyczny.

— Teraz pan wierzy, że wiewiórka moja?

Wiktorek spojrział na mnie trjumfująco, a ja opuściłem oczy

nie tyle przed nim, co przed dziwną zagadką, którą czasby już było, abym odgadł, lecz wciąż — nie umiem. Nigdy jej pojąć nie mogłem.

— I cóż teraz będzie? — bąknąłem, trąc czoło.

— A — pani powinna mi co dać!

— Ileż pani ci powinna dać?

— W przeszłym roku letniki kupiły od Janka Domradzkiego wiewiórkę za dwadzieścia groszy. — Nie! — kłamię! — dali mu cały złoty.

Wyjąłem złotówkę i podałem mu. Zacisnął monetę w pięści, wykręcił się i poleciał na drogę.

Sprawa była rozstrzygnięta — dla niego. Zazdrościłem mu, bo dla mnie została zupełnie ciemną zagadką.

Nadeszła żona.

— No, jakżeś tam załagodził Wiktorka?

— Dostał złotówkę.

— A to dobrze! — zawołała radośnie — to wiewiórka moja!

Znowu! Spojrzałem na żonę z zdziwieniem i smutkiem.

— Pewna jesteś, że twoja?

— Naturalnie. Co prawda, jabym jej i tak nie oddała, ale skoroś zapłacił, to już naprawdę moja.

Wiem, że już starzeję się. Tych kwestji życiowych, których dotychczas nie rozwikłałem, pewnie już nie rozwiklam. Są rzeczy, których nie rozumiem, mimo że starano się mi je wytłumaczyć — które zawsze mnie dziwiły, i zapewne wtedy dziwić mnie nie będą, gdy już na zawsze znikną mi z przed oczu...

Weszliśmy do domu — a tam znów czekało na nas coś szczególnego. Mucha zesłała ze swego posłania i waruje przy szafie, wtyka pod nią mórdekę, piszczy. Cóż u licha! — przecież jej szczenię tam nie załazło, bo wcale jeszcze nie łązi. Ba, ale wiewiórka już nie chciała dłużej siedzieć na miejscu, wymknęła się — i to ona ukryta jest pod szafą, a Mucha zmartwiona jej niesfornością nie wie, jak ją stamtąd wydobyć.

Wydobyłem ja wiewiórkę i chwilę potrzymałem ją w rękę. Mucha wspięła mi się do kolan, obwąchała rudą, oblizała się swoim różowym języczkiem i patrzyła na mnie takim samym roziskrzonym i niespokojnym i proszącym zarazem wzrokiem, jakim patrzy, gdy wziąć w rękę jej szczenię.

— Cóż to, Mucho, przecież to, nie twoje?

Ale ona trąca mnie mórdką i zaczyna poszczekiwać w sposób, który doskonale rozumiem.

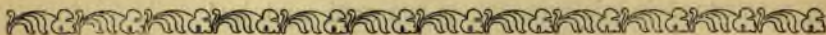
— To stworzenie jest moje, właśnie moje — chce ona powiedzieć — oddaj mi je, połóż na posłaniu.

Dziwne rzeczy! Czymżeby też Mucha uzasadniła, że to „jej“? Powiedziałyby pewnie, że zabrano jej troje szceniąt; że to jedno, co zostało, nie nasycy rozbudzonego w niej uczucia macierzyńskiego i że ona część tego uczucia przelała już na małe stworzonko, które całą noc tuliło się do niej. I dla tego powiada — „moja“!

...A ostatni, co powiedział „moja“ — był Mraus. Tak, smutnie się skończyło... W drobnym jej ciałku, w jej szyjce, zagłębiwszy pazury, stary, zdziczały, okrutny kot ostatni powiedział o niej „moja“!

Ja nie rozumiem — powiedzcie mi, czyjaż naprawdę była wiewiórka?

R. 1904.



## OBOK ZAUŁKA.

Narożna kawiarenka, z oknem jednym na zaułek — drugim na plac targowy — była popierana głównie, jeśli nie wyłącznie, przez straganiarki, przekupni i zjeżdżających rankami włościan. Bez tego poparcia nie mogłyby istnieć i nie dałyby utrzymania — co prawda, mniej niż skromnego — wdowie po piekarzu. Chwila, w którejby zaprzestano z placu przybiegać tu po wrzątek i kubki wodnistej kawy lub herbaty, czymś dziwnym, tajemniczą cieczą koloru upalonego cukru zabarwianej, stanowiłaby początek końca dla kawiarenki, wdowy i jej dwu małych dziewczątek. Następnie pochłonęłaby je bieda. Ale ludzie z placu, gdy raz komu okażą poparcie, nie cofają go już bez ważnych powodów.

Okno, wychodzące na plac, ozdobione było wymalowaną na szkle babą z ciasta i zawsze czysto umyte. Nie zasłaniano go niczym; widocznie wdowie miły był widok od tej strony i nic nie chciała utracić z powtarzającej się codziennie, ruchliwej i zgiełkliwej sceny życia, w której tkwiły podstawy bytu kawiarenki. Przeciwnie — okna od zaułka nigdy nie myto i nie odsłaniano w głębokiej jego framudze zawieszzonego kawałka muślinu.

Wązki, głuchy zaułek na ukos łączący plac z niezbyt ludną ulicą był niejako wyrzucony poza nawias ważnej i zajmującej treści życia. Odwiedziny ludzi i zwierząt w zaułku miały tylko przypadkowy charakter, a skutek ten, że czyniły go nie do wytrzymania cuchnącym. Sam zaś z siebie był niepozorny, brzydki. Na jedną jego stronę wychodził bok długiego budynku, o oknach zamurowanych od dołu a w górze mających cztery szybki, które brud uczynił nieprzezroczystymi. Była to łaźnia, do której uczęszczali żołnierze i wyrobnicy. Para, uchodząc szczelinami, kłębiła się u okienek; dolatywał do uszu przechodnia hałas, sprawiany przez kąpiących się, ich śpiewy tubalnymi głosami ciągnięte aż do przeraźliwej nuty, którą stopniowo zagłuszał ogólny rozgwar, przypominający chwilami radosne rżenie koni, chwilami zaś tylko

dzikie i bezmyślne wycie. Po drugiej stronie zaułka ciągnął się zrazu wysoki, żółty parkan, potym dwa stare, niskie domostwa z facjatkami w szczycie, równie jak łąznia bokiem do uliczki zwrócone i wzajemnie siebie podpierające, dalej — znów parkan z bramą i furtką. W tych ruderach matowe szkła okien z tajemniczością chytrą i wstrętą osłaniały coś ciemnego, głuchego, życie — również za nawias wyrzucone — istot, które w tej dzielnicy wysługiwały się taniej rozpuście biedaków. Słowem, ani w zewnętrznym wyglądzie zaułka, ani w treści wewnętrznej jego bytu, nie mieściło się nic, czymby się można lubować, i nie od rzeczy było wychodzące nań okno zasłaniać muślinem.

Z ustawianiem ruchu na placu, ku wieczorowi, ustawało też częste otwieranie drzwi z odgłosem dzwonka w kawiarence; stała klientela rozpraszała się gdzieś aż do dnia następnego. W tych godzinach wdowa mogła się spokojnie oddać innym zajęciom, naprzykład szyciu, a córeczki jej przysiadaly się do stolików, rozkładając na nich swe kajety, na każdej stronie mające zamazane paluszkami kleksy — i przez cały wieczór, do chwili zamknięcia, tylko jakieś dwie lub trzy osoby jeszcze nawiedzały kawiarenkę. Obojętność, z jaką wdowa podawała im kawę, czy mleko, dowodziła, że przyjście lub nieprzyjście wypadkowych gości nie stanowiło nic ważnego, nie rozstrzygało np. kwestji, czy będzie jutro za co kupić chleba i mięsa. Jutrzejszy chleb i mięso już były zapewnione dzięki ludziom z placu, dzięki gromadzie bab i chłopów, spotniałych latem, zsiniałych zimą, którzy, odbiegając na chwilę swych straganów i wozów, nieśli tu grosz mały, ale kapiący obficie.

Wieczorni goście zwykle byli to jedni i ci sami co dnia.

Długo czas bywał tu siwobrody żebrak — okazałego wzrostu i niezdrowej, nalanej tuszy mężczyzna, którego nogi opuchnięte i poobwijane gałganami miały grubość potężnych konwi. Przyносił z sobą suche kawałki chleba i bułek, które długo moczył w mleku, nim wreszcie poczynał je wysysać, ze smakiem mla-

skając ustami i odymając nabrzękle policzki. Gdy z czasem, niewiadomo dla czego przestał się pokazywać, nie było powodu do żałowania go, bo za każdą bytnością zostawiał ciężki odór swych chorych nóg. Gdyby chciał jeszcze przychodzić, ha! to trudno — przed nikim drzwi się nie zamyka, ale skoro nie przychodzi, myślała wdowa — to i lepiej.

Żebraka zastąpiły potym dwie młode kobiety.

Przyszły raz i lubo trudnoby odgadnąć, co lub kogo mogły sobie tu upodobać — wdowę małowówną, czy jej niemrawe dzieci, czy wodnistą kawę — dość, że odtąd zjawiały się prawie codziennie.

Jedna — niska, krępa — miała okrągłą twarz, bardzo opaloną i oczy głęboko osadzone, dzikie a zarazem osowiałe; patrzyło przez nie wilczątka pochwycone, często karane, biciem nauczane pokory. I w zachowaniu jej przezieriała osowiałość stworzenia niemającego się gdzie ukryć przed razami, przewidyającego je wszędzie. Chyłkiem jakoś wsuwała się w najciemniejszy kąt, poza osłonięte muślinem okno, skąd potym błyskało jej nieufne, złe i trwożne zarazem spojrzenie.

Towarzyszka jej sprawiała na ogół wrażenie bardzo młodej istoty, niezupełnie jeszcze rozwiniętej, czoło jednak miała przywiedłe, z drobnymi fałdeczkami. Pociągła, chudawa twarz jej, dosyć miła i łagodniejsza, niż tamtej, nosiła drobne, mało widoczne ślady ospy, rozrzucone wkoło nosa i po czole. Szczególne były jej włosy — w dolnej warstwie ciemniejsze, w wierzchniej, zwłaszcza nad czołem, nie to żeby jasne, lecz zupełnie wypłowiałe. Ubrane były licho, okrywały się chustkami.

Ponieważ obie były nic dobrego i razem chodziły za swoim kawałkiem chleba — za jakim, nie stanowiło to tajemnicy —, znano je więc dobrze w tych stronach. Ktoś spostrzegł, że zaczęły nawiedzać kawiarenkę. Ludzie skorzy są do przytyków.

— Oho, *Czarna* z dzikimi ślepiami i *Walercia* znalazły sobie

przytułek u pani — dogryzła wdowie jej znajoma — a ja tobym za próg tego nie puściła.

Nie miło jest słuchać podobnych rzeczy, jednak wdowie brak było takiej stanowczości, by przed kimś ordynarnie drzwi zamknąć i jedyne, co sobie pozwalała, było to, że zaledwie „Czarna“ z Walercią wysączyły swoje kubki kawy i zjadły chleb, ona sprzątała z przed nich naczynie tak porywczo i niecierpliwie, iż trudno, by nie zrozumiwały, o co idzie. Wynosiły się z niewesołą miną i spojrzeniem ku ziemi.

Swoją drogą, po jakimś czasie znów się zjawiały.

Wdowa z za firanki, przedzielającej pokój, wynosiła im kawę, wróciwszy zaś do swego ukrycia, obserwowała je z pod oka, niechętnie, jakby czatując na chwilę, kiedy już można będzie z przed nosa ich zabrać próżne kubki.

Co prawda, siedziały obie tak cicho i spokojnie w swoim kącie, że można było zapomnieć, iż są tam. Widoczna była ich powściągliwość w mowie, widoczne — że Walerca pilnuje *Czarnej*, patrzy na jej usta i wstrząsa ramionami niecierpliwie, ile razy tamta chce zagadać. *Czarnej* potoczna mowa musiała być bardzo grubą; pomimo pilnowania czasem coś jej się wymknęło i — żeby o deszczu, o zimnie na dworze, żeby o najzwyczajniejszej rzeczy — musiała zaraz wtrącić coś niepotrzebnego; zapewne brud sączył się z jej śliną i mazał się po języku, choćby sama tego nie chciała.

Naprzykład powie:

— Walerka, oparzyłam się kawą — taka i taka jej mać.

Tamta nalatywała na nią gniewnie, szeptem:

— A milcz-że.

I *Czarna* zaraz milkła, uchodziła w siebie, w swoje wilcze osowienie, błyskając trochę zmartwionym, trochę złym spojrzeniem. Dopijały kawę nic nie gadając, a gdy wdowa naraz wyraściła przed nimi z tacką po naczynie i ścierką, kładły cicho pieniądze, już wpieryw przygotowane, i wychodziły, skinąwszy jej głową.



Odwiedziła wdowę jednego razu kobieta z okrągłym pół tuzinem dzieci. Właściwie szło o sprezentowanie kawiarence tylko jednego jej chrześniaka, którym był kilkomiesięczny żarłoczny ssak, mordujący ciągle pierś matczyną.

— Ale i tamte musiałam zabrać — tłumaczyła się mieszkanka dalekiego przedmieścia — napierały się. Chcemy do chrześnej Marcinka, chcemy — i dosyć.

Wdowa wcale się nie gniewała za to najście. Wyciągnęła z kąta swoje dziewczynki i paroma szturchańcami wepchnęła je do gromadki dzieci.

— Niech i te małe sowy raz się rozruszają.

Były wtedy Czarna z Walercią, ale wdowa roztargniona nie zaprzętała się niemi. Wypiły kawę, przygotowały pieniądze, czekały — ona nie zjawiała się, by sprzątnąć kubki i odebrać zapłatę. Dzieciaki, poczęstowane mlekiem i chlebem, rozsiadły się hałaśliwie przy stolikach, a matka ich rozpoczęła głośną i długą opowieść o swoich zmartwieniach, potem o czyimś weselu, potem o czyimś pogrzebie i znów o jakichś chrzcinach. Tamte z kąta przyglądały się i słuchały. Wilczątko, siedzące w Czarnej miało w tej chwili wyraz zaciekawiony, a oczy Walerci rozbiegały się z ożywieniem, jakby Bóg wie co niezwykłego było do oglądania. I naraz obie spotkały się z uważnym i zdziwionym spojrzeniem wdowy, która sobie o nich przypomniła i zmierzała do ich stolika. Obydwom się wydało, że ona chce powiedzieć:

— Czego u licha tu siedzicie, co się wam należy, czy to do was przyszli goście?

Zmieszały się i uciekły.

A wdowę wtedy właśnie coś ukłuło w serce i zaniepokoiło. Co one mi winne?

Następnym razem, gdy się pojawiły, wyniosła im kawę i potem już umyślnie nie zaprzętała się niemi, nie podeszła, aż same wstały, zabierając się do wyjścia.

— A niech tam!

I odtąd mogły sobie siedzieć, jeśli chciały, jak dawniej żebrak, który godzinę trawił na spożycie jednego kubka mleka, nie wywołując jednak niezadowolenia wdowy.

— Skoro im tu dobrze — myślała — czegoż będę broniła? Widać — im podlejsze życie, tym bardziej chce człowiek uciec od samego siebie. Może wtedy, gdy tu siedzą, wydaje im się, że uciekły przed sobą.

— A w każdym razie — dodawała — tu, u mnie, żadnego paskudztwa nie widzą.

Zdaje się, że wdowa trafnie odgadywała — rozumie się, sercem — psychikę swych gości. Co mogło tu nęcić Walercię i *Czarną*? Nic. Być może jednak, iż gdy Walercia siedziała obok Czarnej, z opartym na stoliku pionowo łokciem, z przywartą do podbródka i ust piąstką chudą, małą, i nic nie gadając, wodziła oczami to za wdową, kręcącą się u komina, to za jej dziećmi, to po ścianach kawiarenki — może wtedy była w ucieczce przed sobą.

Z czasem wdowa zaczęła do nich zagadywać, jakoś nie wprost, lecz tak niby od niechcenia. Przejdzie się po izbie, zetrze coś ze stolików, podejdzie do głębokiej framugi okiennej, powygląda na plac i naraz, nie patrząc nawet w ich stronę, coś do nich zagada. Ot — jakieś najzwyczajniejsze pytanie, lub uwaga. Wtedy Czarna niespokojnie chrząkała, kurczyła się i nic nie mogła wykrztusić, zaś Walercia odpowiadała skwapliwie, choć pół głosem.

Potrochu stało się jasnym dla wdowy, że w jej sercu niema niezycliwego dla nich uczucia.

— Nic mi nie zawiniły — mówiła sobie.

— One są dobre, ciche dziewczęta.

— I że to tak zmarniało!

I ile razy wracały jej w myśli słowa: „Że to tak zmarniało“ — wzbierała w niej czułość, zwykła kobieca czułość.

— Ah, miły Boże!

Nie mogła się oprzeć westchnieniom, spoglądała na swoje dziewczynki i coś ją poczynało trapić — niepokój, obawa, troska.

— Ah, miły Boże!

Nic już nie zostało z drewnianej postawy, jaką wpierv przybierała; teraz nawet uśmiech znajdował się dla nich — jakiś zawstydzony i niepewny uśmiech, który przyprawiał o zmieszanie Czarnulę, a w oczach jej towarzyszki wywoływał jasny, ukontentowany błysk.

Potym już prędko do tego przyszło, że je zagadywała ostrożnie — by nie urazić — o ich życie. Z Walerci łatwo było wydobyć zwierzenia, nawet wydobywać nie trzeba było, bo ją samą musiała palić potrzeba mówienia o sobie. To nachodziło na nią, i z taką siłą czasami, że gdyby nikt jej nie słuchał, gadałaby pewnie do samej siebie. Zjawiały się wtedy wypieki na jej twarzy — i gadała prędko i bezustanku, jakby chcąc wypchnąć z głowy jakiś ciężki i niepotrzebny ładunek obrazów, jakby coś ją przymuszało, by uzewnętrznić swoje życie, by kłaść je przed sobą dla przyjrzenia mu się i pokazania innym.

Z takimi właśnie wypiekami na twarzy, z takim pośpiechem nie dającej się zahamować potrzeby, w pewien szary, ociekający jesiennym deszczem wieczór, gdy już dziewczynki wdowy się pospały, Walercia rozgadała się o sobie. Wdowa słuchała jej, wsparta o stół. *Czarna* błyskała białkami oczu ukontentowana, że dziś nie milczą obie, jak zaklęte.

Kto ją naprowadził na złe? — mówiła o sobie Walercia. Nikt!

— Najświętsza prawda, że nigdy nie byłam uczciwą.

Mogła mieć najwyżej pięć lat, kiedy z chłopakami latała nad rzekę, pomagając im zbierać szczapy, wyrzucone przez wodę — i ci już wtedy dokazywali z nią, co chcieli; była głupiotka. Zmądrzawszy trochę, pozwalała się ścisnąć tylko tym, którzy jej coś dali, coś dobrego — trochę ziaren słonecznikowych czy jabłko.

— Jabłko? Skądże jabłka mieli twoi chłopcy? — zaciękało Czarnulę.

— Kradli je z galar.

Naturalnie już wtedy wiedziała, że z czasem będzie mogła mieć nawet pieniądze. Gdy podrośnie. Bardzo prędko wydawało się jej, że już podrosła.

— Doskwierało mi coś w żołądku, ciągle byłam głodna.

To musiało ją czynić starszą nad swój wiek. Dość, iż wczesnie zaczęła miewać pieniądze, skąpo jednak. Wyrzucano jej, że jest chuda jak oś. Trudno — nikt jej nie tuczył i czymże była, jeśli nie dzieckiem jeszcze?

Naraz wpadła na trop jakiegoś nowego wspomnienia.

— Co to ja wtedy umiałam? A — pamiętam...

Wciągnęła dolną wargę, poczym przebierając palcami tak, iż paznokcie trącały o górny rząd zębów, wydobyła suchy, kościany odgłos z nutą walczyka. Zaśmiała się i z pomieszaniem spojrzała na wdowę, ale uspokoił ją wzrok pobłażliwy, choć markotny zarazem.

To chłopaki pouczyły ją grać na zębach, grać na wargach, uderzając dłonią w wydęty policzek jak w bęben — i jeszcze jednego: poruszać skórą na głowie. Tłukąc się zaś z niemi, wyrobiła sobie trochę siły; ciągle jednak była chudą, dopiero po dziecku zaczęła się rozrastać. Nikt nie chce wierzyć w jej dziecko.

— Ty, ty miałaś dziecko? — zapytała wdowa osłupiona.

— A ja. Nie widać po mnie, nie mam piersi, bom nie karmiła.

Co prawda, to i sama dziwiła się temu dziecku, nie mogła w nie uwierzyć. Ciągle jej się zdaje, że to chyba nie było tak, jak u innych kobiet, nie była wcale tak grubą przedtym, jak są zwykle kobiety. Gdy wyszła z kliniki z tym szczurkiem na rękę— bo to zupełnie jak szczurek takie małe się urodziło — było jej bardzo głupio. Jednak oswoiła się i jest teraz pyszna z tego, że nie oddała go do podrzutek. Szczurek wykarmił się jako tako smoczką i już ma piąty rok, jest mądry, np. umie powiedzieć: „Kocham mamę z duszą, ciałem i koszulą, ale niech mama da grosz“.

Wdowa słuchała jak przygwożdżona do ziemi i zupełnie struchlała.

— I gdzie ty go masz?

— A w domu, u siebie. I matkę mam u siebie.

Tak, i matkę ma w domu — jest trochę niespełna rozumu, ale do pilnowania dziecka przydatna. Dziecko i matka w domu są powodem, że ona, jak ognia, wystrzega się kochanków, nie może ich mieć, bo jakżeby wtedy utrzymała tych dwoje.

— Ot Czarna — ta ma kochanka.

Wilczątko z wyrazem zawstydzenia i zmartwienia spuściło oczy.

— Tak, ma kochanka — kończyła Walercia — on ją bije.

W zaułku, tuż za oknem, pod którym siedziały, dał się słyszeć hałas — zwykła rzecz wieczorem, Walercia uchyliła zawieszony we framudze kawałek muszliny i wyrzała. Nie było ciemno. Światło narożnej latarni padało na otwartą furtkę, za którą widać było głąb ciasnego, drewnianymi klitami obstawionego, podwórka i środkiem jego przewijający się rynsztok, pełen wody błotnistej. Przed furtką stało dwóch mężczyzn w lichej odzieży, widocznie pijanych. Wymyślali komuś, zapewne kobiecie, której głos odpowiadał im niekiedy z głębi podwórza. Była to szczególna litanja. Jeden wykrzykiwał coraz to inną obelżywą nazwę, drugi zaraz dopowiadał życzenie:

— A bodaj cię...

Życzono jej samych chorób i tylko najwstrętniejszych.

— A bodaj cię zgryzło to i to, a bodajby cię zatłukło to i to.

Obydwóm przeszkadzała czkawka.

A z za parkanu — naderwany, zmęczony głos kobiecy odzywał się od czasu do czasu:

— Milcz, ty bydlaku!

Tuż zaś pod oknem kawiarenki paru wyrostków przyglądało się tej scenie. Rozmawiali.

— Jabym wiedział — słyszać było głos jednego — jak jej

dogryźć, a ci nie wiedzą. Mogą tak gadać do sądnego dnia i ona się nie rozgniewa.

— No, a jak dogryźć?

— Kaprawa, powiedziec jej; kaprawa. Wiesz, ona ma takie małe, zaropiałe ślepia i ciągle niemi mruga...

Zaraz też rozległo się gwizdnięcie i ktoś przeciągle piskliwym głosem wykrzyknął:

— Kaprawa.

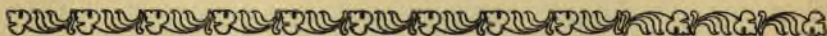
Wtedy pędem wybiegła z furtki nizka, dosyć otyła dziewczyna w krótkiej, za kolana, jasnej spódnicy, czerwonym kaftaniku i chustce zarzuconej na ramiona. Trzymała w ręku skorupę, cisnęła nią w kierunku chłopców; chybiła i z tym samym pędem umknęła na powrót do furtki. Potym już tylko śmiech pijaków słycać było; zataczali się oni jeden na drugiego. Pogwizdywanie chłopców dochodziło już z drugiego końca zaułka.

Trzy kobiety nie straciły ani jednego słowa z tej sceny. Coś ciężkiego, dławiącego i smutnego przeleciało w kawiarence nad niemi.

Dziewczyny wrędcę wyszły. Wdowa wyjrzała za niemi.

W oczach jej była troska, w sercu dziwne uczucie, w którym tkwiła chęć, by je zawrócić, przygarnąć, przed czymś je obronić i coś im wynagrodzić...

(1904 r.)



# PALUCHOWIE.

## I.

Za młodu mawiał Jan Paluch:

— Eh, gdybym to ja mój los za ogon mógł ucapić!

I wypręzał żyłastą, owłosioną rękę, nadstawiał do czegoś niewidzialnego dłoń rozwartą, z palcami zgietemi, niby pazury sięgającej po zdobycz drapieżnej łapy. No, ręka była silna w istocie i nic to, że miał szponów ostrych miała tylko krótkie, mięsiste, tępe palce — niechnoby się w nie zaplątał ów upragniony ogon!

— Ot takbym go sobie owinął wkoło pięści, a wtedy — ehe — jużby mi nie uszedł los mój, obłapiłbym go i nie puścił.

Wyrazu los używał — jak miemam — błędnie. Czyż każdy nie jest posiadaczem swego losu? To, co człowieka spotyka — zło i dobro — zrealizowane dary życia, rzeczywistość, która stała się udziałem naszym — to jest los. Chwytać go za ogon niema potrzeby, bo wogóle nie my jego, lecz on w uścisku nas trzyma.

Paluch miał na myśli zapewne co innego — szczęście, to jest coś, co rzadko kiedy objęte bywa programem spotykającego nas losu, co dopiero ściągać potrzeba skądciś, z krainy naszych pożądań, i ściągnąwszy — za ogon, czy za łeb — przytrzymać i uczynić rzeczywistością.

Była chwila, kiedy Jan Paluch o mało już nie pochwyił swego szczęścia za ogon. Ludzie mniemali, że on już je posiada, odkąd się ożenił; nie było to ściśle prawdą, ale bądź co bądź owa chwila, gdy chwytana, rozwartą dłoń Palucha już blizką była ujęcia celu, przypadła na pierwsze lata małżeńskiego pożycia. Paluchowa była wtedy jego sojusznicą, to znaczy, że nie dwie osamotnione ręce, lecz czworo rąk silnych, wyprężających się ruchem zgodnym, sięgało po rzecz jedną, jednako upragnioną. Jak oni sobie wtedy oboje dodawali otuchy i jak ta wzajemna zachęta, sojusz silny,

zgodność pragnień i ruchów rąk chwytnych pomnażała owoce ich zabiegów!

Do miasta, do nadrzecznej dzielnicy, gdzie cała od początku do końca historia ich pomyślności i upadku się rozesuła, przybył Paluch młodym człowiekiem. Miał krzepką budowę ciała, ale chłop to był brzydki, a przynajmniej mało powabny, o okrągłej upstrzonej piegami twarzy, z wąsem rudym i takąż czupryną. Wybitnie dobrych lub złych skłonności człowiek ów nie miał. Oskarżała go prawie jedna okoliczność, że służąc ostatnio, przed przyjściem do miasta, za parobka u zamożnego włościanina, bałamucił jego żonę. To ludzie mówili, że bałamucił; w gruncie rzeczy Paluch nie miał w tym wypadku sposobności do okazania się uwdziacielem. Ta kobieta — niemłoda już, a krzepka — sama do zrozumienia mu dała, czego sobie życzy. Pozostało tylko uledez.

Zapewne — nie każdy na miejscu uległby, znalazłby się i taki, coby plunął i poszedł. Jemu to odrazy nie sprawiło. Tylko wprędce uczuł urazę do gospodyni, że mimo zażyłego z nim stosunku ani się nie starała w robocie mu pofolgować, ani mu wikt wiele nie polepszyła. To go jątrzyło.

— Chybam ja głupi? Co mi potym! Niech kogo innego to szczęście spotka.

I wtedy dopiero — co należało odrazu zrobić — splunął i poszedł.

Udał się do miasta, gdzie rychło zapomniał o babie starej, a spragnionej miłości za darmochę. — Po jakimś czasie los znów zaznajomił go z kobietą o lat kilka starszą od niego, posiadaczką dwustu rubli, zaoszczędzonych w służbie. Kobieta i pieniądze były do wzięcia. Paluchowi odżyła w pamięci tamta przygoda.

— Podobałem się jednej, spodobam się i drugiej.

Uczuł się bogatym w doświadczenie, które dawało mu pewność siebie, ryzykowność. Był wtedy najzupełniejszym nędzarzem; miejsce woźnicy dorożkarskiego utracił świeżo z powodu



jakiegoś nieporozumienia z policją, która jazdy mu wzbronila. Nie trafiało się nic. Ubranie miał liche, powierzchowność bardziej odstręczającą, niż kiedykolwiek, bo nawet ogolić się nie miał za co. Słowem, warunki zewnętrzne były dlań wtedy niepomyślne i całym jego oparciem stał się czynnik wewnętrzny, śmiałość. Więc, gdy mu się powiodło z Anną Pomorską, przypisał to wyłącznie męskiej pewności, z jaką ją osaczył.

I mylił się. Śmiałość zrobiła tyle tylko, że zwróciła nań uwagę tej kobiety; do poślubienia jednak nigdyby nie przyszło, gdyby ona nie przejrzała innych, ważniejszych cech jego. Te zaś określiła po swojemu, ale trafnie — „chłop bez lekkich myśli”. „Lekka myśl“ była jej postrachem i zmorą, czymś, co już musiało ją tak dotkliwie skaleczyć, że odtąd drżała i otrząsała się na samo wspomnienie.

A w nim była chęć dobiecia się czegoś — chęć, nie idąca w parze z lekkimi myślami. Więc przyszła żona Palucha patrzyła nań życzliwie, gdy wyciągał swą rękę i rozstawiał palce, mające uchwycić niewidzialny ogon szczęścia.

— Chce się dorobić, chce coś posiadać.

Tu jednak jej własna myśl podejmowała robotę, której nie dokonała jeszcze myśl Palucha. Jego niewyraźnym pragnieniom dawała ona pewien zarys, jaki wydawał się jej najbardziej naturalnym; w jej mniemaniu jedynie możliwą granicą pragnień Palucha, w ich najdalszem posunięciu, musiał być powrót na wieś. Niech ma trochę grosza, niech go jeszcze przyrobi — a cóż może wtedy chcieć innego nad to, by powrócić i znowu wrócić w zagon.

Sądziła po sobie. Ją ciągnęło na wieś tak, jak obnażone przypadkiem korzenie rośliny ciągną się ku ziemi, usiłując zagłębić się w niej z powrotem. Koło dwudziestu lat miała, kiedy ze wsi wygryzła ją rodzina; ojciec, którym rządziła druga żona, wzdragał się dać córce wiano dostateczne; dwa razy z tego powodu rozchwiało się jej małżeństwo. Warczenie macochy i kręactwo ojca, który ciągle obiecywał, nie dotrzymywał, odwlekał — zmordowało ją i poszła. Ale na odchodnym wieś obsypała ją grudkami

swojej ziemi, i przyłgnęły one mocno do niewidzialnych korzonków i nici, oplatających ją całą — do korzonków i nici, które w owej chwili los obnażał i rozrywał. Wieś żyła w niej przez wszystkie lata. Tak było zapewne dla tego, że dusza jej miała pewną głębinę, na której dnie dało się coś przechowywać, naprz. tęsknotę.

Otóż to... Własna jej tęsknota kładła się u ujścia niewyraźnych pragnień Palucha, wplątywała się sama w jego rozstawione palce.

## II.

Kiedy już omówili swoje małżeństwo, Anna wyznała, że ma dziecko. Powiedziała o tym Paluchowi krótko, bez wstępu, bez ogródek. Dziewczynka chowa się u ludzi na przedmieściu. Znajomość z „tamtym“, poczęta w szóstym roku pobytu jej w mieście, trwała parę lat; połączenie się coraz to odwłóczono, i tak się wszystko skończyło, że wreszcie ona sama nie zechciała wyjść za niego.

— Miał lekkie myśli. W głowie nic — tylko lekkie myśli — mówiła z goryczą.

— Mordowałam się, mordowałam — nadaremnie. Żeby się chciał czego jednego trzymać — ale nie i nie.

Człowiek ten nie mógł się ustalić zarówno w robocie, jak całym swym życiu. Dziś miał taki zamiar, jutro już nie ten; dziś mówił jedno, nazajutrz drugie, a po kieliszku wódki znów co innego; raz po raz wdziewał na siebie nową skórę i żadnej długo nie ponosił. Rozeszli się. Ona sobie powiedziała, że lepiej wstyd ponieść, niż na całe życie spętać się z takim, komu brak stałości.

Opowiadała to spokojnie, niez mieszana, ale na ostatku targnęło nią i coś zadrgało w jej twarzy. Opuściła głowę.

Paluch słuchał w milczeniu. Parę razy pomruknął:

— Hm, hm. Tak — tak.

Gdy skończyła, zapytał :

— Duża już dziewczuszka ?

— Szósty jej idzie.

— U kogóż jest ?

— U obcych. Płacę.

Wyłumaczyła mu, że zachowując dziecko przy sobie, musiałyby poprzestać na służbie lada jakiej; nie oszczędziłyby nic; żadnejby przyszłości ani dziewczynie, ani sobie nie zapewniła, zginęłyby obie w trudnych chwilach, w czarną godzinę.

— A tak starczyło mi i ludziom zapłacić i coś jeszcze odłożyć.

Odmalowało się trochę zafrasowania na twarzy Palucha, ale widocznie nie miał nad czym długo się namyślać, bo, pomilczawszy, odezwał się niby o rzeczy najzwyczajniejszej :

— Czegóż się ma poniewierać u obcych. Weźmiemy ją do siebie.

Za tych kilka słów ona czas długi czuła się winną mu coś; z obcego naraz stał się jej blizkim człowiekiem i godnym, żeby w ogień za niego skoczyć. Długo, trwały w Paluchowej te słowa razem z radością, która całą ją wtedy rozpromieniła, i wdzięcznością, idącą ku niemu z pod jej serca.

Czy Paluch okazał się tu tak bardzo dobrym? Zdaje się, że wszystko polegało na tym, iż to, co dla niej było rzeczą pierwszorzędnej wagi, dla niego — tylko podrzędną.

Wogóle jednak pożycie ich rozpoczęło się pod dobrą wróżbą.

Ona sobie mówiła.

— Za to, że jest dobrym, że wziął dziecko bez niechęci, że nie dokucza małej, ani mnie nią oczu nie wykłuwa — zato zobaczy, jaką mu będę robotnicą.

A on miał poczucie, iż los obszedł się z nim bardzo dobrze, dając mu kobietę zbiegłą, pracowitą i mającą grosz. Mówił sobie, że jej nie oszuka. „Zobaczy, co ja z jej grosza wyrobię“.

Słowem, tak się stało, że na pewnej przestrzeni pragnienia ich i zabiegi miały dążyć w zupełnym zespoleniu, po drodze do

dorobku. Jedność, wspólność — to była tajemnica powodzenia, osiągniętego przez nich z szybkością, która swego czasu bardzo zdziwiła ludność nadrzecznej dzielnicy.

Paluchowie rozpoczęli od kupna dwu krów. Mleczarstwo w wielkim mieście było wtedy jeszcze interesem dostępnym, w którym można było coś osiągnąć małymi środkami; nie sprawdzano, czy obora posiada podłogę asfaltową i ulepszone przewietrzanie. Krowy swe umieścili w jakiejś starej drewnitni, a dla siebie wynajęli wielką, długą, ciemną izbę na dole. Wejście i okno, wznoszące się cokolwiek nad poziom chodnika, były od ulicy; schodziło się po kilku schodkach, a w głębi, za tem mieszkaniem ciągnęła się piwnica, która dawniej bezwątpienia stanowić musiała z ich izbą całość jedną, pod sklepieniem sufitem, wśród odwiecznych, grubych murów. Była to resztką, ocalałe skrzydło jakiejś starej budowli, wokoło otoczone domami, lubo młodszymi, lecz już zgrzybiałymi i strawionymi bardziej przez czas, biedę, zaniedbanie, przez wrogów, którzy odzierali je z tynku, wyłupywali cegły i rozmazali plamy wilgoci. Między temi ruderami stare, siwe, nienoszące skaz mury owego budynku wyglądały jak odłamek granitu, wlepiony w kruszący się piaskowiec.

Tu był górny wylot ulicy, po ubocznej stronie miejskiego wzgórza spadającej ku rzece. Z tego miejsca widziało się domy, usuwające się coraz niżej, niby po stopniach olbrzymich schodów, w dole wązkie, lśniące pasemko wody, za nim kępę drzew, domy przedmieścia i na ostatku omglony skrawek pól.

Izbę swą Paluchowie przepierzyli, skutkiem czego druga jej połowa, w której gotowali i sypiali, została prawie pozbawiona światła i tam wiecznie paliła się lampka, zakopająca sklepienie, a za to pierwsza połowa nabrała pozoru schludnego i jasnego pokoiku. Tu stało parę stolików biało nakrytych; stara wygnieciona kanapka; szafeczka niska, zastępująca komodę, nad nią przybity nisko obrazek jakiegoś świętego o wydłużonej, ascetycznej twarzy, a z obu stron jego, obok szkatułki lakierowanej,

przykrytej włóczkową serwetką, stały w małych doniczkach dwa kwiaty z niebieskiej bibułki, niby astry. Była jeszcze niewielka lada, oklejona kawałkami kwiecistej tapety. Na ladzie garnki, donice i miski z mlekiem. W jednym z kątów izby gdał zegar. Zaczisnie tu było ludziom, którzy przychodzili na słodkie, lub kwaśne mleko.

Najczęściej spotykali Paluchową samą, gdyż on roznosił mleko po gospodach, lub jakieś interesy obrabiał z ludźmi za domem.

Paluchowa liczyła wtedy trzydzieści kilka lat. Rosła, prosta, szeroka w biodrach — ruchy miała szerokie, swobodne, nie wahające się. Pierś jej płaska nie uwydatniała kobiecości. Twarz dosyć miłą szpecił nos za długi, a ozdabiały oczy jasno-szare, ładnie wykrojone.

Drugą parę podobnych oczu, tylko z jakimś sennym wyrazem, posiadała jej córeczka. Była to dziewczynka nieruchawa, ociężała, całemi godzinami przesiadująca w głębokiej framudze okiennej. Tam, gdy sprzykrzyło się jej wyglądanie na ulicę, podkładała sobie rękę pod głowę i zasypiała. Zmuszana do ruchu, płakała i za chwilę trzeba było szukać jej w jednym z kątów, gdzie lubiła się pokładać. Swojami ładnymi sennymi oczami patrzyła na ludzi, jak na rzeczy, nikim się nie interesując i najczęściej nie odpowiadając, gdy ją o co pytano.

### III.

W końcu pierwszego roku Paluchowie mieli taki odbyć na mleko, że nie wystarczał udój od ich krów i poczęli na przekup brać od pachciarzy. Korzystniej jednak byłoby mieć swoich krów więcej i Paluch już trzymał w odwodzie znajomego handlarza bydła, który gotów był poczekać na część pieniędzy. Wzięto od niego dwie krowy, latem zaś następnego roku obmyślił Paluch coś, co pozwoliło im dług wprędce spłacić i oszczędności, pierwsze na ich dorobku, napędzać poczęło.

Dzielnica ich przylegała do wybrzeża, ciągnącego się długim,

niezabudowanym pustkowiem. Nieprzykryte ani odrobiną cienia, nieprzybrane ani odrobiną zieleni, obumarłe — jest ono od strony miasta bezprzykładnie smutną ramą do obrazu pięknej rzeki. Tutaj wydzierżawił Paluch część pustego placu, oparkanił, urządził po jednej stronie daszek, który ku schyłkowi dnia dawał nieco cieniu, ustawił tam kilka stolików i ławeczek, a przy wejściu umieścił deskę, pomalowaną na czarno, z białym napisem: „Mleko w ogródku“. Na samym środku tego piaszczystego placyku rosła akacja — biedna, oskubana i poobgryzana przez kozy, które tu pierwiej ktoś uwiązywał. Teraz Paluch obszedł się z nią bardzo ludzko, zasmarował czymś jej rany, usunął zawadzające jej suche gałęzie — i oto przez nikogo nielubiana kaleka odrazu stała się czymś miłym, pożądanym i oszczędzanym. I cały ten pseudo-ogródek stał się miłym, pożądanym, czymś — co utrafiło w niezaspokojoną potrzebę biedaków, nawiedzających te strony. W letnie wieczory, kiedy pustynia, nagim pasem wyciągnięta wzdłuż rzeki, za dnia spieczona, poczyniała chłódnać, ludzie tu ściągali, by uchwycić rzeźwiące tchnienie wód i popatrzeć na wspaniały bieg płowej fali, która z pod zamglonych obrzeży nieba rozlewa się szeroko i z przeciwnej strony znów zasuwa się pod dalekie omglenia.

Zaraz po pierwszej niedzieli miał Paluch czego sobie powinnować. Przygotowane zapasy mleka swojego i kupnego znikły niewiadomo kiedy; rozprzedanoby trzy razy więcej. Okazało się, że ławeczek za mało, że trzeba prócz mleka mieć wodę sodową, kwas, pestki; że ktoś nazwał akację pięknym drzewem, które jeszcze doskonale się trzyma, że ktoś inny powiedział: „Nawet cień drzewa pachnie“.

Późną nocą, po zamknięciu ogródka, wrócili do swego mieszkania, zcicha wsunęli się do izby, za przepierzenie, gdzie półmrok, wytworzony ćmiącą się przed obrazem lampką, popogłębiał kąty i zdawało się, że nad głową rozsuwa okopcone sklepienie.

Z zawinięcia wydobył Paluch koszałkę z pieniędzmi, naprędcę okręconą w gałgan, i potrząsnął nią. Obudziło to starą kobietę,

spółmieszkanekę Paluchów, pod której opieką zostawiano małą Władkę wieczorami. Dźwięk pieniędzy wpłatał się do przerwanego wątku jej snów. Stęknęła i coś zagadała.

— Oho — ho — obłowili się, a co! nie mówiłam.

I zaraz już zapomniawszy, co to było, poczęła się rozglądać z zawstydzieniem.

— Ot i państwo wrócili... A mnie się coś śniło... No, jak tam Pan Bóg poszczęścił?

Paluch potrząsnął swą koszałką przy samej głowie staruszki.

— Chwała Bogu — rzekła — widać, że dobrze poszło.

Teraz do jej łóżka, na którym sypiały obie z dziewczynką, bojącą się samej spać, podeszła Paluchowa.

Staruszka odchyliła kołdrę.

— Śpi, śpi. Niechno się pani nią nacieszy. Bo i śliczna — bo i śliczna...

Może chciała się przypochlebić, a matce naprawdę wydał się anielską ślicznością buziak ciemno-różowy z lepiącymi się do spoczonej skroni włoskami. Ucałowała je na czole małej i wróciwszy do męża, ciężko usiadła na łóżku.

Paluch zabierał się do liczenia.

— No, Andziu, powiedz — mam głowę, czy nie mam?

— Masz, masz.

Uśmiechnęła się i patrzyła nań życzliwie...

Leżeli już chwilę, gdy ona, trąciwszy go w ramię, odezwała się jeszcze:

— Słuchaj Janek, niechby to lato i — da Bóg — następne poszło nam tak dobrze, tobyśmy już...

Ale urwała, dosłyszawszy rozpoczynające się chrapanie jego.

#### IV.

Rzeczywiście — i to i następne lato przeszło im, jak nie można lepiej. Mieli już oszczędności. Gdy na zimę — drugą z kolei — zamykano ogródek, Paluch zwierzył się przed żoną, że obmyśla

coś nowego. Niewielki na początek skład węgla w ich dzielnicy — grosz taniej na pudzie, niż u innych — to byłoby chyba niezłe? Wiedział o pewnej rudrze z szopą na podwórzu, doskonałe miejsce; nie żądają drogo. Idzie tylko o to, czy ona sama da sobie radę z mleczarnią; oczywiście, potrzebna jej będzie pomocnica.

— Może i nie. Zresztą to już zostaw wyłącznie na mojej głowie.

W ten sposób podzielili się interesami, on prowadził swój — ona swój. Robiła z ochotą i cieszyła się z jego pomysłu, co znów jemu sprawiało przyjemność.

— A widzisz, przekopałem jeden rowek, a teraz drugi. Dwoma rowkami płyną do nas grosze.

Naturalnie, że dwoma rowkami płynęły przedziej. Kiedyż jednak zastawi się służę? Paluchowa uczuwała czasem zaniepokojenie — jakże to długo tego będzie? Były chwile, że jej się przykrzyło.

— Czy ty myślisz o tysiącach? — mówiła do niego trochę niecierpliwie — powiedz no, czy nam jeszcze wiele brak?

— Do czego?

— Jak to do czego? Do tego, żeby kupić mały kawałek ziemi. Nam przecież dużo nie trzeba. Mały kawałek ziemi — i ucze-pić się niego z trochę grosza, póki ja mam nienajśłabsze ręce i ty też.

Paluch zamyślał się i kręcił głową.

— Eh, o czym tam jeszcze gadać.

Gdy jeszcze lat kilka upłynęło, poczęła ostrzej naciskać na męża. Wpierw zaś, nie zapytując jego, spróbowała sama wyrachować, ile też mogą mieć teraz, ileby dostali odstępnego za skład węgla, za mleczarnię z krowami, ile jest gotowizną. Zdumiała się. Ależ za te pieniądze w jej stronach byłoby dziesięć morgów ziemi, zabudowania, inwentarz. Dosyć. Czy w końcu mają doczekać się starości? Już i teraz kaftany na niej stały się luźniejsze, a jej ręce wyraźnie są chudsze i słabsze, dużo słabsze.



Wyłożyła mu swoje zdanie bez gniewu, cierpliwie, ale stanowczo. Paluch zaś ani myślał się z nią spierać.

— Słusznie mówisz, jakbyś moje własne słowa z gęby mi wyjęła. Na starość — co nam tam będzie potrzeba. I powiem ci, że co ty dopiero myślisz — to ja już robię.

I zbił ją z terminu, wyznając, że nie od dziś ma już upatrzonogo kupca na skład, naturalnie, kupca jak się rozumie, bo powinni wziąć dwa razy więcej, niż ona liczy. Otóż — za tym upatrzonym człowiekiem i on chodzi i pewien przyjaciel jego chodzi i zdaje się, że naprawdę da się zrobić nie byle jaki interes.

— No, niechże i ja raz uciąpię mój los za ogon! — zakończył Paluch.

Mniej więcej w tym samym czasie pisano ze wsi do Paluchowej, że ojciec jej umarł. Wiadomość ta niespiesznie jej się dostała, już po pogrzebie. Pisał brat, zaczynając od niezmiennych listu wiejskiego słów: „Pozdrawiam cię, kochana siostró Anno, i donoszę, że z łaski Boga Najwyższego jesteśmy zdrowi, czego i tobie życzymy, a następnie donoszę ci, że w samą niedzielę, pierwszą po św. Trójcy, kochany rodzic nasz“...

O nastąpić mających działach, dla których zjechać powinna, stało przy ostatku.

Paluch nie wybrał się z nią, bo przez ten czas mógłby mu ujść jego człowiek, z którym właśnie dobijano sprzedaży. Jeździła sama.

Wypadło to w czasie kończących się żniw. Droga zajęła jej ledwie tydzień, a tam, na wsi, zabawiła Paluchowa niespełna pięć dni.

Cóż znaczy pięć dni. — Jednak wróciła zupełnie inna. Wróciła bez humoru, milcząca i jakby ospała, ot poprostu — nie ta sama kobieta.

A Paluch powitał ją rozpromieniony.

— Skończone. Wiesz, ileśmy wzięli za skład?

Patrzyła na niego osowiałym wzrokiem.

— No, kochanko, mamy kupę pieniędzy. Zaraz ci powiem, co teraz obmyśliłem. A tobie jak poszło?

Ona też wyjęła zwitek pieniędzy.

Bracia rozrachowali się z nią bardzo rzetelnie i spłacili ją zaraz od ręki. Te trzy morgi, co na nią przypadły, oceniono tak, iż lepiej niktby zapłacić nie chciał. Ojciec miał bardzo nakazywać, żeby jej krzywdy nie zrobiono.

— A to niech mu Bóg da żywot wieczny ze świętymi swemi. Ale i bracia twoi rzetelni, boć mimo wszystko zarwaćby cię mogli.

— I co — dodał, patrząc na nią z pod oka — wykpił cię, że po czterdziestce chcesz się do wiejskiej roboty na nowo wkładać?

Ponieważ milczała chmurnie, więc dał jej pokój i nawet do innego razu odłożył opowiedzenie jej, co teraz wymyślił.

A była to rzecz dobra i — jak wszystko, co poprzednio obmyślił — nie mogąca zawieść. Mleczarnia — mleczarnią, to na jej głowie, a on zajmie się furmaństwem; wystarczy mu na kupno furmanek i koni; będzie woził, a raczej ludzie jego będą wozili, wszystko, co się w mieście nadarzy. Ludzie jego codzień mu przyniosą pieniądze.

Nigdy już dłoń Palucha nie miała być bliższą trudnego do pochwycenia ogonu losu, jak on go pojmował.

Ludzie będą na niego robili...

## V.

A na wsi rzeczywiście nikt Paluchowej złego nic nie wyrządził. Ani w rozrachunku jej nie ukrzywdzono, ani obejściem nie urażono. Gdzież tam — nie spodziewała się wcale, że ją tak serdecznie, tak po ludzku, tak po rodzinnemu przyjmą. Nawet macocha, nadstawiając do pocałunku swoje zwiędłe, rozorane policzki<sub>x</sub> i sama<sub>x</sub> lgnąc do jej ust wargami bez krwi — płakała starczą, wolno ściekającą łzą, która została na ustach Paluchowej. Ręki jej długo nie chciała puścić macocha; głowę jej pogłaskała; zamyśliła się, patrząc na pasierbicę.

— Znać lata, o! znać lata na tobie, Andziu; — patrzcież — jakieś to się podstarzała.

Bracia całowali ją najpierw w rękę, potem w usta, długo, głośno, po kilkakroć. Bratowe, dzieci — nikt nie pominął jej dobrym słowem. Kiedyś — coś różniło ją z niemi. Teraz niktby sobie nie umiał tego przypomnieć.

Nadzwyczajnie dobrze było Paluchowej w tej godzinie, pomimo, że nie tylko oczy, ale wszystko w niej płakało, całe wnętrze, cała dusza, całe życie — rok po roku jej życia swoją wysączała łzę.

A ten płacz wewnętrzny rozpoczął się już wtedy, kiedy od stacy — gdzie ją pociąg wyrzucił — biegła sama spiesznym, poganianym krokiem po drodze piaszczystej, między opłótkami; kiedy naraz wszystko przypadło do niej — od nieba, równiny, boru, krzyża między brzoziami i chałup, i stodół, i żórawi, i dymu, sączącego się z kominów — do każdej z za strzechy wychylonej gruszy; kiedy naraz wszystko spostrzegła — i że wokoło już po sprzecie przestronnie, luźno, złociście na ścierniach, i że ot tu, gdzie ona przechodzi, zakręcił z pola wóz i przejechał w poprzek drogi, zostawiwszy świeże, głębokie wyżłobiny, i to że niektóre brzozy zawczasie pożółkły, i że kartoflom musi być za sucho, i że za sołtysem ktoś pobudował nową chałupę. Nie mogła naraz pomieścić w oczach wszystkich rzeczy, które do niej biegły, pchały się i wołały na nią; nie mogła ich pomieścić, ale odpowiadała im jednym wielkim głosem, który zaraz nabrzmiał łzami. I już wtedy wszystka płakała, wszystka jak tu szła tą drogą. Odwilgły malutkie grudki ziemi, któremi niegdyś ta sama droga na odcho-dnym ją posypała — odwilgły, wracały, ją prowadziły i sypały się na drogę.

— Do naszej ziemi, znów do tej ziemi — wracamy.

A ziemia, jako zwrot jej należny, przyjmowała grudki swoje i łyzy Paluchowej.

I ludzie się im nie dziwili:

— Wypłacz się.

— Niech się wypłacz. Zostawcie ją w spokoju.

Na ostatku, po wszystkich, uściskał ją zgrzybiały dziadek. Że jeszcze żył ten dziadek po jej matce...!

— A widzisz — żyję. I snopki jeszcze potrafię wiązać.

Takim samym go zostawiła. Wychudły, zgięty w kabłąk, zasęchl i nic się nie zmienił — te same pasemka brudno-białawych włosów, lepiące się po spotniałej łysinie; te same usta zaślinione i niedomknięte, z wargami, które zawinęły się w głąb czarnej, bezzębnej czeluści; te same oczy w głębokich jamach — niespokojne, latające — i tak samo, jak przed laty, dziadek od jesieni do lipcowych upałów nie lubił wyłazić z chaty, a w żniwa wyłaził i płątał się po polu.

Paluchowa zastała wszystkich przy robocie. U nich nie było jeszcze dożęte, a trochę leżało w garściach; nazajutrz mieli dokończyć żąć. Z wszystkimi i ona wyszła w pole.

— Zobaczysz mnie, Andziu, w żniwo. Dobrześ trafiła — gadał do niej dziadek.

A gdy przyszli na pole, kazał jej rozciągnąć powrósł, sam zaś z bajeczną powolnością przesuwając szkieletowe nogi, na których, jak na kijach, obwisały łatane spodnie, zbierał garsteczki. Ponieważ zawsze był zgięty, więc mu już niewiele brakowało, by dostać do ziemi — i tak przy samej ziemi trzymając sztywnie opuszczone ręce, ciągnął garsteczki i kładł na powrósle. Kiedy już zebrało się tyle, co snopek, usiadł sobie nań pośrodku i siedział.

— Wiesz, co ja robię? Ugniatam. Jak ugniotę w środku, to potem łatwiej przewiązać, nie potrzeba tak ścisnąć.

Siedział, rozglądając się, kaszląc, spluwając z półgodziny, a przez ten czas kazał jej snopki zbierać i wiązać.

— Pokaż ty swoje, co umiesz.

Wreszcie, wykręciwszy się, przyciągnął końce powrósła i związał snopek na siedzący. Ale i ten snopek i drugi, przez Paluchową powiązany, rozleciały się, gdy brat jej niemi potrząsnął.

— Ot dziadka robota — zaśmiał się.

— No moja i nie moja. Widzisz — mój się lepiej trzymał, niż Andzin.

Potem wzięła Paluchowa od bratowej sierp i spróbowała żąć. W rękach została jej pamięć ruchu, chwytła garstki, podżynała, kładła — jak inni. Ale wprędce musiała uklęknąć i długo nie mogła wyleźć z bruzdy, bo krzyż nie dawał się wyprostować. Spróbowała drugi raz i znów ból ją zmógł; ręce, nogi, krzyż, ramiona, szyja — wszystko opierało się tej pracy. I dawniej, pierwszego dnia, trzeba się było nacierpieć, ale teraz poczuła całe swoje ciało, jako coś tak zeszywniałego, że raczej dałoby się złamać, niż w tym przygięciu do ziemi powtarzać jedne ruchy. Osowiała.

Wieczorem zgadało się o jej zamiarach.

— Nie włożysz się — powiedziała jej macocha wręcz.

— Nie włożysz się — jużes postarzała, nie rychło ci do motyki i sierpa i całej naszej roboty. Zaharowałabyś się, zamordowała, ręcebyś sobie po łokcie pourabiała i zawszebyś z swojej roboty niekontenta była. Bo wiesz, ty wiesz — jak powinno być zrobione, a nie mogłabyś tak zrobić.

Wszyscy milczeli, nikt nie zaprzeczał macosze.

— Chyba — ciągnęła — chyba żeśta bogaci, chyba żebyśta się wyręczali, chyba żebyś wróciła, jak dziedziczka i parobków se najeła. Może -- majątku waszego nie liczyłam. Ale powiedz, Andziu, ładnieby to było, żebyś jak dziedziczka, na którą ludzie robią, wróciła bodaj do nas, bodaj gdzieindziej?

Z kąta odezwał się dziadek:

— Ani tu, ani gdzieindziej. Nasza robota od Boga — wyręczać się grzech, nie godzi się.

I Anna Paluchowa pochyliła głowę kornie.

## VI.

Zima podchodziła. Wszystko, co żyje, odsuwało się od wybrzeża zlodowaciałego. Mróz chwycił ziemię nieośnieżoną, nagą;

po pustkowiu wiatr, nie znajdujący zapory, dał kłębami przemarzłego piasku i pyłu i niósł je stąd w ciasne uliczki, wspinające się po wzgórzu.

Pod wczesny zmierzch listopadowy zesła Paluchowa ostatni raz nad rzekę. W ogródku dawno już nikt nie bywał, ale stoliki i ławeczki nieuprzątnięte stały jeszcze wokoło bezlistnej, skurczonej akacyi; trzeba je było pousuwać pod daszek, gdzie miały przeleżeć zimę. Gdy już tam zasunęła ostatnią ławeczkę, przysiadła potym na niej, rozglądając się po opustoszałym placyku. I wokoło niego, po wybrzeżu całym była pustka zimna i odrętwiała, naprowadzająca nudę.

— Czego ja tu siedzę? — myślała Paluchowa.

Siedzieć nie było czego, ale i wstać się jej nie chciało; trzeba się było przymusić.

Zamknawszy ogródek, przystanąła na wybrzeżu, plecami wykręcona do dmącego wiatru. Rzeka wyglądała surowo i nieprzystępnie. Fale jej, ociążałe i zgęstniałe, przelewały się leniwie; szmer ich ginął w wietrze. Cała masa wód jednostajnie pociemniałych jakoś uszła w siebie, zamknęła się w sobie, a niemowność ich stała się odpychającą. Zdawało się, że one niechętnie odsuwają się od brzegu, a znów brzeg — niezamieszkały, zimny, nagi, ponury — odsuwa ludzi, nie dopuszcza odwiedzin życia w miejscu, gdzie następuje obumieranie wód. Rzeka obumierająca była już czymś obcym, niechętnym życiu, szukała samotności, odosobnienia.

Było to tak wyraźne, że patrząc na nią Paluchową poczęło ogarniać coraz przykrzejsze uczucie nudy. Ale i wracać jej się nie chciało.

— Czego ja tu stoję, trzeba iść — powtórzyła sobie kilkakroć. I poszła ku miastu bez pośpiechu, ociążałe.

Odkąd ta nuda, to przykrzenie się sobie nawiedziło Paluchową, sprawy ich obojga poszły zupełnie inaczej. Wszystko poczęło się

rozkrećać z zadziwiającą szybkością. Widoczne było, że ona o swoje potrzeby nie dba zgoła, o potrzeby męża i córki mało.

Palucha bardzo niecierpliwiło usposobienie żony i niedbalstwo, które naraz we wszystkim ujawniać poczęła. Wymawiał jej niewdzięczność i głupotę.

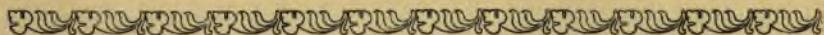
Trzeba być naprawdę głupim, bezmózgim bydlęciem, by nie cenić człowieka takiego, jak on — zabiegliwego, nie pijaka, z głową dobrą, przebiegłą — i nie dopomagać mu, a co gorzej — stać się zawalidrogą.

Ale ona, zamiast przyznać mu słusność, wpadała również w rozdrażnienie. Taki niespokojny stan rzeczy sprawiał, że Paluch nie tylko nie mógł skupić się i obmyślić coś nowego dla dalszego polepszania swoich interesów, ale poprostu był zmuszony bezradnie patrzeć, jak coś mu zasypuje już przekopane rowki.

— Ah, jaszczurka, zaraza — myślał o żonie.— Chybaby mi za grzech nie policzono, gdybym ją zadusił.

Gdy upłynęło jeszcze kilka lat, wrócił znów na kozioł dorózkarski, ale ani dorożka, ani koń, nie były jego własnością. I wrędcę owdowiał.

(1904 r.)



# HIERONIM RUDDER.

## I.

Hieronim Rudder był młodszym z dwu synów tego Rudderów — zdaje się, Mikołaja, który pierwszy w rodzinie ujawnił wstręt do kancelaryi i siedzącego życia, który dzięki zapewne świeżej krwi swej matki wieśniaczki nie był obciążony dziedzictwem hemoroidalnym i wyłamał się bezpowrotnie z szeregu Rudderów, nielubiących innej karyery nad urzędy sądowe i administracyjne.

Wprawdzie nastąpił czas, że z tych szeregów poustępowali i inni — Rudder-burmistrz, Rudder-prezydent któregoś miasta gubernialnego, Rudder-prokurator i jeszcze dwu sędziów (któs z tej gromadki nie mogąc się rozstać z gmachem sądowym, przerzucił się na advokaturę, jeden zaś został rejentem) — lecz na to nie wpływała ich własna wola; ustąpić musieli; mimo swe obco brzmiące nazwisko rodziną byli polską, urzędy zaś obsadzono obcokrajowcami. Jeden tylko Mikołaj sam nie chciał mieć do czynienia z kancelaryą i majątek swój zrobił jako fabrykant powozów.

Zrobił duży majątek.

— Tyle pieniędzy dotąd żadnemu z Rudderów nie udało się wykrobać piórem, ani wygardłować przed kratkami sądowymi, ani wydrzemać na sędziowskim fotelu, — sam mawiał cynicznie.

A o nim mówili kuzyni:

— To człowiek przyziemnych aspiracyi.

Bóg to raczy wiedzieć, czy mieli słuszność. Co to są górne dążenia a przyziemne? Rzecz się miała rozumieć w ten sposób, że gdy prokurator Rudder — powtarzam, dawne to dzieje, gdy zajmował ten urząd — układał swą mowę, lub gdy bliższy naszych czasów burmistrz Rudder wojował z przekupkami, które za zajęte na targu miejsca nie uiściły należnej miastu opłaty, to obaj widzieli przed sobą cele, wyższość których nad wypuszczeniem



spokojny, wspaniały, spiżowy, lecz dniem wprzód, wieczorem, w swoim gabinecie przeżywał chwile niepokoju i drżączki, kiedy z warsztatów powozu lub bryczki na resorach — nie podlega dowodzeniu, będąc oczywistą. Tam idea sprawiedliwości, tam słuszny pobór opłaty w imię ogólnych potrzeb miasta i w celu wydzwignięcia go na poziom wysokiej kultury, — a tu?

Samo zbieranie pieniędzy.

— Wuj Mikołaj niczego nie pojmował poza zbieraniem pieniędzy!

Czy wypada zresztą zestawiać tak różne przymioty umysłu i ducha! Wyobraźmy sobie tylko pracę myślową Rudderera Jana, tego, który był oskarżycielem publicznym; z czym ją można porównać w świecie zmysłowym? Chyba z delikatną robotą koronczarki w kunsztowny deseń wikłającej swę nitkę, chyba z subtelnym jakimś przedziwem, chyba z laubzegą. Nie cofam się przed laubzegą, owszem — zdaje mi się, że patrzę na to, gdy z cieniutkiej deseczki, pochodzącej z drzewa jakiegoś osobliwego i drogiego, Jan Rudder wycina bajecznie trudny ornament. Czyż jego umysł nie posiadał w istocie ostrza i subtelności drobno ząbionej laubzegi! Kiedy z wątlej i na oko tak kruchej, łamliwej deseczki, która zowie się logiką dowodów obciążających oskarżonego, piłeczka laubzegi umiejętnie wycięła napis: Ten człowiek zawinił i trzeba go ukarać, — czy sądzicie, że drewniany i suchy napis ten utworzyły jakieś proste, pałeczkowate litery? Skądże — to był *chef d'oeuvre* sztuki wycinania, cudne arabeski myśli, jej esy i floresy, nawet trudne czasem do rozwikłania. Lub — jeśli wolicie — to była siatka z niteczek cienkich, jak pajęczce, tak zaś krzepkich mimo to, że człowiek, na którego zarzucono tę siatkę, szedł na dno bez ratunku, na dno otchłani wyroku.

Słowem — w interpretacji Jana Rudderera sprawiedliwość nie była czymś pospolitym, już to był artyzm sprawiedliwości, jej sztuka. I czyliż on nie tworzył swoich wielkich mów, jak tworzą

się tylko prawdziwe dzieła sztuki! Nigdy nie obyło się bez dreszczów i wzruszeń artysty. Tylko na sali sądowej bywał zimny, myśl już dostatecznie podniecona, rozgrzana, elastyczna i świeża zaprawiała się i powoli roznamiętniała do swych koziokków, z boku zaś coś trwożnego, niepewnego, trzęsącego się z zimna wypęzało, zadając pytanie — jak one się wydadzą... Znane, dobrze znane wielu artystom chwile... I nie jeden zapewne z oskarżonych miewał przed sprawą spokojniejszy sen, niż on, Jan Rudder.

A obok taki Mikołaj — umysł — który wprawdzie potrafił być zjadliwym, lecz jakże prostacko!

Rudderowie mieli swe archiwum i muzeum rodzinne, gdzie, pomiędzy wiele innych pamiątek, dostała się poduszczeńka Dyonizego Rudderera, mecenasa, prawie największej znakomitości w tej rodzinie. Nie była to poduszczeńka pod głowę, lecz do siedzenia — kółko wypchane włosiem i obite skórą, które kładło się na siedzeniu jego fotela. Biedak Dyonizy nie był wolny od cierpienia, prześladowającego tę rodzinę, jak wogóle wszystkich, kto prowadzi siedzące życie. Przyszłoby, że właściwiej byłoby umieścić w muzeum jasek mecenasa, gdyż ten bywał w styczności z najszlachetniejszym organem, głową, bywał może powiernikiem wielkich myśli, lecz nie widzę, dlaczego mianoby się szyderczo zneść nad tym skórzany kółkiem, skoro służyło ono mecenasowi kilkadziesiąt lat, przynosząc mu ulgę w dolegliwości. A Mikołaj miał śmiałość powiedzieć:

— Ach, jaka szkoda, że w otworze tej poduszczeńki Dyonizy nie umieszczal tuzina jajek. Ile pięknych kurcząt mógłby wysiedzieć!

I ucieszony takim płaskim, niesmacznym conceptem, nie mogąc się z nim rozstać, obracał go na wszystkie strony.

— Można by dużo darować Rudderom — mówił — naprzykład że byli automatami do niszczenia bibuły, że nie byli żywymi ludźmi z ciała i krwi, że byli sprzętami na nic nikomu nieużytecznymi, że udawali, iż biorą na seryo tę niby sprawiedliwość,

której ostatniemi sługami — jak to pięknie brzmi: „najniższemi sługami“, bo powinno się rozumieć „arcykapłanami“ — zwali siebie — i wiele głupstw możnaby im wybaczyć, gdyby pomyśleli chociaż o tym tuzinie jajek. Przecież każdy używał takiej poduszeczki, jak Dyonizy. Ale nie szło im wcale o to, żeby przynieść ludziom jakąś korzyść realną, więc, naturalnie, i o tym zapomnieli, że spędzając życie w swych fotelach, mogliby powiększyć hodowlę drobiu.

— Złośliwe i niedowcipne — odezwał się z lekkim, pobłażliwym skrzywieniem ust stary Jan Rudder, gdy mu powtórzono słowa Mikołaja.

Być może, że Rudderowie w istocie byli trochę ludźmi z bibuły, że nawet ich wysubtelniona myśl zatracąca odrębnym zapaskiem kancelaryi i starych akt, ale bądź co bądź byli umyślowo rozwinięci, Mikołajowi zaś niepodobna wybaczyć zaniedbania umysłu. W tym człowieku nastąpiła reakcja — pospolita w jego czasach — życia przeciw bezwładowi bibuły. Czuł, że to, co uchodzi za pożyteczne i niezbędne w pracy jego kuzynów, tkwi raczej w słowach, ornamentyce, zewnętrznej powłoce czegoś, co jest bezwładną, galerniczną kulą życia. Dokąd jednak jego zaprowadził wstręt do poduszeczki Dyonizego? Niedaleko i znów na bezpłodne wydmuchy.

Mikołaj z pojęciem bibuły pomieszał wszelką książkowość i więcej daleko, bo wogóle naukę. Uwielbiając życie kipiące w ruchu i czynie, nie rozumiał, że wiedza jest conajmniej rozpędowym kołem dla działalności człowieka, że podnosząc do kwadratu siły jednostek i ucząc je skupiać się, nadaje potężny rozmach życiu.

Słyszac niektóre zdania Mikołaja, sądziłby można, że w nim właśnie tkwiły pierwiastki, pozwalające zarzucić myśl nieskończenie wyżej, niż sięgał bibulasty duch innych Rudderów. Zsumowawszy zaś jego życie, widziało się to tylko, że był zdrow a przynajmniej wolny od dolegliwości, która udrczała Dyonizego, że lubił ruch i pracę mięśni, że okazał się zdolnym rzemieślnikiem, że wszystkie

rzemiosła, stapiające się w jedno u jego warsztatów, znał grun-  
townie i sam mógł być doskonałym stelmachem, kowalem, ry-  
marzem, lakiernikiem i t. d., że nadto był czujnym, niedającym  
się oszukać dozorcą swojej czeladzi i robotników i że na powo-  
zach zrobił istotnie daleko większy majątek, niż Jan Rudder na  
oskarżaniu przestępców, lub burmistrz Rudder na ucieraniu się  
z nieuspołecznionymi i biednymi przekupkami.

Tak więc strumień innej krwi — nie rudderowskiej — krwi  
wiejskiej, ziemiańskiej, którą wlała mu w żyły matka, miał skutek  
orzeźwiający głównie fizycznie.

## II.

Ale zaczęliśmy mówić o Hieronimie...

On to dzisiaj, gdy już i ojciec jego i brat, Michał, legli w grobie,  
pozostał jako ostatni z krótkiej, dwa pokolenia liczącej gałęzi tych  
Rudderów, którzy nie mieli potrzeby używać poduszeczki Dyoni-  
zego i zeszpeceni nie byli krwistymi naciekami na policzkach, lub  
ceglastym odcieniem cery, właściwym ich kuzynom.

Hieronim, podobnie jak i brat jego niegdyś, był pięknie zbu-  
dowanym i wogóle pięknym mężczyzną. Dopiero po czterdziestce  
warstewka tłuszczu pod jego białą skórą poczęła sprawiać wra-  
żenie materacyka zbyt grubo wysłanego; silne i sprężyste dotąd  
mięśnie zwiotczały pod tym wysłaniem miękkim a ciepłym; kark  
nabrał okrągłości. Trochę przedwcześnie to się dokonało; osie-  
dlenie się jego na stałe w mieście, nowy tryb życia, bez ruchu i nie  
na powietrzu, bardzo przyspieszył niekorzystną dla urody zmianę.

Bo przed tym, cały szereg lat Hieronim przemieszkował na  
wsi. Upodobań gospodarza i rolnika nie miał wcale, tyle tylko,  
że mieszkał z rodziną — żoną i córką — u swego brata, Michała,  
celibateryusza, który na wsi posiadał dom piękny i obszerny,  
o wiele zbyt obszerny dla pojedynczego człowieka.

— Moi drodzy — mawiał Michał do swego braterstwa —  
przecież jabym umarł w tych dwunastu pokojach, z nudów, mil-

czenia, sieroctwa, tęsknoty do wszystkiego, czego tu niema, a co wy przynosicie; musiałbym umrzeć, gdybym siedział tu sam.

Była to przesada. Człowiek tak niezmiernie czynny, jak on, nie mógł umrzeć z nudów i innych wymienionych powodów, ale swoją drogą Hieronimowstwo dawali mu bardzo wiele i bez nich byłoby mu strasznie źle.

Michałowi niepodobieństwem było wciągnąć się czy to do kart, czy picia, czy polowań lub częstych sąsiedzkich stosunków, nie dla tego, żeby miał wstręt do tych rozrywek, lecz są rzeczy czasem zupełnie obce naszej duszy, które o nic nie mogą zahaczyć w niej, o żadną swoją pętelkę, bo poprostu odpowiednich pętelek wcale tam niema. Co się tyczy książek, pism — to można go było niemi bardzo zainteresować, ale koniecznie musiał ktoś to zrobić. Mógł dziesięć razy brać do rąk jakąś książkę, przerzucać ją, odczytywać z niej ustępy i zamykać ją zawsze z niechęcią, lub poprostu zapominać, że trzyma ją w ręku, a potem tę samą książkę — gdy coś o niej powiedział Hieronim czy jego żona — odszukiwał i czytał uważnie, do końca, i zupełnie jakby po raz pierwszy mu się dostała.

Słowem — gdyby człowiek ten, zdecydowany nie żenić się, pozostawał sam, to wieczorami padałby jak kłoda, bezwładny, milczący, może bezmyślny, może gryziony tępemi zębami nudy. Oni zaś na wieczór dawali mu dowcipną, przedewszystkiem dowcipną rozmowę, zawsze lekko musującą ożywieniem, które i jemu się udzielało, zawsze zajmującą.

Uwielbiał ich zdolność wrodzoną i naturalną, by nigdy się nie powtarzać i zawsze znaleźć coś nowego do powiedzenia i to nie koniecznie o nowych rzeczach, bynajmniej, lecz i o starych, dobrze znanych. Mieli zadziwiająco latarkę o tysiącu szkiełek, obracając którą rzuca się coraz inne, inaczej zabarwione światło. Wtedy nic a nic nie nuży oglądanie jednego i tego samego przedmiotu.

Wspomnienia rodzinne, charakterystyka typów z galeryi swoich i obcych, wspomnienia młodości, szkolne, dzieciństwa — wszystko

to, niby nieraz ogadywane, w ustach Hieronima zawsze nabierało cech świeżości i zawsze na usta Michała sprowadzało uśmiech. Taki sam talent miała Hieronimowa. Oczywiście, nowych rzeczy również im nie brakło, nowych nie tylko dla zapleśniałego Michała, lecz noszących istotnie stempel najświeższego pochodzenia prosto z warsztatu ludzkiej myśli; były to rzeczy jeszcze pachnące czernidłem drukarskim.

I co jeszcze Michał uważał za bardzo miłe — że żadna nowość nie zastawała Hieronimowstwa nieprzygotowanemi, nic ich nie oszałamiało, nie imponowała im znowu tak wielce jakaś zagraniczna, choćby najpoczytniejsza *Revue* i ani im się śniło padać plackiem przed jakimś nowym zdaniem tylko dlatego, że wyszło z kuźni wielkiego społecznego umysłu. Nie byli przecież wrogami nowości, lecz czyż człowiekowi nie wolno wypróbować smaku nowej potrawy, zanim wprowadzi go do swego *menu*? Również myśli można smakować. I oto, młasnieniem języka, lub przychylnie kiwnąwszy głową, wyraża się uznanie dla nowej potrawy, czy nowej idei. Były też rzeczy, dla których Hieronimowstwo znajdowali tylko swą miłą, subtelną ironię i inne, które obdarzano lekkim skrzywieniem ust, lub pobłażliwym uśmiechem. Taki uśmiech na ustach Hieronima był, zdaje się zupełnie dokładną kopią pobłażliwego uśmiechu Jana Ruddera.

— O wszystkim, ale to o wszystkim mają swój oryginalny sąd. Jak ja ich za to lubię. Pachnie mi ta świeżość myśli — i jakżeby mi ich strasznie było brak, gdyby kiedykolwiek odeszli znużeni mną i tą wsią i tym domem.

Tak nieraz rozmyślał Michał.

Niezmiernie też miły bywał gościniec, jaki Hieronimowa przywoziła ze swych letnich wycieczek do modnych miejscowości kąpielowych z tygodniowym zwykle zatrzymaniem się w Paryżu. Był to nieuchwytny i trudny do określenia a jednak zupełnie wyraźny zapach Europy, zapach młodej skórki coraz to porastającej na ciele Starego Świata, zapach stolicy jego, t. j. wogóle czegoś

bardzo świeżego, dyszącego werwą, zwycięsko pewnego, że ostatnie słowo, wypowiedziane przez modę lub politykę, przez krawca, czy premiera gabinetu, musi być najlepszym, a przynajmniej najdowcipniejszym. Aktualność, którą pachniała i promieniała pani Wiktorja, była, naturalnie, przełamana przez pryzmat inteligencji i dowcipu tej kobiety, dzięki czemu stawała się tylko cenniejszą. A ten zapach przywieziony umiała Hieronimowa roztrząsać wkoło siebie w sposób naturalny, delikatny i prosty, tak, iż żadną miarą nie mogło się nasuwać porównanie, że to ktoś kupił sobie w Paryżu buteleczkę perfum i wylał ją na swą toaletę!

Nie mówiła, lecz zdawało się, iż swą minką mówi:

— Cóżem ja winna, że znów przywiozłam aż tu, do was, aromat, którym nasiąkły moje suknie, i ja cała, moje myśli i poglądy. Lub cóżem winna, iż w tym roku zapach ten jest nieco inny, niż w przeszłym!

Któżby się na nią gniewał! Nie Michał — który za granicą bywał przed piętnastu laty dla studjów agronomicznych i odtąd więcej nie jeździł. Michał zresztą był najpewniejszy, że jego nie uczepliłby się ów aromat, że on sam nie przywiózłby tyle nowego, bo nie umiał tak patrzeć, tak słuchać, tak chwycić wszystko i przełamywać w pryzmacie wrażliwego umysłu, jak Hieronimowa.

### III.

Uczucie Michała dla brata, bratowej i ich małej, chorowitej *Jeannette* było niezmiernie tkliwe. Właściwie — cała jego tkliwość, wszystko, co idzie z serca i szuka serca, tędy znalazło ujście — zupełnie czyste, koniecznie dodać trzeba, bo ktoś, co mając na myśli Hieronimową, podejrzewałby romansowe pukania w sercu Michała, zawiódłby się.

Nie było jednak dość jasnym, dlaczego się nie żeni.

— Ba, gdybym znalazł kobietę podobną do twojej żony!... — tłumaczył się przed bratem.

Ale znowu znalazłszy taką samą, co poczęłby z wątpliwo-

ściami, któreby go niewątpliwie ogarnęły... Kobiecie, w rodzaju pani Wiktorji, łatwo jest dojść do harmonji z takim jak Hieronim mężczyzną, lecz z nim czy byłaby szczęśliwą!

To miał być niby jeden powód. Drugi, czy też tylko dalszy ciąg pierwszego, był ten, iż od miejskich panien coś go odpychało, do wiejskich zaś nic nie ciągnęło. W sferze ziemiańskiej wogóle czuł się trochę obcy ze względu na brak poza gospodarstwem spółności upodobań. A panny okoliczne przeważnie należały do jednego typu młodych osób bardzo zdrowych, krwistych, doskonale jeżdżących konno, zapowiadających gorące serca i wielką gospodarność. Wszystkie je podejrzewał o ten sam brak inicjatywy umysłowej, do jakiego przyznawał się sam.

— Boże, wyobrazić sobie w jednym zaprzęgu dwie istoty, którym tak ciężko przychodzi pomyśleć coś nowego i oryginalnego, jak mnie. A potym — ich potomstwo. Brr...

Potomstwo! Z pewnością przyszłe uczucia macierzyńskie każdej z tych okolicznych osóbek nie były obliczone na jedno dziecko, lecz co najmniej na sześcioro. I matce możeby się to nie przykrzyło — choćby wszystkie były krzykliwe i wogóle nie niepodobne do cichutkiej, miłej Jeannette, półgłosem nucącej francuską piosenkę — jego zaś by to urażało. Korciłby go widok dziecię nie mogących, równie jak rodzice, poradzić sobie z ołowiem w myślach, sprawiającym, iż myśli są ciężkie i wloką się przyziemnie.

— Czy nie dość, gdy już w samym sobie widzi się brak czegoś. Męczy mnie to, że czuję obecność w sobie jakichś słabych, nierozwiniętych lotek, zapewne śmiesznych, kiedy trzepocą się i nie mogą wzlecieć. Męczyłoby mnie daleko więcej, gdybym takie same nieużyteczne, żałosne, trzepocące się lotki dostrzegał u moich dzieci.

Jednakże, czy te wątpliwości, nawet razem wzięte, mogły posiadać moc dość wielką, by ujarzmić zwykły, nie dający się odeprzeć rozumowaniem popęd do zwinięcia gniazda! Michał wypo-



wiadał to wszystko zbyt otwarcie; może chciał wpoić w innych przekonanie, że ów przyrodzony popęd został przez wątpliwości te istotnie ujarzmiony.

Jeden Hieronim odgadł, że tam jeszcze było coś do powiedzenia...

Subtelność rozumowania Hieronima w tym wypadku niezmiernie przypominała laubzegę myślową jednego z przodków, przypominała Jana Rudderera, zestawiającego dowody czyjejs winy, wikkłającego kunsztownie oczka w swojej siatce oskarżenia.

— Michał wystawia na jaw te powody do celibatu, które w oczach ludzi mogą mieć pewną wagę i lubo nie każdego może zdołają zupełnie przekonać, lecz są, mniej więcej, zrozumiałe i w każdym razie dostateczne, by nie upierano się przy swataniu, by zostawić go w spokoju. Słowem, odwraca uwagę od siebie i swego dziwaczного postanowienia. O czym zaś nie mówi? O tym, co — wprost przeciwnie — ludziom wydałby się mogło drobnostką, lub powodem zgoła niezrozumiałym, dla niego zaś jest właśnie ważnym i rozstrzygającym.

W ten sposób Hieronim wytknął sobie rozumowo kierunek, w którym należy czegoś szukać. Poszedł tędy, znalazł trop i odrazu, z całą pewnością, powiedział sobie, że właściwym i jedynym powodem, dla którego Michał się nie żeni, jest jego drobne, życiowe potknięcie się, przygoda z czasów, kiedy był dopiero dzierżawcą. „*Le mot de cette enigme n'est peut être autre, que... Brońcia*“.

Naturalnie. To właśnie był powód, który w oczach ludzi nie mógłby ujść za słuszny i dostateczny; nie mógłby, — bo i jakże? Zgoda, że jest wielu młodych ludzi, przyzwoitych, którzy nie chcą się z podobnych potknięć, ale takich — którzyby uniknęli tego!... Potknięcia takiego rodzaju prawie obowiązują...

— Tak, zgadzam się — obowiązują innych mężczyzn, lecz — nie Rudderów!

Słowa te wypowiedział Hieronim do siebie samego, z dumą, która rozlała mu się w piersiach radośnie, iskrząco radośnie.

Żałował brata, lecz jakież to drobny był odruch serca w porównaniu z radością, która w owej chwili spłynęła łozyskiem dumy rodowej.

— Rudderom nie uchodzą takie potknięcia!

Hieronim uświadamiał sobie pierwiastki psychologiczne i etyczne, składające się na „ich typ“, i był rad z takiego, nie innego, ich układu. Zapewne, możnaby tam wskazać struny niedociągnięte i przeciągnięte, możnaby dosłyszeć zgrzytów, dopatrzeć się śmiesznośtek, ale bądź co bądź typ rudderowski był złożony, daleki od pospolitości, i posiadał rysy, z których wolno — i należało — być dumnym.

Rudderzy! W sprawach pieniężnych absolutnie czyste ręce; w sprawach miłosnych — żadnych, niczych serc złamanych na sumieniu, żadnych *liaisons*, niczego, co trąci rozpustą — wszystko jedno — gminną, czy pańską, salonową. Żadnego brudu! Rudderzy nie umieją przekradać się chyłkiem do ciemnych zaułków, kryjących domy rozpusty, ani też nie stają się uwodzicielami biednych dziewcząt, służących. Co więcej — brzydzą się stosunków nawet z eleganckimi cudzołożnicami wielkiego świata.

Naturalnie, niema rodziny bez odstępcy, marnotrawnego syna, wyrodka. I wśród ich rodziny, temu już lat wiele... Niestety... Romans z mężatką; ucieczka; miłość przemycana, nie brzydząca się wstrętnych „numerów“ po hotelach, tułająca się z miasta do miasta, lękająca się każdego zastukania do drzwi; zanik ambicji, dumy... Pfuj! — Ale i tamten (nawet imienia jego trudno dowiedzieć się od krewnych) był, w każdym razie, na tyle prawdziwym Rudderem, że zagranicą przybrał inne nazwisko, że nigdy więcej nie odezwał się do rodziny, że pozwolił sobie żyć — względnie do normalnej długości życia Rudderów, sięgającej jakichś ośmdziesięciu lat — krótko, bo zaledwie połowę tej cyfry i że

umarł jako Mr. Durandy czy Duclerc — jako osierocony, nieszczęśliwy, samotny Mr. Durand, czy Duclerc.

#### IV.

Michał daleko lżej się potknął i łatwiej mógł być usprawiedliwiony.

Kłapą bezpieczeństwa dla Rudderów — rzecz prosta, iż mieć ją musieli — było wczesne żenienie się, to raz, a po drugie — żenienie się tylko z miłości, z wyboru wolnego, nieprzymuszonego, lecz niemniej rozsądnego zawsze (rozsądek, równie jak uczciwość i czystość obyczajów, był cechą ich przyrodzoną).

Otóż — Michał opóźnił się z powodów uzasadnionych. Zapaliwszy się do gospodarstwa, kilka lat poświęcił na praktyczne studia gospodarcze w kraju, następnie zagranicą. Potym — zbyt przezorny, by odrazu zaczynać od kupna majątku — wziął tylko dzierżawę. Jako skromny, niepewny powodzenia dzierżawca, żenić się jeszcze nie mógł. No i właśnie, jako skromny dzierżawca potknął się.

Serce, oczywiście, w grę tu nie wchodziło. Głupszego wypadku wogóle trudno sobie wyobrazić. Uwodzenie żadne miejsca nie miało. Jak dojrzałe jabłuszko, dziewczyna z drzewa zleciała mu na ręce... Chyba [zbyteczne dodawać, że dziewczyna, łącząca po drzewach, nie mogła się zaliczać do czegoś lepszego; było to nieokrzeseane stworzenie, głupiutkie, mające skłonności wiewiórki — córeczka dworskiego pastucha.

Ta przygoda, lubo poczęści trąca śmiesznością, miała, bez wątpienia, również stronę swą przykrą, fatalną i smutną. Dziewczątka było tak młode. No — i to jeszcze musiało gryźć Michała, że znał ją, gdy była zupełnym dzieckiem i bardzo lubił wtedy. Przekradało się to maleństwo niekiedy do jego ogrodu, gdzie jeszcze dla dziatwy dawnych mieszkańców dworu urządzona zachowała się huśtawka, potym — gdy nastał dzierżawca kawaler — do niczyjej nie służąca zabawy i wśród gęstego cienia lip zapomniana.

Siedząc na wążkiej i nisko zawieszanej deszczulce, stopą odbijała się maleńka od ziemi, rozhuśtawszy się zaś wyciągała bosc nóżki i w tył przechylała główkę; wydawało się, że leżącą w powietrzu wiatr buja w jedną i drugą stronę, lub że ślizga się to dziecko po grzbiecie powietrznej fali. Gdy wzbijała się naprzód, włoski jej rozpuszczone wyciągały się w rozmiotane, lecące, jasne smugi, a kiedy niosło ją w tył, wszystkie opadały potarganemi pasmami na jej smagły buziak.

Strach — jaka to brudna była dziewczynina, ale niezwykle gibka, zwinna, miła.

Bardzo lubił jej głosik, kiedy nawoływała swego pieska :

— Filucik na, Filucik na, Filucik na-na-tuu...

W jego to oczach z dziecka zrobiła się dziewczyna.

Zastał ją kiedyś w ogrodzie na obrywaniu jego wisien.

— Aha! Zasmakowały... Poczekaj-że, dostaniesz ty za to...

A tu z trzaskiem łamie się pod nią gałąź.

Zaledwie zdążył wyciągnąć ręce ; po dłoni jego ześlizgnęły się nagie nogi, lędźwia twarde i chłodne ; dłoń oparła się u przewiązania spódnic, na krzyżu dziewczyny. Jak przełamana zawisła mu w ręku, z głową nisko ku ziemi opadła i rozplecionemi włosami, miotając się jak węgorz, od dotknięcia parzącej jej ciała dłoni. I naraz sama opaliła go takim spojrzeniem, jakim chyba tylko raz w życiu rozbłysnąć może oko 'dziewczyny.

Tak, tak — bardzo jest przykro pomyśleć, że podobna przygoda miewa następstwem swym nieuniknionym — wywędrowanie „jej“ do miasta, t. j. tam, gdzie żadne odpadki nie są odrzucane, wszystko bywa zmielone, wszystko się na coś przyda. Naprzykład, takie stworzenie można zużytkować jako mamkę, lub inaczej. Ale bądź co bądź — wszak się mówi z ludźmi o delikatniejszym poczuciu — spowodować coś podobnego jest wysoce przykrą rzeczą, wysoce ubliżającą. Żaden z Rudderów niczym takim nie obciążył sumienia.

Z zasepieniem i pewną goryczą rozważał Hieronim błąd swego brata.

— Michał ani na jedną chwilę, ani na tak krótką — nie powinien był zapomnieć, kim jest!

— Pozazdrościć przyjemności wiejskim paniczom. Aaa!

Skoro zaś zapomniał się... Ha, trudno — więc musiał ponieść, musiał nawet sam wymierzyć sobie karę.

Hieronim kochał brata i chętnie snuł w myśli jego rehabilitację.

Po kimś innym ześliznęłoby się to bez śladu — rozmyślał. — Jakiś wiejski panicz wprost z ogrodu, od dziewczyny, z lekkim sercem poszedłby do stajni lub psiarni, poczem wybrałby się na polowanie, jeśliby zaś coś odczuwał, to chyba wzmoczoną radość z swego istnienia. Ale on jest z prawdziwych Rudderów. Dla niego nie było to potknięcie się, lecz spotkanie złowrogiej chmury, której cień wlecze się po jego życiu, wlecze bez końca... I oto Michał ukarał siebie dobrowolnym celibatem!

Laubzega Jana Ruddera nieuszkodzona przechowała się w głowie Hieronima. Z pomocą jej wycinał jeszcze wiele innych pięknych i osobliwych arabesk z skromnej deszczułki, osmalonej w ogniu zdrowego, ludzkiego uczucia, które na jedną chwilę w piersiach dwóch istot wybuchło jasnym i gorącym płomieniem...

## V.

Hieronim zrazu zamierzał pójść drogą Rudderów dawną, utartą. Skończył prawo i jakiś czas oddawał się adwokaturze.

Ale nie było już w nim — synu Mikołaja i dziecięciu innych czasów — tej harmonii przymiotów umysłowych i ciszy tej ducha, jaka była błogosławieństwem tamtych, którzy ongi tak dobrze się czuli w gmachu sądowym.

Jemu w pierwszych już chwilach dziwnie mrocznymi wydały się kąty tego gmachu. Z przytłoczoną uczuciem nudy piersią badał podejrzliwym okiem cienie zalegające po zakamarkach odwiecznej

budowli, pełnych kurzu i odoru spleśniałych papierów; wrędcę pozasnuwał je jeszcze pajęczyną własnego sceptycyzmu i odtąd nietylko zaciemnione nisze, nieprzewietrzane archiwa, głucho kątury kurytarzy rozbrzmiewających suchym, krótkim, martwym echem, lecz wszystko tutaj poczęło wydawać mu się dusznym i ciasnym.

Nie był burzycielem, ale osobiście poczęła mu być niemiłą obecność w tych salach. Rad, doznając ulgi, stąd wychodził. Żle jest, gdy człowiek do robotnej swej izby przybywa zawsze z uczuciem udręczenia, opuszcza ją zaś z westchnieniem ulgi i radości. To los robotnika przyniewolonego. Hieronim przyniewalał siebie nie miał potrzeby. Majątek posiadał znaczny, podwojony posagiem żony; zapełnić sobie życie, gdy się lubi czytać i odczuwa podniety estetyczne, wydało mu się możliwym. Kiedy więc doktorzy, po chorobie małej Jeannette, orzekli, że nie wystarczy paromiesięczny pobyt na wsi, lecz lepiej byłoby małej czas dłuższy nie przywozić do miasta, Hieronimowstwo pochopnie skłonili się ku prośbom Michała, by u niego zamieszkać.

Odtąd bracia nie mieli się rozłączać.

Bracia różnili się od siebie znacznie. Ot, choćby wziąć stosunek każdego z nich do wsi.

Hieronim bez wątpienia musiał ją bardzo polubić, skoro już po paru latach dawały się słyszeć ubolewania jego nad ludźmi, zniewolonemi przemieszkiwać w mieście.

— To są nieszczęśliwi — okaleczeni — chorzy — połowicznie żyjący. Myślę, że w nich tylko jedna połowa płuc i jedna połowa duszy bywa czynna, druga zaś powoli zanika.

U niego było to typowe lubienie. Wrażenia wsi, utrwalone w jego duszy, wytworzyły paletę, na której uczucia różne zostawiły ślady lekkiego dotknięcia, wszystko zaś razem nie pozbawione było uroku. Jak na palecie — tu fragment kwiatka, tam widoczek, wdzięczny profil główki, albo tylko kolorowe kleksy, oryginalnie odbijające od siebie.

Miał wdzięczność dla wsi za podarowanie mu tej milutkiej

palety, na której odmalowało się jego upodobanie do krajobrazu, do nastrojów wiejskich, rannego zwoływania się ech życia i wieczornego ich uciszania się w cudnych akordach, gasnących jak zorze. — Popatrz oto w głąb swej duszy, na paletę, i uczuwa wzruszenie. Każdy kleksik coś tam oznacza, coś innego mówi. Co, na przykład? Że miłą bywa cisza, siadywanie wieczorem na werandzie, której ciężkie, białe słupy nabierają wtedy lekkości, rozstępują się, a o kilka kroków mającejże wazon marmurowy i sztywne ostrza liści aloesu; park sennie oddycha i pachnie...

A oto znów inny kleksik, pędzelkiem wiejskim rozmazany po palecie duszy mieszczucha — cóż ten mówi? O! wiele — że na wsi cenić trzeba nieobecność tłumu, który zawsze jest czymś niezrozumiałym i natrętnym, a więc przykrym. Tak — ulica jest przykrą; wydaje się, że jedna i ta sama twarz, której główne i uderzające piętno stanowi to, że jest ona zupełnie obcą i obojętną dla nas, pomnaża się do nieskończoności, została odbita w bajecznej ilości egzemplarzy; widzisz wprawdzie różnice, ale to tylko odmienne ucharakteryzowanie twarzy, w istocie zostaje ona jednak zawsze tą samą — obcą i obojętną. Ludzie wyrastają skądciś, a są nam niepotrzebni, wymija się ich, wymija bez końca. To przypomina dręczący sen, na przykład że śni się, iż zdążamy do domu i naraz otoczeni jesteśmy jakimiś niezrozumiałymi, niedorzecznymi przeszkodami, które mnożą się ustawicznie i przez które niewiadomo jak torować sobie drogę — i oto dusimy się, bezsilnie wyciągając ręce ku zakątkowi, gdzie napróżno oczekują nas swoi i blizcy.

— W mieście — powtarzał to nieraz Hieronim — wszystko jest wspólne, nawet nasze mieszkanko licho wie do kogo należy. Dzwonek — dyń, dyń — i twój zakątek przechodzi w posiadanie coraz to innych osób. Właściwie nawet samych siebie tam nie posiadamy.

A na wsi posiadał siebie i z tej własności — ile uważał za właściwe — udzielał żonie, Jeannette'ce, bratu, gościom. Tutaj

nawet nie znać było, że to jest udzielanie, tak się swobodnie rozrastało jego *ja* i taka zjawiała się obfitość myśli, ożywienia, serdeczności do rozdania.

Samej jednak wsi nic nie dawał, lubo brał coś od niej. Michał<sub>x</sub> natomiast<sub>x</sub> może mniej ją lubił, lecz dawał jej coś, uczestniczył czynnie w jej życiu.

— Jestem tu parą cisnącą na tłoki — mawiał o sobie — lecz gdybym nie był parą — bo to stało się potrosze dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności — chciałbym być chociaż tłokiem, lub jakimkolwiek trybikiem czy kółkiem w tej maszynie.

Hieronim całą stronę gospodarczą uważał za złe nieuniknione — naturalnie, nieuniknione dla innych, na przykład dla Michała, bo on sam nigdyby się nie zgodził, żeby to złe miało zagarnąć co z niego, z jego życia, duszy, myśli.

Michałowi wszystko to przedstawiało się zupełnie inaczej. Wprawdzie stosunek jego do wsi ulegał zmianom, ale nigdy nie był przypatrywaniem się z boku, ani lubieniem. Zmiana polegała na tym, że dawniej nie porównywał gospodarstwa do maszyny. To była wtedy wielka spółka życia, mająca swe szczeble — nieświadomie kiełkująca w ziarnie siła — spółdział zwierząt — u góry świadome i rozumne wysiłki ludzi. Z czasem objawy, zachodzące u góry tej spółki, powikłyły się w jego głowie, powstało wiele zagadek; gdy je rozstrzygnął (lub — zdawało mu się, że rozstrzygnął), pojęcie spółki zastąpione zostało porównaniem do maszyny. Częściej poczęto słyszeć w domu słowa ostrej i suchej komendy, i częściej widziało się wzburzenie na twarzy Michała, oczy zaognione i porywcze drgania jego ramion.

Hieronim wtedy przywabiał go do siebie, usadzał i głąaskał jego rękę.

— Biedaku!

Pieszczota braterska kojąco oddziaływała na Michała. Jedno dobre, przyjazne słowo tamtego, jedno życzliwe, spółczujące spoj-



zenie — i już oto ucisza się wzburzenie... I gotów już bronić swego zawodu, który Hieronimowi wydaje się przykrym.

— Biedaku, czy ciebie to zbyt nie gnębi?

— Ale gdzież tam — bronił się pewnego razu Michał — wierzaj mi, że przy innej robocie nie wyżyłbym. Porównywał siebie do pary — prawda — lecz nabieram tej własności w kotle tylko tej jednej maszyny. Weź mnie stąd — i nic nie zostanie z mojej prężności — kół innej maszyny nie wprawię w ruch.

— Tak. Porcję krwi po naszej babce, przeznaczoną dla nas obu, ty zabrałeś sobie wyłącznie. No — jaby nie wytrzymał z tym wszystkim pół dnia.

Michał się zasepił.

— Czynisz mi wielką przykrość. Któż kiedyś obejmie to wszystko po mnie, skoro wy wszyscy macie taką straszną niechęć do tej pracy? Będzie mi przykrą myśl o śmierci.

Brat przyciągnął go do siebie i kłiwie objął.

— Drogi, kochany. Przedewszystkiem — będziesz żył. A cokolwiekby się stać mogło — nie — nie — odemnie nie możesz żądać, nie żądasz, prawda? Wiesz — ja cierpnę słysząc twoją komendę, sam zaś miałbym się zdobyć na nią! Nie, nie. Nigdybym nie potrafił postawić się należycie, unormować stosunku swego do tych ludzi. Czuć tę czającą się w nich nieżyczliwość, opór, może lenistwo, może chęć okradzenia. To nad moje siły.

I rzeczywiście zbladł, mówiąc o tym.

— Ale po co się dręczysz — dodał, byle czymś brata pocieszyć. — Ot wiesz — wydamy kiedyś Jeannette'kę za takiego jak ty. Oni poprowadzą to dalej.

Zmusił go do uśmiechnięcia się, przywrócił mu humor.

Michał spróbował wyobrazić sobie tego przyszłego następcę swego i zobaczył drugiego siebie. Znów młody, świeży, kipiący energią — nanowo snuje ideę wielkiej spółki życia, a dręczącą gmatwaninę pytań i wątpliwości rozstrzyga jakoś inaczej, tak

szcześnie, że w gospodarstwie ucicha surowa komenda. I żona jego jest słodka, wåtła, subtelnie uduchowiona Jeannette.

Obrazek wart był, by go popieścić myślą, i uspokajał obawy co do przyszłych losów wsi.

## VI.

Sprawy sercowe i kobiety bardzo rzadko wchodziły do rozmów braci. Wiedzieli jednak, że i tutaj zawsze się rozumieją.

Pewnego razu na Michała nasza chwila omglonego nastroju, zasnucia się duszy chmurką smutku, rozżalenia, niepokoju czy zbudzonego wyrzutu.

Chodzili w dwóch po ustronnej alei parkowej, mało co rozmawiając. Naraz Michał wsunął swoją dłoń pod ramię brata i lekko je ścisnął. Stanęli.

— Wiesz co — zaczął zwlekającym, niepewnym głosem człowieka zmęczonego jakąś myślą — chciałbym cię prosić o jedną rzecz. Chciałbym, żebyś pojechał, zobaczył ją; żebyś...

Urwał — i pociągnął go znów naprzód. Hieronim starał się wejść w tempo jego chodu nieco porywczego i milczał tyle, ile potrzeba było, by przekonać się, że brat już nic nie doda.

— Ależ dobrze — odezwał się łagodnie, zwykłym, naturalnym tonem — pojedę, zobaczę ją.

Po chwilce dodał:

— Zdaje mi się, że potrafię nie urazić jej. Dasz mi polecenie?

Tamten kiwnął głową potakująco. Zamienili z sobą spojrzenia; w oku Michała błysnęła wdzięczność.

I więcej o tym nie wyrzeczono ani słowa. Imię nie zostało wymówione, ale była chwila, kiedy im obydwóm się wydało, że bardzo zbliżka koło nich przesunęła się wdzięczna postać dziewczęcia z jasną główką.

Rzeczywiście Hieronim pojechał w misji trochę przykłej, którą jednak dla brata podjął z nieobłudną gotowością. Był zaopatrzone w pieniądze dla kogoś.

Za powrotem nic nie można było z twarzy jego wyczytać, i Michał nawet nie próbował tego, widocznie unikając sam na sam z bratem. Lecz któregoś dnia powtórzyła się zwykła historia — został mocno poirytowany przez rządcę, czy robotników, i Hieronim, jak zwykle w takich razach, przywabił go i usadził przy sobie. Byli sami. Uspokoivszy się wprędce (towarzystwo brata zawsze nań dobroczynnie wpływało), Michał położył mu rękę na kolanie i milcząco popatrzył w oczy.

Hieronim potarł dłonią czoło. Jeśli misja była przykrą, to ta chwila jeszcze o wiele więcej niemiłą. „Ale trudno...” — oznaczał gest jego ręki.

— Boli mnie, że to ja ci muszę wyrządzić przykrość — rzekł, odwróciwszy oczy w przeciwną stronę, patrząc ukośnie i w dół — cóż jednak robić? Otóż — widziałem ją; źle się z nią dzieje. No, poprostu, zastałem ją niezupełnie wytrzeźwioną — i był tam jakiś drağal — podobno żyją tak...

Michał poruszył się w fotelu, jakby do głębszego usadowienia się; dłoń, którą wpierv trzymał na kolanie brata, położona teraz na poręczy fotelu, parę razy machinalnie podniosła się i opadła, lekko uderzając o aksamit obicia. Głowę opuścił. Po chwili, milcząco, wstał i odszedł.

Hieronimowi ciężkość legła na serce. Niewymownie było mu przykro. Czy należało nie mówić lub inaczej powiedzieć? Ale wszak słowa nie zmieniłyby sprawy, która w istocie źle stała, co zresztą było do przewidzenia.

— Czy mogło nastąpić co innego? — rozważał sam z sobą — chyba, gdyby w ciągu tych trzech lat znalazła sobie była męża. Dziecko nie żyło; wyjście za mąż nie było niemożliwością. Z pewnością — jakiś swój zakątek rodzinny i praca wszystkoby uratowały. Właściwie pracę w takich razach należy postawić na pierwszym miejscu. Praca radykalniej leczy i podnosi.

Tak. Lecz, niestety, czyż nie zdarzają się wypadki idjosynkrazji, która uniemożliwia stosowanie jedynego czasem środka le-

czniczego, mogącego pomóc. Widocznie i tutaj coś podobnego zająć musiało — zakątek rodzinny zbudować się nie dał, a praca w smak nie szła.

— Są więc położenia, są rzeczy, na które absolutnie nic poradzić nie można — rozważał dalej, myśląc już nie o Brońci, lecz wyłącznie o Michale — poradzić nic nie można, tylko cierpieć dopóki ból nie stępuje lub nie przestanie. Zwykła historia — to samo, co z nożem lub igłą, która wchodząc w ciało musi boleć. Kiedy niema bólu? Przy użyciu środków sztucznych a więc przeciwnych naturze, zabijających na chwilę rdzenną cechę życia — czucie. Niebolesne są operacje na trupie, żywemu zaś można chyba to tylko powiedzieć, co niańka mówi do dziecka: poboli — przestanie.

— Jednakże, jak jego długo boli...

Ta myśl ostatnia była żywą, nie wyciętą jak inne myśli Hieronima z suchej, drewnianej deszczułki, ledwie więc przemknęła mu przez głowę, gdy drgnęło w nim żywe braterskie współczucie.

Nigdy już nie wynurzyła się sprawa Brońci w rozmowach braci.

To „nigdy“ zawarło się zresztą w dość krótkim okresie czasu — niecałego dziesięciolecia.

## VII.

Michałowi brak było coś do całych czterdziestu pięciu lat, gdy umarł, stwierdzając tym raz jeszcze, że Rudderowie nieznani żyją krótko. A chociaż paraliż serca, zdaje się, nic im nie ma do hymenu, ale — cóż chcecie — dla czegóż żonaci Rudderowie dosięgają wszyscy sędziwego wieku?

... Ugodził weń piorun śmierci — nigdy właściwiej nie mógłby wyrażenia tego użyć poeta.

Rankiem, o zwykłej godzinie, usłyszał lokaj wołanie pana

o buty. Lokaj, czerstwy, ruchliwy staruszek, miał zwyczaj, wkraczając do sypialni, od progu wygłaszać:

— Życząc zdrowia panu dziedzicowi...

Brzmiało to powitanie zawsze jednakowo życzliwie, przyjaźnie i jakoś mile — i Michałowi sprawiało wrażenie dzwonka, nie jakiegoś zwykłego, lecz tego, który to kiedyś przywoływał uczni do klasy i mimo pęknięcia i starości wydawał równie przyjazne, życzliwe, budzące otuchę dźwięki. Zwykle odpowiadał Michał starem „dzień dobry“ — głośno, hukliwie, jakby dla przetarcia po śnie gardła.

Tego ranka — „dzień dobry“ jego powiedziane było tak niewyraźnie, jak gdy język człowiekowi się płacze z niezupełnego ocknienia się. Zauważył to służący, a i to także; że pan się jeszcze przeciąga i zwleka z wstawaniem, podczas gdy kiedyindziej zaraz przy jego wejściu odrzucał kołdrę i rzeżko obie nogi spuszczał na dywanik. — Zabrawszy do czyszczenia resztę ubrania, służący wyszedł. Tak co dnia bywało, że podczas kiedy czyszczono ubranie, pan się umywał, oblewał zimną wodą, parszkając przytym i rżąc, a potym wycierał do czerwoności piersi i kark. Tym razem nie słychać było z sypialni zwykłych odgłosów parskania i spluwania, gdy zaś służący wszedł tam powtórnie, zastał pana siedzącego na łóżku w nienaturalnej pozie.

Jedna noga była podgięta i jej białe, wielkie, okrągłe kolano lśniło się, nieco występując za krawędź łóżka; druga, spuszczone na ziemię, dotykała palcami podłogi. Do ramienia obnażona ręka prawa zwieszała się z poręczy i na to ramię jakby w znużeniu, jakby dziwną, bezwładną zadumą objęta opadła jego głowa. I to był koniec tej krótkiej agonji. Powolnym, dziwnym, niezrozumiałym dla patrzącego ruchem zaczęła się osuwać górna część tułowiu, aż póki całe potężne, rosłe ciało, zgięte legło na łóżku i głowa dotknęła krawędzi.

Przy progu, straszliwie wytrzeszczywszy oczy, stał, jak w słup obrócony, służący, nie mogąc z zaciśniętego, skutkiem przera-

żenia, gardła – wydobyć głosu. Naraz zatrzepotał rękami i z dzi-  
kim, zduszonym krzykiem pobiegł w głąb domu.

Gdy ułożono Michała na wznak, już poczęła zastygać na twa-  
rzy jego spokojna, zadumana powaga śmierci. Żywym pozos-  
tało — przed niewidzialnym i cicho odlatującym poborcą osta-  
tniej człowieczej daniny zgiąć swe kolana...

Hieronim nigdy jeszcze nie przeżywał nic podobnego do ciosu  
jaki tak nagle spadł na niego. Była to potworna napaść niezwy-  
kłego, straszego bólu, napaść, którą duch odpierał skurczem  
wszystkich myśli i uczuć; słabnąc zaś, zapadała dusza jego w pół-  
martwe odrętwienie, kiedy niema ani myśli, ani czucia, chociaż  
piersią wstrząsa suche łkanie, a usta nieświadomie wydają cichy,  
żałosny skowyt.

Stało się to w końcu sierpnia. Pani Wiktorja i Jeannette były  
nieobecne; pobyt ich u wód przedłużył się w tym roku znacznie,  
przed trzema zaś dniami Hieronim otrzymał od żony wiadomo-  
ści niezbyt pocieszające. Tego lata jakoś nie mogła dojść do ładu  
z swoim zdrowiem i teraz dopiero przyznawała się — o czym  
nie pisała wpraw — że nawet przeleżeć musiała jakiś czas a siły  
wracają jej zbyt powolnie. Widać było z listu, że radaby już po-  
wrócić i to, że przy obecnym stanie sił lęka się utrudzenia w dro-  
dze. Hieronim był tym wszystkim zaniepokojony i właśnie za-  
mierzał jechać po nie. A oto piorun uderza... Słowem — wszystko  
złe naraz!

— Sam, zupełnie sam w takiej chwili!

Ta myśl błąkała mu się od czasu do czasu po głowie i wtedy  
z całej siły przyciskał dłoń do suchego, rozpalonego czoła, lub  
przeciągał nią nerwowo po swych suchych, spieczonych wargach...

### VIII.

— I znów była awantura... — z chmurną miną odezwała  
się Jeannette przy śniadaniu.

Hieronim, który tylko co usiadł do stołu, spieszenie posunął

ku niej masielniczkę i swoje pół bułki do nasmarowania, następnie zaś, zwróciwszy się ku żonie, badał spojrzeniem pełnym, jak zwykle, uprzejmej uwagi — czy jej czego nie brak.

Nie uśmiechał mu się temat, obrany przez Jeannette („pewnie źle spała!”) dla rannej rozmowy i dla tego zwlekał z zapytaniem, kto spowodował awanturę. „Naturalnie — stolarz, znów stolarz; któżby inny“ — przemknęło mu przez głowę. — Może Jeannette, nie zachęcona, zmieni łaskawie temat...

Lecz Jeannette, taka zwykle skora do ustępstw, tak domyślna i czujna na punkcie — o czym miło i o czym niemiło rozmawiać przy stole, tym razem Bóg wie dlaczego uparła się przy swoim. Oddawszy ojcu nasmarowaną bułeczkę, ciągnęła dalej swą piłę, nie rozchmurzając młodej, ładnej twarzy.

— Tatuś wie o kim mówię, nieprawdaż? I proszę przyznać, tatulku, że to będzie niemożliwe do zniesienia. Miła rzecz pomyśleć, że tuż za ścianą, prawie obok nas, mordują ludzi!

— O! troszkę przesadzasz — odezwała się pani Wiktorja z uśmiechem i pogodnie patrząc na córkę — przecież o ścianę z nami mieszkają osoby najspokojniejsze w świecie. I wogóle — któż kiedy kogo zamordował w tym domu? Że się swarzą lokatorzy z facjatek, to jeszcze nic tak okropnego.

Hieronim, już zrezygnowany, podjął miękko i łagodnie:

— Kogóż tam znowu pobił? Wszak mówisz o stolarzu. To podobno szalona pałka?

— Tym razem już nie chłopca, jak w przeszłym tygodniu, lecz swoją żonę. Do krwi — no, powiedcież państwo?!

— Dziwna rzecz jednak, że nic w nocy nie słyszałam — wtrąciła matka.

— Bo to zwierzę zatyka im może usta... — Jeannette mówiła już z wielkiem poruszeniem.

— Napewno zatyka im usta. Zresztą ona podobno nie piśnie, choćby ją najmocniej katował — to tylko dzieci krzyk podnoszą. Więc widocznie musiał się cicho sprawiać, skoro się nie

obudziły. A ją widziała zrana nasza Joasia. Okropność — twarz podrapana, zboczona... To jego sprawka!

— Zwierzę! — mruknął Hieronim i na jedną chwilę cały możliwy przebieg takiej brutalnej sceny, odgrywającej się na poddaszu, niezmiernie żywo odbił się w jego myśli. Stolarz (Hieronim nigdy go jeszcze na swe oczy nie widział) — olbrzymie chłوپisko, podobne do kłoca nieociosanego, z ponurą, kwadratową twarzą, o wydatnych szczękach — zgrzyta zębami i zacisnąwszy pięść (rękę ma muskularną, z wzdętymi żyłami, włochatą), uderza wąż, zastygła w przerażeniu kobiecinę... Lubo obraz był urojony — wrażenie zrodziło się niemiłe i odbiło się w nerwowym szarpnięciu ramion Hieronima.

— Mój kochany — odezwała się pani Wiktorja — wszak rządca podawał ci projekt zniesienia tych drobnych mieszkańek? Zdaje mi się, że o tym była kiedyś mowa. Ty zapewne lepiej pamiętasz.

Drobne mieszkanek trzeciego piętra stanowiły dla nich i dla całego domu niewysychające źródło przykrości. Tam się bito, hałasowano, wygrywano na harmonji, płacono nieregularnie — nigdy z góry i zawsze na raty, a przedewszystkiem tam miano bez liku dzieci, z przyczyny których raz po raz obiegały po całym domu niepokojące wieści to o odrze, to o szkarlatynie. Inne piętra wielkiej kamienicy, którą przed paru zaledwie miesiącami Hieronimowstwo nabyli w mieście, składały się z mniej lub więcej obszernych lokali, odnajmowanych przez solidnych i spokojnych ludzi; tylko w jednej oficynie poprzecznej — te nieszczęsne fajtaki, które poprzedni właściciel, chciwiec podobno, pourządzał na strychu, mąciły spokój domu.

— Tak, rządca doradzał mi, żeby zamiast mieszkalnych izdebek, urządzić tam jedno pomieszczenie na jakiś skład, lub coś podobnego.

I żeby raz skończyć z tą sprawą, Hieronim zaraz po śniadaniu polecił poprosić swego rządce.



...Pobyt dalszy na wsi, po śmierci Michała, okazał się dla Hieronimowstwa niemożliwym. Kilka strasznych, przeżytych wtedy momentów sprawiło, że Hieronim znenawidził to miejsce. W jednej chwili coś zatarło miłą paletę wiejską; podmuch śmierci i nieszczęścia osypał ją swym szarym popiołem — i oto wszystko naraz w tej wiosce, tak serdecznej dotąd, stało się obcym, zimnym, niegościnnym. Wydało się Hieronimowi, że wszystko tam — od ulubionej werandy do cienistych głębin parku, od wnętrza pokoju — do nieba, rozpostartego nad wsią, tchnie nieżyczliwością ku niemu, obcemu i nie wiadomo poco przybyłemu tam człowiekowi. A kłopoty administracji, a ucieranie się z ludźmi... Męczyć się — i to dla rzeczy, którą się już przestało lubić — nie miało sensu. Hieronimowa nie nastawała na zachowaniu stanowiska dziedziczki. Co do Jeannette — to ta nic nie chciała słyszeć o zamążpójściu.

— Chyba, że znajdę kogo podobnego do wuja Michała.

Ubóstwiała go zawsze, od dzieciństwa; śmierć wyniosła go w jej oczach jeszcze wyżej, na szczybel ideału, to zaś sprawiło, że kręciła pogardliwie główką, myśląc o innych mężczyznach.

Słowem okazało się, że pomimo kilkunastu lat życia na wsi, nikt z nich ani jednym korzonkiem nie tkwił w czarnej, wiejskiej glebie, i coś w półtora roku po śmierci Michała sprzedano majątek, który zostawił im w spuściźnie — no, i ustalono się w mieście, zapominając o dawnych argumentach przeciwko miejskiemu życiu.

Hieronim dochodził teraz do [lat swego] brata — przekroczył czterdziestkę.

Daleką jeszcze odeń była starość jego. Gdzie jej szukać było! — nie kryła-ż się jeszcze w mgłach, zaścielających dolinę przy podnóżu góry, u szczytu której był on dopiero? — Zapewne, schodzenie już się zaczęło, a schodzić mu było wygodnie — nigdzie widoku zawrotnych wysokości, nigdzie niebezpieczeństw, przeszkód, kamieni, przepaści, ani zdradzieckich szczelin; ot — scho-

dzi się, jak po swojej domowej, dobrze znanej i wypróbowanej drabince, schodzi się w tym pogodnym ukojeniu, jakie daje świadomość, że tam, w dole, czeka na nas zacisze, od surowych podmuchów wiatru i burz dobrze osłonięte.

Ale, w każdym razie — po cóż się spieszyć! On zaś — rzeczy można, że się spieszył, jakby coś go już ciągnęło na dół, jakby pilno mu było obejść wierzchołek i po łagodnym stoku swej góry zejść już prędzej ku sennej, miękką — białą — mglistą oponą otulonej dolinie...

Dziwne! — Wszak i u mężczyzn spotyka się kokieterja, i oni w pewnym wieku radzi ujmują sobie lat, on — przeciwnie — gdy zaszła o tym mowa, dodawał sobie :

— Pięćdziesiątka, moi drodzy, pięćdziesiątka na karku!

Może czuł tę pięćdziesiątkę w sobie, może chciał ją czuć, na pewno zaś — gdyby mu los z rejestru życia wykreślił te brakujące pięć lat — nie gniewałby się, nie zatroskał, nie ubolewał. — Myśl o starości zdrowej i niezafasowanej — była mu wręcz miłą.

— Za długo czuć się młodym — to ma też swe niedogodności — myślał.

Umyślnie więc chyba zaczął zmieniać swój chód, umniejszając kroku, pozwalając sobie często na lekkie suwanie nogami i wogóle wkładając jakąś zbyteczną powolność w swe ruchy.

Teraz mawiał, że zima zawsze była nużącą na wsi, że — za tym — wygrali na przeniesieniu się do miasta. A co do lata — to spędzali je wszystko troje, nigdy się już teraz nie rozłączając, w jakim cichym a pięknym zakątku Bretanii lub Flandrii. — Kupiono dom; zmniejszono do minimum kłopoty z oprocentowaniem swych pieniędzy.

I tak oto — lekko, bez żalu, trochę obojętnie schodził brat Michała po stoku góry, która pod tamtym tak nagle się zarwała, — schodził ku nakrytej cieniem zachodu dolinie, nie lękając się rozpostartej tam, w dole, białej mgły starości...

## IX.

— Owszem, projekt pański ma dobrą stronęy — kończąc rozmowę z rządcą, rzekł Hieronim.

Złą stroną było, że z zniesieniem facjatek dochód się zmniejszy, dobrą — iż zniknie zawiązek chmur i burz, raz po raz zagrażających spokojowi domu.

Hieronim uczuł chęć odparcia tej drobnej, lecz uszczypliwej napaści losu, lubiącego jednakże ciskać kamyki w zaciszne podwórka dobrych ludzi — i powiedział sobie, że — nie należy odwłóczyć decyzji.

— Czy nie poszlibyśmy tam zaraz? — zaproponował rządcy, pragnąc wyzyskać przypływ swej energii, póki nie opadnie — trzeba-ż zobaczyć, jak i co tam jest; trzeba pomówić z niemi i może odrazu uprzedzić o naszych projektach. — Zdaje mi się — dodał, uśmiechając się do rządcy — że wyprowadziliby się chyba bez żalu. Nory to są, nory, kochany panie...

Już przy kupnie domu Hieronim otrząsnął się, gdy mu pokazywano facjatki. Z niechęcią człowieka, który nigdy nikogo nie wyzyskiwał, pomyślał, że ów pan właściciel i ów pan budowniczy, których dziełem była ta przybudówka na poddaszu, mieli dziwnie lekkie sumienia. Pourządzać dla ludzi klatki ciemne, niskie, nie zaopatrzone na zimę — ...a latem, jakież zaduch musi być pod rozgrzanym dachem blaszanym!

I poszli z rządcą na górę, na owe trzecie pięterko w poprzecznej oficynie, będące zakałą wielkiej i solidnej kamienicy.

Wygodne, szerokie schody — i wogóle wszelki porządek — kończyły się na drugim piętrze. Stąd wąskie i strome schody kręcone wiodły na kurytarz poddasza brudny i ciemnawy.

Powietrze tu było niemiłe. Hieronimowi rzucił się w oczy zlew widocznie zapchany i wstrzymujący przepływ cuchnącej cieczy, która wypełniała go po brzegi.

Podłoga koło zlewu była zalana. Prócz tego widoczne było,

że lokatorzy trzymają nieporządnych piesków. Jakoż czyjaś mała, czarna psina, podgiąwszy ogonek, trwożliwie i cicho, czując zapewne swą winę, przemknęła koło nich, i dopadłszy swoich drzwi, poczęła gwałtownie do nich drapać.

Pierwsza izdebka, do której rządcą wprowadził Hieronima, lubo ciasna, malutka i niska, nie sprawiała jednak zbyt przykrego wrażenia. Było tu nadzwyczajnie czysto i schludnie, biało od firanek, zasłanych łóżek i umytej podłogi. Taką świeżość zastaje się w mieszkaniach biedaków tylko w przeddzień jakich świąt, lecz teraz żadne nie następowały. — Po zaduchu kurytarzowym tutaj powietrze wydało się prawie czystym, o lekkim tylko zapachu pary z gotującej się kapusty. — Umilkły naraz wesołe głosy dzieci. Ku wchodzącym zwróciła się, odchodząc od komina, młoda, świeża jak całe to mieszkanko kobiecina o wielkich, nie zbyt wymownych, ale ładnych oczach. Poznawszy gospodarza i rządcę, nie czekając co jej powiedzą, zaczęła pierwsza mówić szybko z jakimś przejmującym akcentem w głosie:

— W końcu tygodnia mąż zapłaci — już z pewnością, z pewnością. Mieliśmy zeszłej soboty zapłacić, ale...

Zarumieniła się i urwała.

Hieronim łagodnie począł się tłumaczyć, że nie przyszedł w celu przypominania długu. Zwiedzają te mieszkania, bo jest projekt... I począł jej wykładać projekt. Ale ona zrozumiała to tylko, że szukają pretekstu do wyrzucenia ich jako złych płatników; strapienie i pomieszanie odbiło się na jej twarzy.

— Mąż teraz w robocie — bąkała — wróci wieczorem i może dziś jeszcze zapłacimy — a co w sobotę, to już z pewnością.

Hieronim z lekka wzruszył ramionami.

— Ależ my się nie rozumiemy. Ja jestem tego mniemania, że te facjatki wogóle są nieodpowiednie na mieszkania. Tu latem musi być...

— Nigdy nie mieliśmy lepszego mieszkania, — przerwała mu swą szybką mową — bardzo je lubimy, przywykliśmy. Pan go-

spodarz będzie tak łaskaw — do soboty, tylko do soboty — te parę dni poczekać...

Zafrasowany wyraz jej twarzy i proszący akcent głosu sprawiły Hieronimowi udrczenie. Chciał się uśmiechnąć i powiedzieć jej coś, coby jej wróciło otuchę, ale sam się uczuł zmieszany i nic nie mówiąc, raz jeszcze rozejrzawszy się po tym mieszkanku, skłonił się i wyszedł, pociągając za sobą milczącego rządcę.

Za drzwiami zaraz napadł na niego z niezwykłym poruszeniem:

— Ileż to oni za tę dziurę płacą?

— Ośm rubelków, — pospieszył z odpowiedzią rządca.

Przemawiał on do Hieronima zawsze z tą uprzejmością skwapliwą, jaką wyrabiają w sobie ludzie zależni. — I z tą samą skwapliwością sięgnął naraz do bocznej kieszeni surduta, wyjął czarny notatnik, zajrzał i sprawdził:

— Tak, ośm rubelków.

Hieronim skrzywił usta i zachowując to skrzywienie, wodził wzrokiem po ogolonym podbródku rządcy i szpakowatych kolecikach, jak nalepionych po bokach białych, trochę przywiedłych jego policzków; zdawało się, że czeka jeszcze na coś, co rządca ma mu wyjaśnić, lecz rządca schował notatnik i milczał, sam przybrawszy wyraz uśmiechniętej gotowości, mówiący wyraźnie:

— To ja właśnie poczytuję sobie za obowiązek czekać na to, co szanowny pan powie!

Hieronim nachmurzył się i zastanawiał. Było rzeczą widoczną aż nadto... Poprzedni właściciel dla podniesienia szacunku domu wyszrubował do niemożliwości komorne tych biedaków. Ot — miał z kogo zdzierać skórę!

— I wszyscy tutaj tak drogo nam płacą?

— To jest — wszyscy w tym samym stosunku, — poprawił go delikatnie rządca — za facjatkę, stosownie do rozmiaru, od

ośmiu do dziesięciu. Czyż to drogo? — zachnął się pełen uprzejmości — małe mieszkanek są poszukiwane.

— Są poszukiwane, — powtórzył Hieronim — tak, widocznie bo tym naprzykład ciężko zapłacić, ale ruszyliby się nie chcieli.

„No i nie trzeba ich ruszać — dodał w myśli — czyż doprawdy taki projekt mogłem ja powziąć? — Nie — Bogu dzięki — to ten pan...“ i znów wydał usta i skrzywił (ten grymas przechował od dzieciństwa), wydając jednocześnie dźwięk w rodzaju:

— P-p-huu!

Rządca w wyrazie oczu zaznaczył zdwojoną baczność i uwagę:

— Szanowny pan powiada...? — zaczął.

— To tylko — kochany panie — że... Czuje pan? Odorek, od orek...!

Rządca parokrotnie, z niezadowoleniem wciągnął nosem powietrze.

— Stróż się skarży, że niepodobna utrzymać porządku; co sprzątnie — to zaraz znów naśmiecą, zaleją...

— Ależ, kochany panie, przedewszystkiem trzebaż przyznać, że tu jest najzupełniejszy brak wentylacji.

Rządca rozejrzał się po korytarzu i wykonał ramionami ruch, mający oznaczać, że za wadliwą budowę tego piętra — na niego, Bogu dzięki, odpowiedzialność nie spada.

— O wentylacji tu rzeczywiście nie pomyślano, — odezwał się — no, ale skoro szanowny pan zamierza opróżnić te mieszkania...

Hieronim postąpił parę kroków i machnął ręką. Tym niedość dla rządcy zrozumiałym gościem grzebał nieodwołalnie cały projekt. Uczciwość Rudderów — w przeciwieństwie z ich myślą, lubiącą się wikłać — dyktowała im zawsze szybkie i jasne nakazy.

Ujął rządcę pod rękę:

— Nie, kochany panie, tu trzeba będzie o czym innym pomyśleć. Jak to dobrze, żeśmy tu przyszli! Trzeba będzie, trzeba będzie...

## X.

Lecz naraz przypomniał mu się wojowniczy i zezwierzęcony stolarz, kat swej rodziny, zmora Jeannett'y. I między myśli o tym, że — „trzeba wszystkich ich zostawić, trzeba obniżyć im komorne, popoprawiać ich mieszkania, zaprowadzić porządek i wentylację na kurytarzu...” — klinem wcisnęło się pytanie. „A z nim co zrobić?!”

Zapytał przyciszonym głosem:

— Panie, — a gdzie mieszka ten<sub>x</sub> — ten —?

Okazało się, że stali właśnie przy jego drzwiach. Za nimi była cisza. Wsłuchując się przez chwilę, Hieronim dosłyszał tylko słabe kwilenie dziecka i stuk kołyski.

Podniecenie nie zostawia miejsca na wątpliwości i długie wahania. Hieronim czuł się teraz lekko podnieconym i oto, nie długo namyślając się, zastukał do drzwi stolarza — i gdy nie odzywano się — nacisnął klamkę i wszedł. Tutaj było daleko smutniej, niż w pierwszej izdebce. Brud, zaniedbanie, powietrze cięższe od kurytarzowego, szarość jakaś sprzętów biednych, starych, ponadłamywanych, zgrzytliwa nuta nieporządku, gałgany i bety kupami porzucane na czarnej, jak ziemia, podłodze, a z betów wyglądające blade wysrane twarze dzieci z rozczochranemi włosami...

W kącie pod pochyłą ścianką poddasza, leżało jakieś stworzenie ludzkie, mające głowę owiżaną mokrym i brudnym gałganem, spadającym na oczy. Na podłodze, obok betów, klęczała tęga kobieta, przebierająca palcami w włosach wyglądającej z pod pierzyny małej główki dziecka. Drugie dziecko wyglądające z pod drugiego końca wymiętej, nastroszonej pierzyny, leżąc poruszało biegun kołyski z płaczącym niemowlęciem. — Kobieta zerwała się szybko, a jednocześnie leżący na łóżku poruszył się niespokojnie i zesunął na czoło gałgan, zasłaniający mu oczy.

— Dzień dobry, — przemówił Hieronim.

— Zapłacę, zapłacę!

Głos ten, wydobyty w jakiejś rozpaczliwej i zgrzytliwej tonacji, przypominał głos człowieka, zestraszonoego w śnie i był tym przykrzejszy, że dławilo go coś chrypiącego w rozkaszanej naraz piersi. Człowiek, leżący na łóżku, zaniósłszy się kaszlem, zrzucił swój mokry turban z głowy i usiadł na pościeli. Był to zupełnie mały człowieczek, budową ciała przypominający chudego chłopczykę; rzadka potargana broda okalała wynędzniałą jak po chorobie twarz, w której błyszcząły podkrążone zapadłymi sińcami, wystraszone oczy. — Kobieta jego, zerwawszy się z podłogi, stanęła przed łóżkiem i osłoniła sobą wylękniętego człowieka. Zupełnie, jakby gotowała się do zaciętej obrony jego.

— Mówi, że zapłaci — to zapłaci — wyrzekła surowo, z marsem na twarzy.

„Boże, czyżby to był ten. Ach, tak — to musi być on“ — przemknęło przez głowę Hieronima i coś przykrego, kolczastego i raniącego owinęło mu się na chwilę około serca. A „on“ zaskakująco chudemi rękami zaciskał tymczasem koszulę na swej piersi, równie mało obfitej w tłuszcz jak i jego wyschnięta szyja. Żona zaś jego nie miała wcale zabiedzonego wyglądu, była to tęga i zdrowa kobieta, ręce jej — które skrzyżowała teraz na piersi, obnażone do łokci, były grube, czerwone. Mimo bijące w oczy niepodobieństwo, by wyschła szczapa, obecnie leżąca na łóżku, mogła kiedykolwiek uczynić co złego tej silnej kobiecie, która jednym palcem z łatwościąby się obroniła, jednak twarz jej w istocie nosiła świeżo zaschnięte ślady podrapania na czole i koło nosa. Widocznie — że gdy on po pijanemu skakał jej do oczu, ona, w obawie, by jednym [uderzeniem nie zgnieść tego chrząszcza, nie stawiała mu oporu; inaczej — rzecz byłaby nie do pojęcia.

— Nie przyszedłem przypominać o długu, — rzekł Hieronim, powtarzając prawie mechanicznie to, co już mówił w pierwszej izdebce.

— Chciałem, — dodał po zawahaniu się — coś dowiedzieć się o położeniu waszem...



Spojrzał życzliwie w oczy stolarzowej, ale ona się nie rozchmurzyła, na twarzy zaś stolarza odbiło się najwyższe znękanie i trwoga. „A co, nie mówiłem, że spadnie jakieś nieszczęście. Los zawsze mnie każe po każdym upiciu się“ — można było przeczytać w oczach jego. Żona musiała doskonale odgadywać, co się w nim dzieje, bo rzuciła mu z boku spojrzenie, mając go uspokoić, mówiące: „Nie bój się!“, a do Hieronima zwróciła się pochmurnie, w swej twardej mowie:

— Nasze położenie jest takie — że zapłacimy. Najdalej w sobotę. Będzie miał — odbierze — zapłaci. My, — dodała — my tam jeszcze nikogo nie zarwali.

I uważając, że już powiedziała, co powiedzieć należało, odeszła od łóżka i wróciła do dzieci. On położył się z powrotem i naciągnął kołdrę pod brodę.

Hieronim pojął, że i tutaj dogadać się nie potrafi i że to zresztą nie jest już potrzebne, bo zaprzatająca go kwestja już nie istnieje. Wychodząc, unosił z sobą coś w rodzaju wdzięczności dla stolarza, że jest takim, jakim jest, nie zaś — jakim on go sobie wystawiał. Znękanie się jego nad żoną było więc bajką, która wyległa się w głowie pokojówki i stamtąd przesadzoną została do główki Jeannette.

— No, nie straszny ten nasz stolarz — odezwał się z cicha do rządcy, który nie wszedł z nim i oczekiwał go na kurytarzu — po prostu alkoholik, wyniszczony do najwyższego stopnia. „O, — pomyślał potym — trzeba by jeszcze Jeannette tu sprowadzić — niechby zobaczyła tego mniemanego ciemiężcę i awanturnika“.

Te szczególne i nieoczekiwane wrażenia zrodziły w nim jakiś nowy, mało znany nastrój. Teraz, choć nic go już więcej nie zmuszało, uczuł wręcz potrzebę przejrzenia wszystkich po kolei klatek tych, wiążących smutne, zacieśnione w swym bycie egzystencje ludzkie.

— Kto tu mieszka? — zwrócił się naraz do rządcy, sta-

nąwszy przed drzwiami, w których niedawno ukryła się czarna psina.

Tamten sprężynowym ruchem sięgnął po notatnik.

— Posłaniec z żoną — bezdzietni — wyrobница — handlarka liczna — czworo wszystkich — informował jak z listy.

Otworzył drzwi, powitany ciekawym, zalewającym się szczeniakiem pieska, Hieronim przestąpił próg, zatrzymał się na chwilę i cofnął. Z za pleców jego spoglądający rządca nic jednak nie zauważył szczególnego. W izbie dość czystej znajdowała się tylko jedna kobieta, w ciasnej okiennej niszy przeglądająca do światła jakiś gałgan, którego łataniami widocznie była zajęta. Na wchodzących rzuciła obojętne wejrzenie, jakby wizyta żadną miarą nie mogła się do niej odnosić. Hieronim, nie spuszczać z niej oka, jeszcze raz postąpił krok w głąb izby i znów się cofnął — już ostatecznie. Drzwi za sobą zamykał powoli, ostrożnie, z jakimś dziwnym namysłem. Za drzwiami stanął, podparłszy się laską, i opuścił głowę.

Tak przeszła chwila. Potym, roztargnionym wzrokiem przesunął po nalepionych kotlecikach i wygolonym podbródku rządcy, który wyraz zdziwienia szybko zastąpił zwykłym wyrazem skwapliwej — lecz urzędowej, zimnej, nakazanej sobie — uprzejmości. Dużemi krokami Hieronim począł zmierzać ku wylotowi kurytarza:

— Dość już widzieliśmy, kochany panie.

Schodził wolno w zadumie.

„Dziwny traf, — myślał — czy mogłem przypuścić, że tam mieszka ta kobieta — jedyna, z którą skłonny był ożenić się mój brat“.

## XI.

Tegoż dnia, wieczorem, będąc sam w swoim pokoju, Hieronim z skupioną uwagą odczytał jeszcze raz ustęp z listu, w nagłówku którego mieściły się słowa: „Mój drogi bracie...“ Po

zgonie Michała papier ten znalazł się wśród innych jego papierów. Napisany na lat parę przed śmiercią list ów szczególnie — bo bracia, nie rozłączając się, nie mieli potrzeby korespondować z sobą — i niedoręczony, zawierał zwierzenia i myśli, o które w rozmowach z bratem niewiedomo dlaczego Michał nigdy nie potrafił.

„...Byłoby dobrze, mój drogi, wszystko dobrze — gdybym się był ożenił z nią zaraz, uprzedziwszy chwilę, kiedy ona pojęła, co krzywda, a ja — co wyrzuty. Gdy to nastąpiło — żenić się nie miało już sensu. Tybyś mi pewnie umiał wytłumaczyć, bo ja nie rozumiem, czy może istnieć zadośćuczynienie w tych razach? Powiedz — gdy dwoje ludzi pobierze się już tylko dlatego, by zagłodzić swą winę, uświadomioną jako taka, — czy dobrze robią? Wszakżeż to następuje połączenie dwojga kalek, które bezpowrotnie utraciły jakąś ważną, niczym nie zastąpioną część duszy! Ale dopóki nie poczuliśmy się kalekami — rozumiesz mnie? — dopóki zdrowie było w duszy, małżeństwo pomiędzy nami nie byłoby żadnym zadośćuczynieniem, tylko zwykłym szczęściem jej i moim. Ja tak teraz myślę. Szczęście nasze rozwinęło by się z świeżego pączka t a mtej chwili tak naturalnie, jak liść rozwija się, rozwinąć się musi z niezwarzonego, niestoczonego przez robactwo pąka swego“.

„Wątpisz — nieprawdaż — gdy mówię o szczęściu z nią? Uprzymiarniasz sobie mój umysł ciężki, nieruchawy, któremu koniecznie trzeba lotnego przewodnika. Prawda — że moją bezskrzydłą myśl potrzeba ciągnąć, zachęcać, pobudzać. Ale — wiesz, co myślę? — może skutek byłby ten sam, gdyby ze mnie okoliczności uczyniły czyjegoś przewodnika... Wszak, bądź co bądź, byłem bardziej rozwinięty od tego biednego dziecka i robiłbym dla niej to, co tak chętnie robimy dla dziecka — uczyłbym ją. To znaczy — że i sam musiałbym uczyć się, myśleć, czytać...“

„Co powiesz? Takie proste i jasne rzeczy — dziś! Boże, cóż za porosty są na duszy, przez jakież zbite, stwardniałe, wyjało-

wione pokłady przebijać się musi kiełek zwykłej prawdy, prawdy, zawartej w prostym, nieskrzywionym uczuciu. I ot — gdy listek tej prawdy wszedł, gdzież już słońce mego życia, kto je zawróci...“

I znów — jak przed laty paru, gdy pierwszy raz to czytał — objęło Hieronima głębokie wzruszenie. Powiew drogiego życia, zgasłego życia, cichym z za grobu westchnieniem owionął go. Wydało mu się, że Michał tu siedzi, smutnie się uśmiecha i powtarza z cicha :

„Mój drogi, co za porosty na duszy...“

Przeszła chwila; wzruszenie opadło. Hieronim niespokojnie tarł czoło; męczyło go, iż nie mógł się uporać z pytaniem, czy w istocie brat jego tym, iż się nie ożenił, skrzywdził nie tylko ją, lecz i siebie, a może siebie więcej — czy ją więcej? Chciał to rozstrzygnąć i nie mógł — to było bardzo męczące. Wreszcie, głośno, zapomniawszy, że sam jest w pokoju, rzekł :

— Nie wiem... Ja nie wiem.

R. 1905.



CZEŚĆ II.

## MYŚLI.

IMIENNI!  
POWIEŚCI WALERJI MARRENÉ.  
CZŁOWIEK Z NIZIN.  
PRZEOCZENIA.  
JUBILEUSZ MARZENIA.  
ŚRÓD PRZYCZYN I SKUTKÓW  
MYŚLI PYTAJĄCE.  
W SUROWEJ SZKOLE.



# IMIENNI!

Mały chłopiec znalazł w pokoju dziadunia na zakurzonej półce, do której nikt dawno nie zaglądał, dwie mocno zębem zniszczenia draśnięte książki, wtłoczył je sobie pod pachę i zjawił się z nimi na progu mojej izdebki. Spostrzegłem, że jest czymś mocno przejęty — miał uroczystą minę, jaką przybierają mali ludzie, gdy nastreczy się im kwestja w mniemaniu ich tak niesłychanie ważna, iż powinny przed nią ustąpić wszystkie sprawy, zaprzatające umysły starszych.

„Znalazłem to — i...”

Zaciął się...

Nie nagliłem go o dalszy ciąg, wiedząc, że małemu człowiekowi trzeba zostawić trochę czasu do wywikłania myśli z oprzędu trudności logicznych — i spojrzałem na przyniesione przezeń książki. Jedna z nich — dobry bogowie! — wszak to tom dramatów Shakespeare'a, lecz w jakimż stanie... Okładka podarta, brak tytułowej karty, poplamione to, zbutwiałe, wilgotne. Dla czego ta książka była w takiej poniewierce, czemu zapomniał o niej dziadunio i inni, ile lat przeleżała w jakimś wilgotnym kącie, zanim lubiący szperać po zakamarkach malec natrafił na nią — nie umiałem sobie objaśnić. Druga nie miała kilku kartek początkowych, druk, papier, data ostatnich objętych nią wydarzeń wskazywały na pochodzenie z końca w. XVIII.

„Znalazłem te dwie książki — i jest mi smutno...”

I czemuż to smutno małemu człowiekowi? — Powoli, z wielką trudnością, urywając raz po raz wątlą nić kojarzeń myślowych, wypowiedział nareszcie tyle, iż mogłem zrozumieć, co go zasmuca. Oto — nie może dojść kto pisał te książki! Myśli o tym, chciałby wiedzieć. Ci, którzy je pisali, musieli to być uczeni, musieli wiele myśleć, a więc (transponuję wyrażenia dziecka na mowę starszych) — w pisanie swe włożyli zapewne część swej istoty, zawarli w nim może owoc życia swojego; dziś zaś mały chłop-

czyna, któremu po wielu latach owoc ten wpadł w ręce, nie może uczcić twórcy, nie może powiedzieć: „Wiem, jak się zwał ten, czyje myśli szeleszczą w tych kartkach“!

Pocieszyłem go przynajmniej co do jednej z tych książek, lecz — wymieniając nazwisko wielkiego poety — sam zaskoczony zostałem okolicznością, będącą w pewnym związku z przyczyną zasmucenia chłopca. Wszak spierano się o to, kto napisał te dramaty! Nie istota tego sporu — lecz sama możliwość wyniknięcia jego nasunęła mi się jako objaw, który na jasność dzienną wyprowadza tajemnicę duchów twórczych z doby dawnej i dzisiejszej, ukazuje różnice głębokie i znamienne, ukazuje je w nagości szpetnej i szyderczej...

Rozważmy. Był magnat myśli. Jednym jej cięciem spokojnym, lekkim — prawie od niechcienia — umiał duszę ludzką roztworzyć głębiej, niż to wspólnym wysiłkiem sprawić zdoła 150 spółczesnych beletrystów. Zaświecił swym gienjuszem i promienie jego w otchłań idących wieków rzucił z taką niedbałą wspaniałością, z jaką słońce przyświeca przestrzeni międzyplanetarnej. I stokroć wspanialej nawet, — bo niech dziś zagaśnie słońce, gdzie szukać jasności jego złotych strzał i błysków — on zaś zgąś, ustąpił miejsca nieprzebranym szeregom następców, którzy ciężkim stąpaniem szlak jego ducha rozorali; nowe kierunki przeleciały ponad twórczością jego, przyciskając ją, każdy od siebie, świeżą płytą grobową — a jednak światłodajna moc wielkich twórców ducha nie została stłumioną. Dość jest przez chwilę zanurzyć wzrok w szarzyzną spółczesnej twórczości dramatycznej, by zwróciwszy potym oko ku nim — doświadczyć wrażenia oślepiającej jasności! Jest to fosforescencja gienjusza zniszczyć się niedająca. Gdyby kiedykolwiek ludzkość wspięła się na takie szczyty myślowe, że z nich widziano twórczość Schaspeare'a wydałaby się czymś przestarzałym, natenczas — w postaci próchna — myśli jego jeszcze zaświecą...

I oto tej miary twórczy umysł tak mało dbał o ostemplowa-



nie swoich płodów cechami tożsamości osoby twórcy, iż co do niej potomnych udęcza wątpliwość. A czy on jeden; iluż było takich — iluż zupełnie bezimiennych! Ktoś w ciszy, ustroniu, pomroku celi klasztornej lub izby laboratoryjnej pracował często przez całe życie nad jednym dziełem, wkładał w nie ogólną sumę swych myśli, dociekań, marzeń, doświadczeń, badań, a gdy wreszcie ten najdroższy płód, to dziecko ukochane, czule wypieszczony owoc — dojrzał i oderwał się od drzewa, które go wydało — jakże często się okazywało, iż twórca jedną tylko rzecz pominął, o jednym nie pamiętał, czy o to nie dbał — wymienić swe nazwisko. Może je uważał za coś tak znikomego, jak materjalne cząstki mózgu, którym sądzono jest mieszać się z ziemią. Może mówił sobie, że jego myśl jest tylko drobnym ułamkiem jakiejś wielkiej, zwolna wyłaniającej się z mroków Myśli, zawierającej tajemnicę wszechświata; że wykryte przez niego prawdy — to nieznaczna cząstka niezmiernego obszaru Prawdy, zdobycie którego jest celem i przeznaczeniem ludzkości — i że śmieszną jest rzeczą te ułamki, lub cząstki stemplować imieniem istot, które przez chwilę piastunami ich były...

...Spółczesny Agapit z nieporównaną finezją i odczuciem skreślił wrażenia, doznane po spożyciu dwu łyżek *ol. ricini*. Spółczesna Dorota zostawiła nam świetny opis zniecierpliwienia młodej kobiety, napastowanej przez pchły...

Para ta przez całe dziesiątki lat drapie dłutkiem swej analizy po skorupie tej samej człowieczej duszy, która tak łatwo otwierała się przed okiem Shakespeare'a, drapie i dłubie w niej bezskutecznie, lubo tak zajadle, iż potem się oblewają oboje, czytelnik zaś przyprawiony zostaje o drgawki i konwulsje z nudy lub wściekłości. Bo dać się wciągnąć w czytanie tych rzeczy jestto uczestniczyć, lub przynajmniej być świadkiem najzwyczajszej prostytucji myśli.

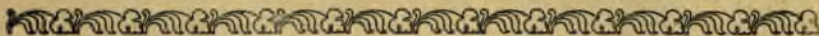
Czy może kiedyś zająć najlżejsza wątpliwość co do tego, iż Agapit jest istotnie autorem swych dwudziestu dramatów, a Do-

rota — tyłuż powieści? Nigdy — i bynajmniej nie dla tego tylko, że każdy wiersz ich utworów nosi niezaprzeczone, niedające się zniszczyć i najzupełniej specyficzne piętno głupoty, lecz przede wszystkim dla tego, iż na każdej stronie wydrukowano imię i nazwisko autora. Z twórczości Agapita żdźbła — i te nie zginą. Gdy umrze, wielbiciele jego przetrząsną nawet szafkę z bielizną, badając, czy nie miał on zwyczaju na mankietach kreślić aforyzmów; co za uciecha dla komentatorów i biografów, gdy w biurku nieboszczyka znajdą niezapłacony rachunek praczki, a na nim własną ręką Agapita wypisane słowa: „Niech djabli wezmą tę babę!“ Ścisłość bibliograficzna w naszych czasach jest wielka, niestety! — bibliograf częstokroć czyni porządek między rupieciami. Z naszych pułek nic nie ginie, ale zawartość wielu z nich to również — nic.

Na obszarze literatury pięknej rozlały się zmętniałe wody powszedniości i lichoty myśli. Nie są to wody nilowe — nie zostawią mułu użyźniającego. Gdyby nie sumiennosc bibliograficzna, z czasem, gdy obszar ten obeschnie, niktby nie potrafił wskazać śladu zalewu. Czy jest on straszny? Czy mówi o jakimś niezwykłym zwałeniu myśli ludzkiej w tej dziedzinie? Zapewne — nie. Jak za czasów Shakespeare'a, tak i dziś myśl twórcza, oryginalna i wielka jest rzadkim darem bogów, a ponieważ rejestrujemy teraz wszystkie przejawy myśli, więc odsetek dzielnych i godnych uwagi zmniejszyć się musiał. Dalej — myśl jako wytwór mózgu zależną jest od organizacji jego i sprawności, która znów w wysokim stopniu podlega wpływom środowiska społecznego. Znamiennym jest, iż mieszczaństwo wytworzyło atmosferę, niesprzyjającą pogłębieniu myśli w dziedzinie literatury pięknej. Tak jak dawniej pracowano, w skupieniu ducha, nad wielkim „dziełem“ — w tej atmosferze pracować nie można; nie szukać też w światku, objętym chciwością zysków i pożądaniem łatwej zabawy, ludzi, którzyby zdolni byli wypieszczony płód swego ducha oddać ludzkości bezimiennie. Jednocześnie stwierdzić trzeba, że w żadnej

jeszcze epoce Myśl nie była przedmiotem tak wściekłej pożądliwości ze strony Agapitów i Dorot, tym uporczywiej, tym żałośniej trwających w swym pożądaniu, im bardziej niemożliwe jest zaspokojenie. Trudno... Natury nie przynaglimy, by wydała palmy na tundrze północnej, a myśli — by trysła tam, gdzie warunkiem bytu jest bezmyślność.

R. 1903.



## POWIEŚCI WALERJI MARRENÉ.

Porywy i dążności świadome szlachetniejszych jednostek, opasane spletem stosunków ogólnych, uprzedzeń i przesądów środowiska, uwarunkowań życiowych jednostki — skierowują się w sposób zupełnie naturalny ku węzłom słabiej skreconym, ku ich rozluźnieniu i pozyskaniu pola działania. Szukając dróg najmniejszego oporu w środowisku jednostka usiłuje uświadomić sobie, wypróbować — które z jej uzdolnień najprędzej i najłatwiej do celu ją zawiedzie. Idzie o cel utylitarny, o jasno określona poprawę jakiegoś zła społecznego.

W minionej dobie walk, staczanych u nas na terenie społecznym — w dobie, która nie tylko, iż z dniem każdym w głębszą zapada przeszłość, ale co do której dzień każdy uwydatnia olbrzymie różnice zarówno w środkach walki, jak i w coraz jaśniejszym, przez coraz szersze masy uświadomionym jej celu ostatecznym — widzimy szereg działaczy, którzy uznali, iż jednym z najslabiej opancerzonych miejsc sennego mózgu społecznego jest wrażliwość na ponęty literackie. Brali też i inne okoliczności pod uwagę... Dostępu do dzwonów alarmujących, do dzwonów o silnym, przejmującym dźwięku, broniła — straż polityczna, której w smak był bezwład senny ludu. Wprawdzie i dzwonek powieściowy był pilnowany, ale straż tę, której ciemnota najczęściej o lepsze idzie z służalstwem — łatwiej było uspić... Dość, iż linja najslabszego oporu była wyraźnie wskazana. Wiercenie w mózgach rozpoczęto od strony zamiłowania w literaturze pięknej; od tej strony poczęto stukać, dłubać i przez otwory słomką, czy piórkim literackim łaskotać myśl, wywabiając ją z zacisznego legowiska.

W szeregu owych działaczy mieliśmy wielu ludzi myślących, ożywionych gorącą chęcią służenia dobru ogólnemu i wielu zdolnych, lubo nie zawsze w tej mierze, by, wybrawszy powieść jako środek oddziaływania w pożądanym kierunku na masy, móż

opanować go i władać tym środkiem artystycznie. Ale mierzyć ich twórczość literacką — a więc ich czyn — miarą tylko artystyczną nie byłoby słusznym. Ile razy w imię piękna zwrócilibyśmy się do którego z nich z wyrzutem, natychmiast obok artysty krytykowanego stanąłby człowiek — częściej cień człowieka zmarłego — i upominałby się gorąco o to, by sądzono ich — artystę i człowieka z tendencjami społecznymi — razem, koniecznie razem. I nieraz gdy sylwetka pierwszego przedstawia się blade i nikle, cień drugiego — dzięki rozrzuconym dokoła blaskom aspiracji szlachetnych, które mu ongi przyświecały — występuje wyraziście, sprawiając nierównie silniejsze wrażenie. Z kart tych dawnych powieści, które nam wydają się tak dziwnie szaremi i nużącymi, wieją — po za ich treścią — skargi i wyznania twórców, które przestrzegają nas przed popełnieniem niesprawiedliwości. My, którzy wiemy co kosztowało przekopanie nowych dróg czynu, obejście lub rozsadzenie przeszkód — czyliż możemy bez głębokiego wzruszenia i głębokiego spólcucia sądzić czyn tych, co w pętach jeszcze rwali się doń, co pierwsi poczynali drwić sobie z szyldwachów i napisów: „Tu nie chodź!“ „Tam nie łaż“; „To ci nie wolno — tamto ci zabroniono“... i na każdym kroku pokonywać musieli bezwładny, nużący tych biedaków, wyczerpujący ich siły — opór ciemnoty, zleniwiającej myśli, senności powszechnej lub przygnębienia więziennego...

Jeśli dziś zarówno krytyka, jak czytelnicy stawiają powieści zupełnie inne wymagania, niż za czasów rozkwitu literackiej działalności Walerji Marrené, nie jestto li tylko skutkiem ewolucji pojęć estetycznych. Przedewszystkiem zaś oznacza to, że dotarliśmy nareszcie do takich warunków życia, gdy wolno już uwolnić powieść z służby najemnej, rozpętać węzły i supły twardego postronka utylitaryzmu, którym ją okręcono; znaczy to — że dziś nie mamy już potrzeby dowodzić w kilku tomach zawartymi przykładami, iż oświata ma znakomitą wyższość nad nieuctwem lub, że kobieta jest człowiekiem. Tam, gdzie dziś widzimy uprawne

poła myśli, nie tak dawno były nieużytki, gorzej — bo wręcz skamieniałości jakież. Otóż — w robocie mającej na celu usunięcie ich, odsłonięcie warstw zdatnych do uprawy — nasza powieść tendencyjna z doby minionej udział swój zaznaczyła. Dziś pług czynu śmiało odważa skiby, życie wre, rozlega się gwar wspólnej pracy, martwota ustępuje, robotników przybywa, nie potrzeba ich zwoływać i zachęcać, słysząc głosy: „Dopuszczcie nas tylko do pracy — zachęta jest w nas samych“. I gdy jeszcze nieco czasu upłynie, gdy przeszłość jeszcze dalej się odsunie — może ktoś z niedowierzaniem słuchać będzie opowieści o pustkowiu osowiałym, nudnym, milczącym i o głosach, które leciały nad nim, nawołując; ktoś inny z uśmiechem wspominać będzie jakich to potrzeb i praw elementarnych świadomość budzić trzeba było, wśląc ją w umysły odporne, drzemiące...

Z temi nawoływaniem, posługującemi się dla dalszego rozgłosu tubą powieści, przez kilka dziesiątków lat łączyła głos swój Marrené. Nie był to głos donośny, wstrząsający, lecz dla pewnych odłamów mieszczaństwa, objętych najcięższymi z form stężenia myśli, dla mózgow nieruchawych, dla światka uprzywilejowanego, z którego sama wyszła i z którego przez długi czas swe motywy powieściowe czerpała, miał brzmienia nowe i śmiałe. Zwłaszcza niezaprzeczoną siłą uczucia dźwięczał i akcentu świeżych a głębokich przekonań nabierał jej głos w dziedzinie beletrystyki, zarówno jak publicystycznej, gdy szło Marrenowej o prawa kobiety, o wydobyte jej z atmosfery cieplarnianego wychowania, z warunków unicestwiających samodzielność, gdy szło jej o wyszukanie dróg ku urzeczywistnieniu ideałów, nieśmiało kielkujących w duszy kobiecej — i gdy wogóle szło autorce o prawa uczuć deptanych, krzywdzonych, upokarzanych. — Czuła głębokie rozżalenie i umiała je wypowiadać, gdy zamigotały przed jej oczami porywy uczuć, których szczerłość jest najistotniejszym prawem ich istnienia, a którym świat mieszczański daje do wyboru — zagładę, lub byt pod osłoną cienia, prześlizgiwanie się

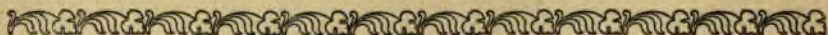
w korytarzach obłudy. Rozdźwięki, idące od „świata i praw jego“ i wciskające brutalnie ostrze klina w „spójnię serc dobranych“ — zapadały łatwo w jej duszę. ¶

Oto — ktoś szlachetny, w zaślepieniu idealisty, ratuje młodą dziewczynę od upokorzeń i udręczeń, jakie jej gotuje ruina majątkowa. Ona poświęcenie przyjmuje, lecz zapowiada, iż nigdy nie zapłaci za nie miłością, i w istocie płaci zgoła czymś innym, reguluje rachunek tak, iż przyprawia mężczyznę o głębokie, niszczące ducha rozczarowanie. Rozchodzą się; on z czasem napotyka istotę, związek z którą umożliwiłby nareszcie „harmonję serc i dusz“. Gdy jednak udaje się do żony z prośbą o zwolnienie go z więzów, które dla obojga są ciężarem, ta spokojnie, po kupiecku, z kredką w rękę, poczyna rozrachowywać, czy rozwód przyniesie jej jaką korzyść. Nie, nie przyniesie! — Węzeł rozwiązuje zbrodnia. Mąż zabija żonę, jego zaś ukochaną — zabija zgryzota. — Sytuacje, jakie stworzyła Marrené w powieściach *Mąż Leonory* — którą streściłem powyżej — i *January* — najbardziej znanym z jej utworów — świadczą, iż nie unikała ona konfliktów silniejszych, potracających o tragizm, jeśli zaś sprawiają konflikty te wrażenie miernie przejmujące, to już nie wina przedmiotu.

Następnym generacjom, które ze względu na nużącą rozwlekłość utworów Marrenowej poznawanie całego jej dorobku powieściowego uznają za zbyt uciążliwe, wystarczy dla ujęcia charakterystycznych cech tej autorki odczytać po jednej powieści z dwu okresów jej twórczości. W pierwszym — bujała Marrené po świecie uczuciowym, abstrakcyjnym; tutaj lot jej myśli był śmiały i swobodny. Była bezwzględnie pod silnym wrażeniem pani George Sand, nie można jej jednak pomawiać o zapatrzenie się i niewolnicze naśladownictwo; przeciwnie — wtedy był u niej rozmach i śmiałość twórcza, jakiej nigdy nie mają naśladowcy. W drugim — z niemałymi trudnościami i miernym powodzeniem odtwarzała rzeczywistość.

Odczuwając szczerą i urok świeżych prądów myśli, starała się Marrené usilnie, by swoją z nimi złączyć i w jednym iść szeregu z gromadką ludzi, którzy, wywalczywszy sobie zaszczyt torowania drogi ideom postępowym, przyjęli na siebie cały tej pracy mozół krwawy i wszystkie z strony jej niechętnych kłatwy. Część tych kław spadła także na głowę zmarłej. Nic to nie szkodzi, jestto raczej jeden więcej dowód, że — gdy o Marrenowej, jako powieściopisarce wszelka pamięć zaginie — będzie historia myśli pamiętała o niej, jako o krzewicielce idei postępowych.

R. 1903.





# CZŁOWIEK Z „NIZIN“.

## I.

Podobno nie od dziś już prostaczkowie przebąkują, iż prawda a szczerość żyją w rozłące. To cała historia! Pytajcie — a opowiedzą wam cisi, ubodzy i nieuczeni wszystko jak było, od początku do końca. Opowieść swą przeplatać będą westchnieniami, a w oczach ich dostrzeżecie to żałosne zadumanie, które świadczy, iż tutaj niedolę dwu siostr (tak się miłowały i lichy wie po co je było rozłączać...) istotnie wzięto do serca; ilekroć zaś razy opowiadający splunie — wiedźcie, że wtedy ma na myśli sprawców złego, jakkolwiek imienia ich za nic wykrztusić nie zechce. Jądro tej płaczelwej i nudnej historii jest takie, iż Prawdę ktoś cichaczem wyprowadził za rogatki społecznego życia, poczym upomniał ją surowo i dobitnie — podobno kij nawet był w robocie — by więcej nie wracała. — Kto to zrobił? Nie my — wypierają się stanowczo prostaczkowie i więcej nic z nich nie dobedźcie; czasem tylko któryś bardziej dobroduszelnej i ufnej natury, popatrzylwszy wam w oczy, zacznie znacząco mrugać w stronę... Powiedźcie — warjat chyba, bo w jakąż to on stronę mrugać sobie pozwala — w stronę ludzi mądrych, porządnyc, uspołecznionych — ludzi, w obecności których można trzy godziny z rzędu mówić o wszelkich formach „z w y r o d n i e n i a e t y c z n e g o <sup>1)</sup>), lecz oni do żadnej się nie przyznają. „Jak śmiesz, hultaju, swym głupim mruganiem, oskarżać tych, co są jako najwonnieszy wyciąg kultury umysłowej i moralnej!“ Rzekliście w słusznym oburzeniu, lecz — gdzież prostaczkowie? Niema ich. Po pierwszym waszym obelżywym słowie skurczyły się dusze tych biedaków i są już zamknięte na siedm pieczęci. Patrzcie — oto

<sup>1)</sup> Jest to koń. Dosiadła go temi czasy prasa warszawska i w kompletnym rynszunku policyjnym ugania się, po rozłogach naszych cnót społecznych, za niecnotę „nożowcem“.

pierzchająca gromadka wzajemne czyni sobie wyrzuty, iż dali się skłonić do opowiedzenia swej historii, a jaką zakłopotaną i nieszczęśliwą minę ma ten nieborak, który budzącemu się w nim braterskiemu ku wam zaufaniu dał wyraz — czym? nawet nie słowem — jednym tylko porozumiewającym mrugnięciem swych dobroduszných oczu. Chciał on naprowadzić was na ślad Prawdy — może w nadziei, że podążycie na jej odszukanie — lecz oto w tejsze chwili sprawdziły się słowa opowieści — iż Prawda a Szczeróść chadzać muszą z osobna! Teraz od tych ludzi nic się już nie dowiecie i sami — jeśli woła ku temu — dochodzić musicie, czemu i kto sprawił, że łącząc od rogatki do rogatki i pilnie przetrząsnąwszy cały stosunek garstki, skupiającej dobytek kulturalny — do mas, które go nawet nie oblizały, prawdy — bądź odzianej, bądź nagiej — nie napotkać!

Co do Szczeróści — sprawa inna. Jej nie wyświecano za rogatki. Mieszka gdzieściś bliżej, lubo — mówią, iż nad wyraz nędznie. Czasem wolno jej wychodzić, czy też sama wylatuje na ulicę bez pytania. — Rozłączona z Prawdą — skapcianała, zeszła na poziom plotkarki, wielokrotnie karczonej za gadulstwo; w wiecznej obawie nowych cięgow hamuje język, ile może, ale czasem bywa to nad jej siły. Wtedy to spotykamy ją leącą środkiem ulicy. Włożoną na wykręt spódnice trzyma w obu garściach, by jej nie spadła: tasiemki fruwają; jedna noga w pantoflu, druga w dziurawej pończosze, brudnego kaftana już nie było czasu zapiąć. Zacietrzewiona tak, że dziesięciu policjantów poskromić by jej teraz nie zdołało, leci do sąsiadek i zdaleka już woła: „Kumo, kumo — mam wam coś do opowiedzenia!“..

Przypomnijcie sobie wszystko, co kuma — prasa powiedziała kumie — publiczności z powodu „nożowców“ a będziecie musieli przyznać, że tak właśnie, nie inaczej odbywają się publiczne występy Szczeróści. Biedaczka ofuknięta — po co gada takie rzeczy, które wręcz ze względu na egoistyczny interes garstki kulturalnej powinny być najgłębszą pokryte tajemnicą, szeptem zakło-

potana: „Nie mogłam wytrzymać!“ To całe jej tłumaczenie. Zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że taki błysk szczerości taka chwila roztargnienia, w której zapomnieliśmy sprawdzić, czy wszystkie guziki naszej garderoby są zapięte, czy twarz jest należycie ucharakteryzowana, czy wąs w miarę podkrecony — taka chwila wystarcza, bo odsłonić do najdalszych, najbardziej „intymes“ zakątków całą głąb fałszów i obłudy społecznej, by uwidocznic całą grę, ujawnić wartość robionych na zimno sentymentów, umizgów i końcem palców posyłanych „nizinom“ całusów. — Zwykle gubi dyplomate nie rozwlekła, długa mowa, lecz jakieś jedno nieostrożne słowo, którego już nie sposób wziąć z powrotem do gęby. Bülow rzucił nam, Polakom, swoje: „*die Kaninchen!*“; było to jedno z tych cudownych objawień szczerości, które dla dyplomaty znaczą tyle, co pałka w cenzurze ucznia, i nie ulega wątpieniu, iż pod ciężarem tej drobnej nieostrożności, tego przyznania się do obawy przed plennością i niesłychaną siłą żywotną polskich królików runie kiedyś więcej, niż sam Bülow — bo cały system, którego on przez jedną w dziejach chwilę stał się wyobrazicielem.

I prasie warszawskiej wymknęło się takie jedno słówko, szczerze i djablo nieostrożne...

Chłosta!...

Powiedziano — na nożowców trzeba przywrócić chłostę. — Nie ma innego sposobu wykorzenienia nożownictwa, tylko chłosta. Trzeba siec różgami tych zbrodniarzy...

Dziś już może niejeden chciałby cofnąć te słowa. Panowie, są słowa, które z powrotem nie trafiają do gęby, nie dają się cofnąć, bo zwymiotowała je dusza nękana fałszem, bo wykrztuszone zostały w chwili, gdy usnęła czujność dyplomaty; bo są Szczerością, kompromitującą tych, którzy w stosunkach społecznych obchodzą się bez Prawdy.

Powiedzieliście — chłosta! No cóż tak wielkiego, ot — zerwało się takie słowo w zniecierpliwieniu; doprawdy — cóż tak

wielkiego — wszak znane są sroższe wymiary kar, dawniej łamano kołem, ucinano członki... Przytym — czyż to „ludzi“ chcemy chłostać; gdzieżby tam — tylko „istoty zbydlęcone“... Nie — braciszkuwie kochani, piastunowie kultury i myśli filozoficznej, mądrzy i prawi sędziowie ciemnych, zbydlęconych „winowajców“ — to słowo, które szczerze z ust wam wyrwała, pomknęło już daleko i bezpowrotnie, pomknęło w tę otchłań dziejową, skąd nic cofnięte i gdzie nic zmazane być nie może, a pomknęło dla tego, że jest szczerem, że jest nierozumnym okrzykiem nadeptanego na odcisk egoizmu społecznego, że jest niezbytym i ogromnej wagi dla orjentowania się w chaosie społecznych stosunków dowodem zupełnej nieznamości „człowieka z nizin“.

## II.

Co wiemy o „człowieku z nizin“? Skąd, od kogo czerpiemy wiadomości o nim? Czy i o ile mogą one być wiarogodne? Jak daleko sięga ta wiedza w głąb duchową tego człowieka? Czy wogóle dostępną jest dla nas głąb ta? Czy może ona stać się jasną — nie mówię dla tego czujnego na murach Kapitolu choć nigdy o zbytnią przenikliwość niepomawianego ptactwa, które z okazji nożowców tak zapalczywie na trwogę podniosło wołanie — lecz czy stać się może zupełnie jasną dla uczonego, żadnego poznania nizin, lub dla humanisty, marzącego o zbrataniu się z niemi? Czy skalpel i sonda jednego, a uczucie drugiego nie oprze się na pewnej głębi o jakieś jądro w duszy człowieka „z nizin“, dokąd już żadnego wstępu niema poprostu dla braku spólności czucia? Czy możliwym jest, by człowiek ten miał być formą wstrzymaną co do rozwoju i w jakimś skostnieniu oczekującą chwili, gdy łaskawość losu — jak kasjer, wywołujący: „Po kolei, panowie!“ — zawezwie człowieka z nizin po wypłatę, która tę skostniałą formę napełni odrazu treścią nowożytną kultury? Takie odrętwiałe oblicze duchowe mógłby mieć człowiek (czy rasa) przy zupełnej niezmienności otoczenia martwego

i społecznego — tymczasem w otoczeniu człowieka „z nizin“ następują ciągłe zmiany, które wprawdzie nie jego mają na widoku, lecz pośrednio muszą żłobić nowe rysy w jego duchowości. On nie uczęszcza do akademji, jednak budynek mający ją pomieścić wznosi swemi rękami, nie ubiera się w jedwabie, uczestniczy jednak w ich wyrobie; nie oświetla swych mieszkań elektrycznością, nie spławia swych towarów kanałami, jednakże skutki wszelkich nowych zdobyczy kultury odczuwa zarówno w sferze materialnego, jak duchowego życia, lubo zazwyczaj pod postacią kolców — nie kwiatu, kóry dostaje się komu innemu. Bądź co bądź — nieruchomość jego oblicza duchowego jest kluczona. W tej masie nizinnej ma miejsce jakaś ewolucja — co wiemy o jej naturze? Czy zebraliśmy już dostateczne dane dla uprzytomnienia sobie czynników, działających tam jako dobro, które grzebią jedne typy, a powołują do życia nowe?

Sądźmy, że droga tej ewolucji nizinnej nie może być inną niż ta, którą już przebył człowiek „z wyżyn“; sądźmy, że to w odcisnięte przez niego ślady nastawia swe niezgrabne, ociężałe nogi opóźniony wędrowiec, ciemny, wlokący się z tyłu za nami prostak — i dlatego, iż tak sądźmy, wszelkie zboczenie jego z tej drogi wydaje się nam karygodnym przejawem zwierzęcości. Bydlę — mówimy — obudziło się w tym niecnocie. — Któż wie jednak — może to właśnie *człowiek* nie chce się w nim upodlić, cofa się instynktownie przed drogą, którą szedł „tamten“, cofa się, bo dostrzega, iż poprzednik ugrzązł w ohydnych mokradłach fałszu, prostaczy zaś umysł, nieumiejąc wytknąć tamtemu jego „zwyrodnienia etycznego“, utożsamia przyczynę złego z kierunkiem drogi przebieżonej przez człowieka z „wyżyn“ i mniema, że była ona złą od początku do końca. Stąd nieufność i wstręt dla nas niewytłumaczony, odpychający nizinne masy od utartego gościńca, wskazujący im dzikie ostępy, skłaniający do przedzierania się przez kolące gąszcz — samym — na oślep.

My, — uchwyciwszy jeden moment z tej ewolucji, której po-

czątku, dróg i celu nie znamy, — widząc człowieka w podartym ubraniu, jak biegnie przez krzaki a unika gościńca, widząc jego płonące, groźne oko, wołamy: „To zdziczałe, szalone zwierzę, schwytać je — ochłostać je“. A on, słysząc te okrzyki, jeszcze bardziej utwierdza się w swym mniemaniu, iż droga, którą wytknęł ścigający go człowiek, była złą, wiodącą do życia bez prawdy — i zapuszcza się w coraz dziksze, straszniejsze ostępy, byle oddalić się od wstrętnego mu gościńca. Dokąd zajdzie?

Otóż mamy otchłań pytań, wątpliwości, męczących zagadek, której, zdawałoby się, iż niepodobna obejść, gdy nastęrczy się nam jakiś niezrozumiały objaw z życia n i z i n. Tymczasem ludzie obchodzą to miejsce najspokojniej w przeświadczeniu, że tak właśnie powinno być, że całym zadaniem prawego i mądrego człowieka wobec niezrozumiałego objawu życia jest koniecznie wyszukać jakiegoś winowajcę i ukarać go możliwie najdotkliwiej. I czego tam, w tej procedurze — która jeśli nie dziecinna, to musi być nazwana nieuczciwą — czego tam niema! Nadzwyczaj mądre paralele między człowiekiem a zwierzęciem (niestety, nie w zastosowaniu do samych siebie); przypominanie sobie, co i od kogo słyszało się o istnieniu typów krwiożerczych; lubowanie się okrągłością frazesu „o lubieżnej żądzy utopienia noża w żywym ciele“; liberalne zwroty, naprzykład — że i my nie bez grzechu, i wśród nas trafiają się wykroczenia przeciw etyce... I ani słowa o tym, że niezrozumiały objaw życia takim pozostanie, dopóki nieznanie będzie podłoże, na którym wzrósł.

Patrzmy na tragiczny antagonizm dwóch ludzi. Jeden przynosi z sobą na świat gotowy, nadzwyczaj starannie i drobiazgowo w ciągu tysiącoleci wypracowany schemat, obejmujący w poszczególnych rubrykach wszystkie pierwiastki duchowe, do rozwinięcia których przykładały się generacje poprzednie, schemat, który stanowiąc sam przez się dowód prawomocności tych pierwiastków, zastrzega prawo dalszego ich rozwoju, a więc od razu usuwa przed człowiekiem „z wyżyn“ mnóstwo trudności i wątpliwości

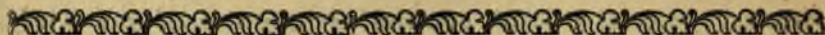
i siłą rozpędu, potężniejszego od pokolenia do pokolenia, pcha go bez wielkich z jego strony wysiłków po drodze dalszej ewolucji. Co zaś jest główną częścią dziedzictwa duchowego, z jakim wyprawiony zostaje w szranki życia człowiek z „nizin“? Pierwiastki zdławione. One to przez całe życie tego człowieka rozsadzają jego duszę, miotają nim, skarżą się i skomlą — jak skarżyły się i skomlały w piersi jego ojca i dziada, tylko z coraz gwałtowniejszym napięciem żalu, tęsknoty i nakazu, by wreszcie wyładowane zostały. I oto spotykają się — ten pełen niesfornych pierwiastków, ów zimny, zrównoważony, ostrożny; spotykają się na arenie życia pokratkowanej drobno, gdzie wszystko jest przewidziane, opisane, każdy czyn — z czego powstaje i jakie rodzi następstwa. Człowiek, posiadający schemat, z zręcznością wyćwiczonego ekwilibrysty, skacze po tych kratkach; tamten co krok potyka się i komuś depcze po palcach.

Czy mogą się oni zrozumieć? Nie przesadzajmy odpowiedzi. Szukajmy jej w życiu. Być może, iż pewne zastanawiające ogół objawy z życia nizin są wyrazem zdecydowanej ich niewiary w możliwość owego zrozumienia się, wyrazem dążeń ku oddzieleniu się rowem, murem, nieprzebytym gąszczem. Jeśli tak jest — jak ma się wobec takich dążeń zachowywać człowiek „z tamtej strony rowu“ — oczywiście — człowiek, któryby nabrał obrzydzenia do fałszu i któregooby bolało to oddalenie się jego braci. Czy przemocą zasypywać te rowy i jak przekupień klienta uparłego, ciągnąć człowieka z „nizin“ za kapotę, przedkładając mu, iż nasza kultura jestto gatunek prima, ponad który nic lepszego być nie może? Czy też raz na zawsze rzec się wszystkiego, co trąci gwałtem i zniewalaniem? Wtedy jednak trzeba zostać sługą nizinnego człowieka, sługą sługi sponiewieranego, iść obok niego przez splecione gąszcza, odgarniać przed nim kołące gałęzie, opatrywać rany nóg i rąk jego i dopiero w chwilach jego odpoczynku, gdy skołatana głowę ułoży na ziemi, gdy zechce was słuchać i poprosi o jakąś opowieść — opowiedzieć mu wtedy,

że nie wszyscy, którzy szli znieawidzonym przezeń wielkim gościńcem, byli kłamcami, nie wszyscy ścigali własny zysk, własne dobro i szczęście, że wielu było czystych, którzy dali świadectwo prawdzie, że nie należy w niwecz obracać krwawych mozołów ludzkości nad wykryciem prawdy, że cokolwiek z niej wykryto — z tego korzystać wolno i trzeba, nie marnując sił na powtarne dochodzenia, które innych wyników dać nie mogą.

Więc jak uczynić? Jaki obrać sposób postępowania? Kwestję tę, musisz, czytelniku, rozstrzygać sam dla siebie; czyn to tak, byś był w zgodzie z twą wiedzą o „człowieku z nizin“, której daj podstawy szerokie, i z twym uczuciem, przed którym zamknij ujścia brudne, nieszlachetne. To będzie dobrym, co postanowisz w dążeniu ku przywróceniu prawdy w życiu społecznym, gdzie bez niej źle i głucho, gdzie ona równie niezbędna, jak w nauce, literaturze i sztuce.

R. 1903.





## „PRZEOCZENIA“.

Nasi i nie nasi apostołowie chłosty, jako środka samoobrony społecznej przed nożowcami, ponieśli, jak wiadomo porażkę. Piękna idea nie święci tryumfu; lubo nastąpiło obostrzenie kar, lecz — niezwiązane z dobroczynnym udziałem batoga, rózek i oprawcy — stanowi ono, niestety, zbyt małą kompensatę istotnego niepowodzenia.

A szkoda. „Szkoda pragnień, co nie mogą wybuchać — szkoda piosnek, których niema kto słuchać — szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie do starcia“... I zwłaszcza — szkoda garnituru. Wszak do schronienia tej niedocenianej już w naszych czasach idei, do zatechłego lamusu, gdzie społeczeństwo usiłuje schować przed okiem nowych czasów i nowych pokoleń stare swe brudy, zbutwiałe gałgany, ohydne pamiątki i wszelką obrzydliwość, której się wstydzi — niepodobna wejść bez zwalania godności ludzkiej, o ile nie zostawi się jej przed wejściem — i, naturalnie, garnituru. Otóż piękny garnitur został szpetnie powalany, co jest wypadkiem tym przykrzejszym, iż koniec końców o szacunku „szerokich kół społeczeństwa“ ku osobom zgłaszającym się w charakterze „podpór“ społecznych, rozstrzyga właśnie garnitur tych osób, tj. cały zewnętrzny aparat pozorów, udających dbałość o dobro „społeczne“. Zręczne udawanie stanowiło po wsze czasy pewną, niewzruszoną, granitową podstawę kolumny, wieńczzonej szacunkiem „szerokich kół“, lecz niezręczne — wszędzie i zawsze jest piedestałem najoczywistszej śmieszności.

Mają tedy na sumieniu w sprawie nożowców popełnioną niezręczność, mają — te filarki nasze, podpory i przewodnicy opinii, a co tę niezręczność uczyniło głośną? Milczenie ją uczyniło głośną. Powiedzcie-no, mniemana osłona tajemnic i sumień niepewnych, jakież ono zdradzieckie i kompromitująco wymowne, zwłaszcza gdy zapada po wylewie gadatliwości. Toczy się dyskusja z powodu nagniotka, czy pryszcza społecznego, jałowa o tyle.

iz w praktyce życiowej na razie nie spotyka się danych o istotnej skuteczności tego lub innego z zalecanych środków. Wreszcie na fali życia podpływa *fakt*, tj. to właśnie, czego brak było spierającym się — rzecz niezbita, stwierdzona, realny punkt wyjścia w ich dociekaniach. Wtedy wszyscy naraz milkną i rozchodzą się, każdy trzyma palec na ustach i szepcze — cyt. Cóż to znaczy — przecie teraz dopiero pozyskano grunt dla rozpraw, grunt mocny, niezapadający się — teraz więc właściwie dopiero powinna się zacząć dyskusja! Ba, kiedy to był tylko rekord wytrzymałości języków i obfitości śliny w uściech — to raz, a powtóre — fakt pozyskany dowiódł zarówno niedorzeczności, jak niesumienności projektowanych środków.’

Rzecznicy samoobrony społecznej, pojętej jako zemsta nad analfabetą za to, iż nie został nauczony czytać — nad ślepym za to, iż nie widzi — nad głodnym za to, iż wychudł — nad człowiekiem, wychowanym wśród przestępców, za to, iż mdli go cnota — skompromitowali się takim właśnie wymownym milczeniem. Dopokąd w braku faktów, popierających to lub inne twierdzenie, można było poprzesztawać na ssaniu każdego z dziesięciu palców swoich po kolei — wszystko było dobrze. Lecz gdy życie w jednym z ognisk swoich skupiło *fakty*, uczyniono wymowny znak: Solidarność milczenia!

Nas ten znak nie obowiązuje. Przeciwnie — mniemamy, iż w sprawach społecznych solidarne przeoczenia i przemilczenia *faktów* są parszywym sposobem tumanienia mas, sposobem, który jest niesłuchanie miły naszym „podporom“ społecznym i w istocie jest godny tych, kto spekuluje na płytkość umysłową „kół szerokich“.

Oto przygarść roztrópnie przeoczonych faktów. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy po szpaltach pism naszych płynęła w sprawie nożowców woda i serwatka, niekiedy z miłem zapachem dziejowego lamusu, odbywała się w Petersburgu wystawa „Świata dziecięcego“. Zdziwiająca wystawa! Zupełne,

ostre i dla wielu bezwątpienia brutalne zaprzeczenie utartych pojęć o wystawach. Ani wspaniałych dzieł sztuki, ani zdumiewających wytworów przemysłu. A jednak ten nowy rodzaj wystaw ma w sobie coś bardzo wspaniałego i zdumiewającego — bo istotny, żywy wiew „nowych czasów“, skromną ale realną zaliczkę wielkiej, następującej na nas przyszłości, obietnicę popartą rękoma, przedświt chwili, kiedy nie dziełom sztuki, ani wytworom przemysłu danym będzie poruszać do głębi dusze ludzi — nie wybranych lecz ludzi z tych biednych „szerokich kół“, nad którymi dziś tak niepodzielnie, zda się, panuje spekulacyjna ohyda rozmaitych przewodników opinii i jej filarków!

Jakkolwiek w skromnym zakresie zorganizowana wystawa ta uczyniła tyle, iż w paru miejscach głęboko rozdarła mroki i opony okrywające prawdę, ukazała coś nie coś z wielkiej i ciężko obarczającej sumienie publiczne niedoli dziecięcej, zawadziła o sprawy dużej społecznej i etycznej wagi. Taki — sądzę — był jej cel: budzić świadomość — obudzoną zniewolić, by pogłębiła się i doszła do zupełnego ogarnięcia prawdy. Pomędzy innemi był na tej wystawie kącik, stanowiący niezmiernie ciekawy *pendant* do wspomnianej dyskusji o nożowcach, żywą ilustrację tego, z jakich elementów powstaje i jak urabia się w życiu ów smutny typ i — co zwłaszcza mogło zainteresować naszych rzeczników samoobrony społecznej — żywą ilustrację, jak można i należy zapobiec „nożownictwu“.

Wystawcą w tym kąciku była instytucja „Pierwszy noclegowy dom pracy dla bezdomnych dzieci i wyrostków płci męskiej w Petersburgu, oraz biuro wyszukiwania dla nich pracy rzemieślniczej“. Na kilku stolikach porozkładano niepokaźne przedmioty, chętnie jednak przez zwiedzających nabywane, jakoto — obuwie, książki oprawne, szczotki i t. d. Trzech chłopców w jednakowych ciemnych bluzach zawijało sprzedane rzeczy. Dwie skromnie ubrane panie udzielały objaśnień, zresztą bardzo krótkich — oto, iż towar, który publiczność nabywa, wyrobiony został rękami

niedoszłych nożowców. Kto chciał, mógł tu otrzymać książeczkę zawierającą sprawozdanie z działalności instytucji, biografje wychowawców, zdjęcia fotograficzne z wnętrzy sal podczas zajęć u warsztatów, wnętrza sypialni, gdzie łóżka zastąpione zostały oryginalnie pomyslanemi, rozkładanemi „narami“ itp.

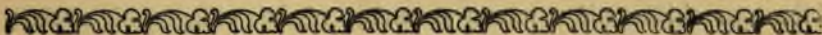
Biografie tych dzieci — oto, co tam było najbardziej godnego uwagi i zastanowienia. Przytaczam jedną z nich, nie najwymowniejszą. Dymitr R. zgłosił się do przytułku sam. Było wtedy 20° mrozu, dzieciak obdarty i bosy. Postarano się o dokładne o nim wiadomości, z których wynika, iż matka jego, pijaczka i żebraczka, wynajmowała go staremu ślepcowi za 2 rs. dziennie; po dniu skończonym wszystko troje — matka, ślepiec i jego mały przewodnik — upijali się. Dzieciak był już skończonym alkoholikiem i ćmił machorkę, jak stary wiarus. W pierwszych czasach po przyjęciu go do przytułku okazał się nieznośnym, kłął, miotał się, żądając wódki i tytoniu, zgoła nic nie chciał robić a upomnienia były grochem na ścianę. Należało odosobnić od innych dzieci to dzikie i drapieżne zwierzątko, wzięła go więc do swego mieszkania jedna z założycielek Towarzystwa, pani Ejsmont. Łagodna pieśczoła, cierpliwość i spokój wobec dzikich jego miotań się, macierzyńska, niczym niedająca się zrazić troskliwość dokonały swego, poskromiły małe zwierzę. Przyczyniła się ku temu wypadkowa okoliczność — choroba pani Ejsmont. Zachorowawszy, wezwała do siebie malca i powiedziała mu, że to właśnie zmartwienia i przykrości, jakie z jego powodu ponieść musiała, staną się zapewne przyczyną jej śmierci. Chłopak rozplakał się, obiecał poprawę i całą noc nie odchodził od łóżka chorej. Od tego czasu upłynął rok, Dymitr jest obecnie jednym z najlepszych w gromadce wychowawców.

Są tam biografje daleko straszniejsze, Wszystkie one świadczą o bezmiernej nędzy, wśród której znaleziono te dzieci, o okropnościach „dna“ życia, z którego zostały podjęte. Bezwstyd, rozpusta, pijaństwo, ohyda naga — to wszystko od najmłodszych

lat widziały oczy niewinnych istot. Niechby który z tych malców i wyrostków, nie dostawszy się do przytułku pani Ejsmont, powąłęsał się jeszcze parę lat, czyby już wtedy nie było noża za jego pazuchą? Czy nie zwiększyłyby się kadry ludzi, będących postrachem przedmieść i zaułków, czy Pogotowie nie pozyskałoby paru więcej pacjentów, opatrywanych z przyczyny „ran kłótych, ciętych i tłuczonych?” A cóż ich ocaliło? Łagodność, cierpliwość, dobre słowo, pieśczoły — których nigdy nie zaznała ta nieszczęśliwa dziatwa — i stopniowe przyzwyczajanie do pracy.

Zaiste — żywy to, błogosławiony wiew „nowych“ czasów, których pierwszym słowem jest nagrodzenie krzywd, wyrządzonych przez samo społeczeństwo. I czasy te zamkną raz na zawsze do cuchnącego lamusa rzeczników samoobrony społecznej wraz z ich kańczugami i różgami. A „szerokie koła“ nie zapłaczą za nimi — bo przejrzą...

R. 1904.



## JUBILEUSZ MARZENIA.

Trzysta lat upłynęło od chwili, kiedy w otwartą naościęz furte do galerji typów ogólnoludzkich weszła, wprowadzona przez poetę i myśliciela hiszpańskiego, postać budząca zdumienie, najdziwniejsza z tych, które tam już były zgromadzone, najdziwniejsza, jaką kiedykolwiek miano tam oglądać. W ciągu tych trzech wieków, przy cichym szeleście odwracanych kart historii myśli, wchodziły różnemi furtami coraz nowe postaci i zebrał się pod wiecznotrwałemi stropami — cudnym dziełem geniusza literatury — cały tłum nieśmiertelnych. Lecz i w tłumie całym nie zaginał, nie zatarł się — przeciwnie, zawsze na przedzie stoi, zawsze pcha się do pierwszego szeregu trzystuletni szlachetka z Manszy, który dotąd jeszcze nie zrzucił z siebie szczątków swej zardzewiałej, rycerskiej zbroicy. Cienki i wysmukły, jak tyczka, już zdaleka zwraca on ku wam twarz zawiędlą i chudą, z gorejącemi oczami o rozszerzonych, błędnie zapatrzonych źrenicach — patrzy się i nie widzi was, lub widzi może w jakiejś urojonej postaci, bo i dziś, jak przed laty, rzeczywistość przesłaniają mu chaotycznie skłębione mgły jego marzenia.

Dziw — mówi sobie widz zadumany, objęty uroczystą powagą tej galerji, pełnej szelestu niewiedzących liści myśli i uczuć wszechludzkich — dziw, mówi, że wieki — wieków trzy — nie utkało temu szlachetce całuna grobowego, ani pyłem strupienia go nie przysypało. Żywy jest. Zdaje się, że to wczoraj było — przed świtem, dosiadł on swego ostrokościstego rumaka i niepostrzeżenie wymknął się w pole. Szkapą rżała, nabierając w nozdrza aromat poranku i rosą orzeźwionej łąki, a szlachetka drżał, jak dziecko, z radości, iż uchodzi przed prozą życia, przed sytą, zaspaną prozą, łążącą po domu w nocnym czepku i zapomniałym kaftanie, przed prozą, która mu przekładała: „Zostań w domu! Po co wałęsać się po świecie — nigdzie nie znajdziesz bielszego chleba niż z naszej pszenicy, nigdzie ci lepiej nie uścielą

łóżka! Ale i za furką, w cichym poranku i nad „cichymi polami Montielu“ rozpostarta jest szara powszedniość, nieznużenie, co dnia, powtarzająca te same dźwięki i zawieszająca przed oczami te same obrazy. Furczą, jak co dnia, skrzydła wiatraków; słychać nawoływania pasterzy i beczenie owiec; do gospód zachodzą na popas zwykli ich goście, mulnicy; drogą jedzie balwierz „obsługujący dwie wioski“; przeciąga gromadka kupców; truchcikiem, na mułach podąża dwóch mnichów, osłaniających się parasolami. To znów spotyka się kondukt, mający przystojnie pogrzebać kogoś z parafjan; policjanci prowadzą okutych złoczyńców, którzy „będą służyli królowi hiszpańskiemu na galerach“; od wioski nadciąga procesja, obchodząca pola z modłami o deszcz — i tak, bez końca — co było wczoraj i co będzie jutro. Z niewidzialnej siewczarni sypie się równo pocięta sieczka — powszedniość. Jedźcie ją i potem układźcie się, jak muły, a zwolna jasnym się dla was stanie, że w gruncie rzeczy tylko o tyle miejsca dla siebie na świecie ubiegać się warto, ile trzeba, by z jednego boku przewrócić się na drugi.

„Śpij ty, jeśliś się urodził do spania“ — szydzi Don Kichot z swego giermka, sam zaś — czuwa i od nasennego działania codziennej dawki powszedniości broni się marzeniem. — Skłębiają się nad nim chmury; zawleczony niemi widnokrąg staje się terenem nadzwyczajności; przestwór rozbrzmiewa dziwnymi głosy. Oto po chmurze, jak po urwisku przepaści, stacza się ucięta głowa wielkoluda; powiewny obłok przyjmuje kształt smukłej kobiecej postaci; gdzieś rzeży pokonany ciemiezca, skądciś płyną słodkie podziękowania wybawionej księżniczki. Szlachetka dygocze z wzruszenia — gdybyż to on był jej wybawicielem! Ucichło — on wciąż słucha i znów zadygotał... W jakimś zaułku życia znów coś skomli, coś płacze... To ważna chwila, to chwila, co rozstrzygnie, czy szlachetka z Manszy stanie się nieśmiertelnym i wszechludzkim. Don Kichocie, czyś ty czuł tylko na spazmy księżniczek, gdy te są cudniejsze, niż zorze, i gdy chadzają w aksa-

micie, obsypane perłami? Don Kichocie — czy słyszysz — to już nie urojenie — teraz skomli nędzny chłopczyzna, nielitościwie smagany surowcem, a teraz stęknęła jeszcze nędzniejsza istota, zło-  
czyńca, któremu ciężko jest iść królowi hiszpańskiemu służyć na galerach? Pobiegł, pobiegł szlachetka, wymachując swą wielką spisą... A potem, gdy na niego sarkano, gdy mu wyrzucano, że zwolnił łotrów, którzy teraz łupią podróźnych:

„Widziałem“ — wykrzyknął wielkim głosem — „widziałem ich, gdy szli nawleczeni na łańcuch, jak ziarna różańca“...

Na przestrzeni trzech stuleci — wymieńcie, z czyich że ust wyrwał się krzyk, któryby na większej, niż ta, głębinie duszy ludzkiej był zrodzony? — „Niech sami czynią pokutę“... Zaprawdę, te słowa wyprzedziły swój czas nie tylko o te minione trzy wieki, lecz i o całą, jeszcze wymierzyć się niedającą przyszłość...

Umiał marzyć Don Kichot. Jak dziecko, złaknione nadzwyczajności, umiał marzyć — jak każdy poeta. Snuł sobie i rozpowiadał czarodziejskie, roziskrzone, złociste bajki. Oto marzy mu się jezioro wśród skalnych urwisk, pełne węzów, żmij, jaszczurek padalców. Z głębi wód zaklętych słyszać ciche wołania. Rycerz skacze w odmęty, przebywa je i staje na precudnej łące, umajonej kwiatami... I tak dalej, i tak dalej snuje się błyszcząca nić. — Jednym z najpiękniejszych jest jego marzenie „o złotym wieku“. Noc zapadła; otoczony gronem prostaczych postaci, zasmolonych pastuszków, przy blasku roznieconego ogniska, Don Kichot, po wieczerzy, z garścią orzechów w ręku wystawia ten wiek szczęśliwy, „kiedy nie znano dwóch złowrogich wyrazów *moje* i *twoje*, które teraz świat cały rozdarły“. Marzy o zdrojach czystych i rzekach rwących, o zasobach słodczy, które pszczoła „bez żadnej opłaty“ oddaje każdemu; marzy o tchnieniu pokoju, przyjaźni i zgody; o tem „że ostry lemiesz nie śmiał jeszcze drzeć świętych wnętrzości matki naszej, ziemi, bo ona sama z siebie hojne na całym swym ogromnym łonie wydawała plony“; marzy o otwartości „dusz prostych i zacnych“, o dziewczętach,



„którym towarzyszyła niewinność, bezpiecznych od swojej i cudzych chuci“...

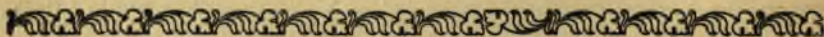
Ojczyzna Cervantesa, a z nią cała ludzkość obchodzi niezwykle jubileusz — marzenia. Świętym jest prawo człowieka do marzeń. Człowiek wymarzył religię, poezję i sztukę; tworzył światy w swym nigdy skończyć się niemającym i nieraz tragicznym wysiłku, by rozepchnąć ciasne granice powszedniego bytu. — Ale są marzenia, które kołyszą do snu, i są inne, od których człowiek porywa się na nogi. Są marzyciele, którzy w niemej kontemplacji cierpień ludzkich płaczą, i są drudzy, wartownicy i w potrzebie — mściciele, którymi każdy krzyk rozpaczcy wstrząsa do głębi i zniewala biegnąć na ratunek. Gdyby Don Kichot należał do pierwszego z tych rodzajów, dawno, w całun spowinięty, prochem by się rozsypał.

Nie mamy prawa wyrzucać mu bezpłodności marzeń. Przeciwnie — one były i są płodnymi. Cóż, jak nie marzenie i rwące się śladem jego zapalne, huraganowe uczucie, ocaliło go przed popoliłą kłeską, przed wpływami powszedniości, która pustoszy dusze ludzkie stałym usiłowaniem, by oswoić nas i pogodzić z tym, co ona w sobie mieści! Dźwięk, powtarzający się co dnia, łącno staje się czymś uprawnionym; obrazy, oglądane z dnia na dzień, wydają się nam naturalnymi i zyskują sobie prawo bytu. I niech do monotonnej pieśni powszedniości wplącze się, naprzykład — jęk a niech powtórzy się co dnia — zaniechamy nawet pytania, kto cierpi, po co cierpi i czy nie mógłby ująć cierpieniu. Niech tam wplącze się słaba nutka radosna i stale, w jednej sile, się powtarza — ani zapytamy, czy z piersi, skąd ona pochodzi, nie dałoby się wydobyć tonu wyższego, czystszeo i pełniejszego.

Dobry rycerzu z Manszy, za to, żeś nie chciał się dać uspić powszedniości, lecz i z marzeń swoich równie nie uczyniłeś sobie kołyski do snu; za to, żeś, rojąc o uciśnionej księżniczce, nie zatykał uszu na jęki prawdziwe i cierpienia, którymi wezbrała od brzega do brzega rzeczywistość; żeś pobiegł ku chłopczyni i tym

„co jak ziarna różańca“...; za to, żeś czuwał; żeś był huraganem czynu, zrywającym się, jak czujna straż, przy pierwszym zawołaniu o pomoc — za to przetrwasz, przetrwasz... I stanie się, że z twej starej zbroicy ludzkość odmucha pyły i żdźbła śmieszności, i na twe wychudłe ramiona zarzuci ci purpurę, o której roiłeś, jako o nagrodzie za ocaloną królową. Twoją ocaloną królową, słodką, białolicą, najpiękniejszą — jest Marzenie, to, które podejmuje człowieka na nogi i budzi żądzę czynu.

R. 1905.



## ŚRÓD PRZYCZYN I SKUTKÓW.

Prasa nasza, w stosunku do przedpłacicieli pism i czytelników, odznacza się nadzwyczajną delikatnością — to mało — odznacza się macierzyńską czułością, jest pełna tkliwej i nieustannej troski o tę rzeszę pocziwców, regularnie opłacających prenumeratę i dobrodusznie wdzięcznych za podaną im strawę. Nie wybiedzają — to ważne; płacą — to jeszcze ważniejsze. Jak ich nie kochać, tych zacnych; jak nie dbać o ich pomyślność, dobre trawienie i sen spokojny a głęboki! Raczej murem lec pomiędzy rzeczywistością i zaciszem, w którym upływa pogodny żywot Kleofasa i Agaty; raczej — stać się okiennicą, dyskretnie osłaniającą wewnątrz ich alkowy! Pomyślmy. Kleofas jest człowiekiem Bogu ducha winnym; oto — po dniu pracowitym spożył posilną, lecz umiarkowaną kolację, odczytał swój dziennik i, składając go, rzekł do żony: „A nie zapomnij, Agato, zanieść jutro prenumeratę za kwartał następujący“; a potem, na piernacie, pierzynką okryty, zasypia próżen trosk i myśli. Niewinny człowiek i sny jego niewinne! — Nie wszyscy są tacy. Jest pełno ludzi skłonnych hałasować po nocy; ale — nic to. „My“ staniemy u wezgłowia Kleofasa, u drzwi jego sypialni, na straży okiennic. I niech sprawiedliwy człowiek nie powita dnia z bólem głowy i oczyma zaczerwienionemi od bezsenności! Niech Agata wstanie zdrowa i rzeźka — i niech gładko uściele się przed nią droga, ta droga, którą polecił jej odbyć jej mąż, Kleofas.

No, czasem, są zdarzenia, że trzeba na alarm uderzyć — wszak i nad Kleofasem dach się zapalić może. Ale i wtedy prasa zachowuje tyle jeszcze dyskrekcji że nie krzyknie: Gore! — dopóki sam Kleofas się nie obudzi. Dopiero gdy obudzi się, poczuwszy swąd w pokoju, i zawoła: Olaboga! — prasa ostrożnie uchyla drzwi do jego sypialni i jak najciszej, miodowym głosem — bo i po co przerażać dobrego człowieka — potwierdza jego obawy. „Jest śwędzik, panie Kleofasie, jest śwędzik“... No i zaraz nastę-

pują solenne upewnienia. Popsuło się coś w państwie duńskim, ale to się wszystko naprawi — wszystko — niebawem — dziś, jutro...

Mniej więcej przed rokiem nasz Kleofas począł utyskiwać, że wieczorem strach jest wyjść na ulicę. Nożowiec — tu, nożowiec — tam. „Powiedzcież do djaska, którądy ja mam chodzić, ja, spokojny człowiek“? W prasie zawrzało. Jaktó, Kleofas jest tak dalece uciemieniony! No, i zaraz nastąpiły solenne upewnienia. Popsuło się coś w państwie Duńczyków, ale my, panie tego, — zaraz — plagi, bizuny, wszystko będzie dobrze. — Rok upłynął a Kleofas nie odzyskuje dobrego humoru i obawia się wieczorami wychodzić na winta, trapi się i skłonny jest oskarżać prasę, że źle strzeże jego interesów. I kto wie — czy teraz właśnie nie następuje dla Kleofasa ważna chwila zupełnego ocknięcia się i wyzwolenia z pod wpływów, trzymających go w odrętwiąłej bezmyślności, z pod wpływów jego szlafmicy, jego szlafroka a przede wszystkim — jego dziennika. Podobno Kleofas waha się z odnowieniem prenumeraty. I gdyby mu dać pewnego przewodnika, może zdecydowałby się nareszcie wyjść na swe podwórze i dalej — na ulicę — by przekonać się własnymi oczyma, co się psuje i dłaczego.

Ot, na początek, niechby Kleofasowi, dla rozejrzenia się pośród przyczyn i skutków, posłużyła książeczka p. Adolfa Suligowskiego: „Warszawa i jej szkolnictwo początkowe“<sup>1)</sup>. Ciekawarzecz, przejmująca rzecz. — Miasto wzrasta, przybywają nowe ulice, nowe dzielnice, przybywają nowe wspaniałe gmachy prywatne i publiczne, Filharmonja, Pałac sztuki, teatry ludowe — i jednocześnie statystyk zaznacza, że w r. 1828 (raport Rady Stanu) Warszawa przy ludności 136.554 liczyła uczących się w szkołkach początkowych (cyркуłowich, prywatnych, rzemieślniczo-niedzielnych, żydowskich) ogółem 2833 co stanowi 2<sup>o</sup>/<sub>o</sub> z górą (2,007<sup>o</sup>/<sub>o</sub>);

<sup>1)</sup> 1905 Warszawa. Odbitka z miesięcznika „Ognisko“.

zaś na początku 1904 r., przy ludności 771382, uczących się w takich szkółkach było około 11450, co stanowi 1,5<sup>o</sup><sub>o</sub>. Trzeba przetrzeć oczy, odczytać to dwa razy i zrozumieć, że żadna omyłka nie zaszła. Tak, — 1,5<sup>o</sup><sub>o</sub>. Tak, kochany Kleofasie — oto widzisz: ludność wzrasta; jej potrzeby kulturalne najwidoczniej wzrastają również, skoro dla zaspokojenia ich zjawiła się Filharmonja, Pałac Sztuki, teatry ludowe, Towarzystwo Cedergrena, bruk ulepszony itd., i jednocześnie *wzrasta* odsetek ludności, dla której jest *niedostępna* nawet początkowa nauka! Zmniejszenie się odsetka uczących się w szkołach elementarnych z 2,007<sup>o</sup><sub>o</sub> do 1,5<sup>o</sup><sub>o</sub> dowodzi, że wzrósł procentowo analfabetyzm. Bezprzykładny to objaw w krajach kulturalnych, objaw, który całe społeczeństwo stawia w stan oskarżenia! Słyszymy narzekania, że ludzie, miłujący ład i porządek, otoczeni się czują w dzisiejszych czasach olbrzymim zastępem dziczy, hordą ciemną, występłą, napastniczą, urągającą ładowi i porządkowi, wyraźnie antyspołeczną; że nożowiec — tu, nożowiec — tam... I oto okazuje się, że skargi te odbijają się, jak od granitowej ściany, od tych kilku ponurych cyfr i spadają na głowy wyrzekających. Dopuszciliśmy, że w mieście naszym jest blisko 400000 analfabetów! Jedna tylko Łódź w tym bezwstydnym cofaniu się ku bagnom i topieli ciemnoty — ubiegła Warszawę.

Naturalnie, że zestawienie tak wymownym się okazujące — roku 1904 z rokiem 1828, owych 1,5<sup>o</sup><sub>o</sub> charakteryzujących *dzisiaj* — z 2,007<sup>o</sup><sub>o</sub>, któremi mogły się pochłubić czasy z przed lat siedemdziesięciu kilku, domaga się historycznego oświelenia sprawy szkolnictwa początkowego, a następnie — ujawnienia wszystkiego, co w chwili obecnej nadaje tej sprawie taki a nie inny bieg. — P. Suligowski daje nam jedno i drugie — historyczny rodowód swych cyfr, z okazaniem czynników, które na drodze oświaty stwardniały dzisiaj w grudę, wstrzymującą jej pochód. Względnie pomyślna cyfra 2<sup>o</sup><sub>o</sub> z górą uczących się w szkołach elementarnych w Warszawie zanotowana została wtedy, kiedy nie ostygł

jeszcze w wpływach społecznych na szkolnictwo początkowe ślad epoki, zapoczątkowanej przez Komisję Edukacyjną, która w 1783 r. wydała specjalne ustawy dla szkół, zalecając rozwijanie szkółek elementarnych, wtedy zwanych parafjalnemi. I późniejsza Izba Edukacyjna (1807—1812) upamiętniła swą działalność w rozporządzeniu z r. 1808, aby żadne miasteczko, ani wieś nie pozostawały bez początkowej szkoły. Mieszkańcy miasta stanowili t. zw. towarzystwo szkolne, które dla opieki nad szkołami początkowemi wybierało dozór szkolny, wszyscy zaś mieszkańcy obowiązani byli składkami przyczyniać się do kosztów utrzymania szkół. W Warszawie starania o szkoły miejskie przyjęła na siebie Rada Muncypalna. Dozory szkolne, uchylone w r. 1834, zastąpione zostały opieką proboszczów, wikarych i wogóle osób duchownych. Odtąd udział społeczeństwa w sprawie szkolnictwa początkowego, ulegając stopniowemu ograniczeniu, doszedł powoli do zaniku, żywy zaś pęd, nadany tej sprawie podczas istnienia Rady Muncypalnej, zamarł.

Przywrócone w r. 1862 dozory szkolne, złożone z duchownego, dwu obywateli i dwu profesorów, lub nauczycieli, zniesiono po paru latach; jednocześnie, prawem z roku 1864 szkoły początkowe oddane zostały pod zawiadywanie dyrekcji naukowych, którym w sprawach szkolnictwa pozostawiono możność porozumiewania się z mieszkańcami. Brak jednak rady miejskiej i jakiegokolwiek przedstawicielstwa z strony obywateli miejscowych sprawił, że naczelnicy dyrekcji naukowych — pisze pan Suligowski — jak gdzieindziej, tak i w Warszawie, a następnie inspektorowie szkół w Warszawie (którzy weszli w prawa naczelników dyrekcji naukowych, o ile dotyczyło miasta), zaniechali jakiegokolwiek odwoływania się do mieszkańców miasta w sprawie szkół początkowych, które też odtąd poza obrębem jakiegokolwiek udziału z strony obywateli pozostały. Potem nastąpiły zmiany w programie, zaprowadzenie języka urzędowego, zastąpienie opłat, pobieranych bezpośrednio na cele szkolne — poborami odmiennej natury itd.

Obecnie na szkoły elementarne w Warszawie wykłada Magistrat, ale szkolnictwo początkowe nie stanowi dlań głównej troski, ani głównego zadania. „Jako najniższe ogniwo w łańcuchu administracji państwowej zajmuje się on pod kierunkiem i kontrolą władz przełożonych porządkami wewnętrznymi w mieście; gdy jednak idzie o taką potrzebę, jak dostarczenie szkół elementarnych, nie ma do tego prawnego mandatu i nie posiada w swoim łonie sił odpowiednich do spełnienia podobnego zadania“. Było zdarzenie w ostatnich latach, że gdy inspektor szkół warszawskich umotywował konieczność stopniowego, w ciągu lat dziesięciu, otwarcia co najmniej 805 nowych szkół, Magistrat w odpowiedzi zawiadomił inspektora, że zamierza właśnie otworzyć szkół 14! Przy istniejącej organizacji — pisze na innym miejscu p. S. — zarządy miejskie, zwane magistratami, słusznie mają prawo uważać sprawę szkolnictwa za obcą sobie, a wydatki na nią za ciężar, którego wszelkimi siłami unikać należy, aby nie utrudnić sobie budżetu i zaspokojenia tych potrzeb miasta, za które na nich ciąży odpowiedzialność bezpośrednia. I miasto na kulturę mas wykłada śmiesznie mało! Oto ciekawe zestawienie cyfr tych wykładów w Warszawie i kilku innych miastach. W r. 1897 — Petersburg na zakłady naukowe, w stosunku do ogółu ludności miasta, wydał 70 kop. na głowę, Moskwa — 70, Ryga — 75, Odesa 85, a Warszawa wyraźnie 24 kop., gdy w Paryżu — 8 rb. 50 kop. na głowę, w Brukseli — 6 rb. 30 kop., w Kopenhadze — 7 rb. 92. kop. Wprawdzie cyfra owych nieszczęsnych kopiejek nawet i w Warszawie powiększa się co roku, tak iż w r. 1902 wydano już 45 kop. na głowę, ale to powiększanie wydatków na cele oświaty początkowej postępuje bynajmniej nie w takim stosunku, jak w miastach Cesarstwa.

W książeczce p. Suligowskiego znajdujemy jeszcze wiele innych cyfr w znamienym zestawieniu. Z chęcią wyjąlibyśmy je wszystkie; nie czynimy tego, by w następstwie naszego streszczenia ktoś się nie uchylił od przeczytania samej książeczki, którą przeczytać powinniśmy wszyscy. Tylko jedną jeszcze cyfrę przytoczymy. Po

dokonaniu wszelkich możliwych redukcji, po potrąceniu liczby dzieci uczęszczających do szkół elementarnych, chederów, szkół religijnych i niedzielnych, dzieci pobierających nikłe początki w zakładach W. T. D. (szwalniach, salach zajęć i in.), dzieci, które prywatnie, u ludzi dobrej woli nauczą się bodaj czytać tylko i pisać — pozostaje jeszcze około 40.000 tych dzieci, dla których niedostępne są progi nawet początkowej szkoły, tych dzieci które nie mają możliwości nauczania się niczego — zgoła niczego! Słyszysz, Kleofasie — 40.000! Czy ty możesz wyobrazić sobie, Kleofasie, coś równie strasznego, jak widok tego zastępu maleństw, gdy stają one bezradnie u zamkniętych drzwi szkółki, gdy odchodzą od tych drzwi, gdy poczynają się błąkać po ulicach miasta i gdy wpadają wreszcie w tę czarną, bagnistą topiel, gdzie przepada dusza człowieka i budzi się dusza nożowca!...

R. 1905.





## MYŚLI PYTAJĄCE.

Biedne myśli zabłąkane, myśli pytające...

Pokazywano mi kiedyś wyłowioną z różnych pism kolekcję „Odpowiedzi od redakcji“, udzielonych niepowożanym poetom, nowelistom, autorom artykułów i td. Najłagodniejsze z tych odpraw były tej treści: „Pani XX. Bredni pani nie rozumiemy zupełnie“. „Panu XX. Taka poezja nazywa się papuzią“. „P. YY. Coprędeż — do kosza“. Człowiek — nie mówię kulturalny, lecz chociaż opokostowany kulturą — tak odpowiada tylko w rozdrażnieniu. Tu, w tych odpowiedziach, widać rozdrażnienie silne; zdaje się, iż gdyby jeszcze o włos przeciągnąć strunę, że gdyby na stół referenta w chwili, gdy ledwie uporał się z czyjemiś „bredniami“, rzucono jeszcze z dziesiątek rękopisów, odpowiedź dla pani XX. wypadłaby zapewne tak: „Stara warjato, umilknij-że raz!“, zaś pan XX ze smutkiem wyczytałby radę dla siebie: „Pożyj nieuku, swój rękopis, lecz nie zapomnij posypać go arszenikiem“. — Obok szorstkich i opryskliwych, w owej kolekcji mieszczą się również odpowiedzi dowcipne, niektóre są bardzo sarkastyczne, niektóre bardzo zjadliwe, niektóre — kreślone z widocznym celem, by ogół czytelników pisma mógł zabawić się kosztem nieudolnego poety, pana XX, lub, by uśmieł się z halucynacji pani ZZ. Lecz spólną cechą zebranych tu odpowiedzi jest to, że kreślono je w jakimś rozdrażnieniu, w chwili, kiedy spokój myśli uleciał gdzieś bardzo daleko.

Czego zaś w tej kolekcji zniecierpliwionych odpowiedzi nie widać ani śladu, to — poczucia, iż myśli zabłąkanej należy wskazać drogę, myśli pytającej — odpowiedź. Należy się — bo wyzwoloną ma być myśl nie tylko z uwięzi kostnego czerepu, pod którym się zrodziła, lecz i z uwięzi mroków, błąkań się, wahań, pytań i wątpliwości, które są jej męczarnią. Uznając to — uznajemy zarazem, że gdziekolwiek, w jakimkolwiek miejscu i chwili napotkamy te udęczone myśli, — nie odwrócimy się, nie opuścimy oczu udając, że nie widzimy, a tym mniej nie zamierzemy się na nie kijem złości lub zniecierpliwienia. Jeśli znamy drogę,

której szukają — jeśli mamy dla nich odpowiedź, damy ją. Jeśli nie znamy — powiemy: „Oto ja sam błądzę i drogi nie znam — chodź, poszukamy jej wspólnie“. Ale — chociażby natrętne były — odpędzić je... Nigdy!

Taki jest nakaz prostego, ludzkiego poczucia, które nie wątpliwie, tkwi w każdym, jak w każdym tkwi potrzeba wyzwolenia myśli. Lecz społeczne życie olbrzymich mas ludzkich jest jeszcze podobne do potoków, które nawałnica spędziła z gór. Z różnych stron, różnemi ujściami, zlewają się one do przepastnej kotliny, gdzie wszystko wre, huczy, wiruje. Kiedyś niewątpliwie cała ta masa wód spłynęła łożyskiem jakiejś wielkiej rzeki ku morzom bezbrzeżnym i wspaniałym, które wygładzą się, gdy wichry nad nimi ucichną. Dziś jednak, w huczących wodospadach życia, co chwila są druzgotane, rozpylane i przepadają najbardziej ludzkie poczucia, giną niezaspokojone najsłuszniejsze potrzeby.

Zaczerpnąłem z skotłowanych wód tylko jedną, małą kropelkę, a i w niej odbijają się potworne splątania spóczesności. Bo i jak bolesne rzeczy dławią się wzajem w tej sprawie „zniecierpliwionych odpowiedzi“! — Ani podobna przypuścić, by ludziom, którzy je kreślą, brak było owego prostego ludzkiego poczucia, na jakim musi być oparty stosunek do myśli zbłąkanych. W tych samych pismach, skąd zaczerpnięto wspomnianą kolekcję „zniecierpliwionych odpowiedzi“, spotykają się pisane zupełnie spokojnie, z chęcią, w miarę możliwości, przyjscia z pomocą powikłanym myślom pani NN., czy pana MM. I jeśli zestawić owe spokojne odpowiedzi z zniecierpliwionemi i jeśli trochę nad nimi podumać — to widzi się taki obraz:

Referent zasiada u stolika, na którym złożono stos rękopisów. Polecono mu: „Jedne kładź na prawo, drugie zaś na lewo“. Polecenie wyszło z zarządu przedsiębiorstwa, które z jednej strony zajmuje się pobieraniem prenumeraty, z drugiej — ogłaszaniem w druku rozmaitych utworów literackich. Z punktu widzenia interesów przedsiębiorstwa niezachodzi potrzeba wydawania referen-

towi rozleglejszych poleceń. Nic nad to, że — jedne kładź na prawo, tylko uważaj, by to były rzeczy odpowiednie dla naszych czytelników, drugie na lewo, z adnotacją: *Nie*, czy *Nie zamieścimy*, czy *Do kosza*.

Referent zatopił się w czytaniu. Pierwszy z brzega utwór napisany był bardzo nieortograficznie; dziw, iż biały papier nie poczerwieniał z zawstydzenia. Treść — pensjonarka roi o sercu „Które trzepoce się *tak* — Jak zależniony *ptak*...“, czyli o sercu młodzieńca, chadzającego w opiętym mundurku. Drugi utwór prozą, pisany niewprawnym charakterem, zawierał prostą i łatwą teorię uszczęśliwienia wszystkich ludzi. — Referent czytał i ani myślał się gniewać, przeciwnie — uśmiechał się łagodnie. Czyż to nie wracają doń zaginione echa jego własnej, przebrzmiałej piosnki? A czyż to nie ma on syna i córki, z których nie zesła jeszcze różowość poranku życia? — Bierze pióro i odpisuje pensjonarce kilka życzliwych, dobrych słów. Potym odpowiada młodzieńcowi: „Z czasem przekonasz się pan o trudnościach w urzeczywistnieniu swych pięknych zamiarów. Ale nie zrażaj się tym, nie opuść wtedy rąk, nie wypędzaj z serca tych uczuć, które grzeją je teraz, bo to dobre uczucia i one nie pozwolą ci przejść przez życie bez dobrego czynu“. — Trzeci utwór wydał się referentowi niezmiernie zagmatwanym; ani rusz zrozumieć, o co idzie autorowi tej „Fantazji“. Widać tylko, że w jakiejś zacieśnionej przestrzeni, jakby w izbie bez drzwi i okien, tłoczą się myśli i obrazy, wśród których umysł tego człowieka się wikła, szuka czegoś, dręczony pytaniem, którego nawet jasno sformułować nie potrafi. Naraz referent wykrzyknął z radością: „Już wiem!“ Skreślił odpowiedź, poczym zatarł ręce z zadowoleniem: „No, już się nie będzie płatał. Wyrąbałem okienko do jego ciemnicy“.

W tej chwili wszedł przed siebie i o rca. „A to czyste kpiny — zawołał — w ciągu dwu godzin uporałeś się pan ledwie z trzema drobiazgami. Przez ten czas możnaby pięćdziesiąt z tych banialuk odczytać i mieć już pełny kosz“. Spojrzawszy zaś na od-

powiedzi: „Kapitalne — wykrzyknął — czemu jeszcze dłuższych nie pisać! Czy pan sądzi, że pół numeru poświęcimy Odpowiedziom, że obetnę Politykę albo Opis konfekcji wiosennych, byleś pan mógł gawędzić z pensjonarkami!” — Referent popatrzył na niego złym okiem. Nie poczuwał się do żadnej winy; to, co robił i to — jak robił — było wynikiem prostego ludzkiego poczucia, które mówi: „...gdziekolwiek, w jakimkolwiek miejscu i chwili napotkasz myśl zabłąkaną...”

Przedsiębiorca dostrzegłszy złość w oku referenta, natychmiast się umitygował. Przedsiębiorcy umieją się szybko mitygować. I uderzył w strunę perswazji. Przedsiębiorcy są mistrzami, gdy potrzeba coś komuś wyperswadować...

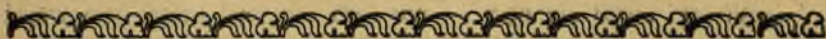
„Kochany panie — począł ciepłym, ojcowskim tonem — pojmuję, iż wrzusza pana sprawa zabłąkanych myśli, bo i czyjeż tkliwe serce, panie tego, nie odczuwa... Ale czyż można się łudzić, by tu, w redakcyjnym lokalu, dała się choćby pomiernie i częściowo rozwiązać taka sprawa! Pomyśl pan — w tak małym lokalu tak wielka sprawa! Mógłbym osuszyć wodę z kubka, bo, ostatecznie, mógłbym — lubo z przykrością — wypić ją. Lecz osuszyć jezioro, morze, ocean... W tej zaś sprawie jest ocean potrzeb. Pan nie zastąpisz komuś uczelni mniejszej, średniej lub większej; nie zastąpisz jakichś zasypanych, czy zagrodzonych źródeł, krynic, zdrojów; nie zastąpisz najbliższego otoczenia „zabłąkanej myśli“; pan nie sprawisz, aby zniknęła przyczyna — to najważniejsze — przyczyna tak nie-normalnego zjawiska, iż ktoś zaciekawiony, ile będzie dwa razy dwa, nie znajduje odpowiedzi gdzieś tuż, blisko, lecz musi dopiero wypisać swe pytanie na papierze i w zapieczętowanej kopercie posłać do redakcji — i ubiera to pytanie w najdziwaczniejszą formę, sonetu, lub lichu wie czego. Przypuśćmy nawet, że chcesz zastąpić wszystko, czego spółczesność, wielce poplątana, odmawia pytającym i zabłąkanym myślom, lecz czy pewny jesteś, iż w każdym wypadku starczy ci kompetencji? Bo —

mówiąc między nami — segregowanie rękopisów „na prawo i na lewo“ nie wymaga znów tak wielkiego przygotowania; wystarczy być kawałkiem literata i czas jakiś popracować „w książkach i literaturze“, jak inni „w perkalikach i towarze galanteryjnym“. Ale odgadnąć, co gnębi, udręcza i wykoszlawia czyjąś myśl; zbłąkaną naprowadzić na jej ścieżkę, pytającej odpowiedzieć — do tego nie zawsze wystarczą dobre chęci i polor literacki. Porobisz pan trochę w tej branży, to i dowiesz się — czego to od pana nie będą żądali, o co dopytywać się nie będą...“

I wywróżył puszczyk! Już w ciągu trzeciej godziny pracy referent uczuł się podrażnionym. W naszych czasach wielkiej nerwowości a małego uspołecznienia i małej etyki, rozdrażnienie gra olbrzymią rolę, wiodąc się za rękę z samozachowawczym instynktem. „Trzeba, żebyś się wyładowało — mówi ten ostatni — bo rozdrażnienie niewyładowane, zdławione, prowadzi prosto do Tworek!“ Otóż i referent, gdy już zakrakano jego proste, ludzkie poczucie, poczyną wyładowywać swe podrażnienie, wymyśla zbłąkanym myślom, fuka na nie, wydrwiwa je, czyni z nich dla siebie i innych igraszkę.

Biedne myśli zabłąkane, myśli pytające. Nie tylko nad biurkiem referenta — was wszędzie pełno! Jakimś bezsilnym, opadającym lotem krążycie — zawsze bez celu, zawsze bez świateł. Ale nie ustawajcie: odpędzą was — wróćcie; każą wam milczeć — krzyczcie tym głośniej. Niech krzyk wasz będzie wielki, niech będzie głośny...

R. 1905.



## W SUROWEJ SZKOLE.

Surową szkołą jest nieszczęście — ale szkołą, nie zaś tylko szafotem. Czym ogień dla stali, tym są dla ducha ślepe a zawzięte, głuche i zapalczywe uderzenia rozpętanych potęg losu. Rana będzie koło rany i miejsca już zda się nie zostanie dla nowych ukąszeń, a patrz — ze skrzepu krwi powstaje na ciele pan-cerz tak twardy, iż na nim zjadliwe kły losu się wyłamują. Otoś utracił oko — lecz drugim nie przestajesz ścieżek prawdy szukać; oba ci wyłupiono, a już myśl twoja, rozpraszając mroki ślepoty, całuje dalekie świtanie sprawiedliwości. Oto ci ucięto rękę — drugą ujmujesz swój sztandar; krew ci utoczono wszystką, pobiełały twe usta, śmierć wyławia z nich ostatnie tchnienie. Cóżeś szeptał? Skargę, — czy żale? „Czyńcie dalej dzieło moje“ — ten jest twój szepc ostatni. Boś w surowej był szkole.

I dzieło jest dalej czynione bez wytchnienia.

Przychodzą nowe zastępy i dobrowolnie, kołaczą do zapartych posepnych wrót, nad którymi widnieje napis:

„Tu uczą się cierpieć“.

Przed kim otworzy swe podwoje ta surowa szkoła, [ten albo żyw z niej nie wyjdzie,] albo wyjdzie — człowiekiem. Którzy ominęli ją z zaciśniętym od strachu sercem, których ona za godnych wstępu nie uznała — ludźmi nie są i nie będą. Nie masz człowieka bez cierpień. I więcej — nie masz człowieka, jeśli otwarte dla cierpień łożysko jest tak wazkie i płytke, iż płyną nim tylko własne, osobiste zgryzoty. Świat, w którym się rodzi człowiek, jest przestrzenią zupełnie wolną, nie znającą przegród, zapór, podziałów — przestrzenią, w której duch może uczuć całą moc swej preżności i roztrzaskawszy nikczemne korytko, do jakiego ściekają kropelki uczuć, upragnień i zawodów jego, jako jednostki — obcować, ogarniać, spólczyć z wszystkim, co żyje.

Jeśli taki świat cię nęci — nie łudz się, byś mógł doń wejść

ominąwszy progi surowej szkoły. Tam ci powiedzą, iż zdolność odczuwania bólu i rozkoszy daną ci jest, byś z niej uczynił most dla łączności z wszelką inną żywą istotą. Kłamia, którzy mówią: przetrząsnęliśmy oczami głębie dusz ludzkich tak samo, jak wnętrze ciała ludzkiego. Kłamstwo! Ból i rozkosz nie jest do poznania poza nami; musimy własną duszę pogłębić, olbrzymio pogłębić, by w niej obrazy innych dusz wystąpić mogły.

Jest na uboczu, zdala od jasnych, roześmianych radością życia dolin, do których tłoczą się żądni szczęścia — studnia głęboka, niezbadana, tajemnicza, o której dziwne krążą opowieści.

Ciekawi, oparłszy się na zrębie, zatapiają wzrok w głąb przepaścistą, ciemną, zionącą stęchłym zaduchem; jedni widzą — lub zdaje im się, że widzą — ogniki, tańczące po czarnej powierzchni wody, inni — jakieś kształty skłębione i dziwaczne; znowu inni przysięgnąć gotowi, iż głosy a raczej wycia przeciągłe, stłumione i żałośnie stamtąd wychodzą. Ach, jakżeż mało wiedzą o tajemnicach studni ludzie, którzy ją badają oparci o zrąb jej, wystający nad ziemię!

I ci niewiele więcej się dowiedzieli, którzy z zachowaniem tyśiącznych ostrożności, na sznurach, opuścili się pobrawszy z sobą latarki. Cóż widzieli? Blask ich latarki uczynił jeszcze bardziej nieprzeniknionym mrok pod nimi; dostrzegli tylko na przegniłych ścianach studni nieco mchu i pleśni, którą pokazywali potym ze śmiechem: Oto tajemnica!

Bracie mój, jeśli, stanąwszy nad tą studnią, sercem przeczułeś że ona wiedzie do pieczar niedoli ludzkiej, jeśliś odgadł, iż tam gdzieś, w zimnym i stęchłym podziemiu, męczą się żywi — wiem, bracie mój, co uczynisz, choćbyś był sam, bez pomocy, choćby nie było dla ciebie sznurów ratunkowych — skoczysz bez namysłu, z otwartemi oczami.

I oto nogi twoje zapadły w grząskie, ohydne mokradło, pociągające cię coraz głębiej; straszliwa woń rozkładu tamuje ci oddech, w pomroce widzisz potwory, ohydny i widma, splotami

wężowemi duszące ludzi; na własnej piersi uczuwasz lepkie i wstrętne dotknięcia — to macki głowonogów nędzy i występku. Spoglądasz ku górze — tam, nad otworem studni, skrawek błękitu niebios. Ileż szyderstwa i natrzęsania się w jego czystości i jasności! Czujesz wreszcie, iż giniesz, ręce twe w kurczowym, strasznym napięciu wpijają się palcami w śliską ścianę studni. Usta twe, wtórując chrapliwym głosem, kłębiącym się w ciemności, roztwierają się okrzykiem: Ratunku!

Bracie mój, gdy ty powrócisz na promieniejące radością życia polany, powiem tobie:

Wierzę — iż poznałeś Wiedźmę-Niedolę i jej ciemne królestwo; tak, teraz wierzę ci, iż je poznałeś.

R. 1905.





## SPIS RZECZY.

---

### I. NOWELE:

DRZEWA.	1
CZYJAŻ ONA BYŁA?	24
OBOK ZAULKA.	31
PALUCHOWIE.	41
HIERONIM RUDDER.	58

### II. MYŚLI:

IMIENNI	97
POWIEŚCI WALERJI MARRENÉ	102
CZŁOWIEK Z NIZIN.	107
PRZEOCZENIA.	115
JUBILEUSZ MARZENIA.	120
ŚRÓD PRZYCZYN I SKUTKÓW	125
MYŚLI PYTAJĄCE.	131
W SUROWEJ SZKOLE.	136

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

**Telex** 26-68-63, 26-52-31 w. 42

# Księgarnia G. Centnerszvera i Ski w Warszawie

ul. Marszałkowska l. 143, telefon 4064.

Poleca następujące wydawnictwa nakładowe i komisowe:

- W. Bölsche.** — Miłość w przyrodzie, broszur. rub. 2'50, oprawn. 3'—  
**St. Brzozowski.** — Studium o Żeromskim rub. '50.  
**Wilhelm Feldman.** — Młoda Polska. Wybór poezyi, broszur. rub. 2'50  
oprawn. 3'25.  
**J. H. Lewes.** — Historia filozofii starożytnej. Przekład A. Dy-  
gasińskiego, broszur. rub. 1'—, oprawn. 1'50.  
**G. Maier** — Prądy i teorye społeczne, broszur. rub. 1'—, opr. 1'50.  
**A. Neuwert Nowaczyński.** — Smocze Gniazdo (Dyabel Łańcucki),  
broszur. rub. 2'40, kart. 2'70, perg. jap. 2'90.  
**E. Renan.** — Żywot Jezusa, broszur. rub. 2'50, oprawn. 3'10.  
**P. Verlaine.** — Poezye, broszur. rub. 1'—, oprawn. 1'50.  
**O. Wilde.** — Opowiadania, broszur. rub. 1'50, oprawn. 2'—.  
**K. Wroczyński.** — Circenses. — Poezye, broszur. rub. —'90,  
oprawn. 1'30.  
**Nal i Damayanti.** — Poemat staroindyjski w przekładzie A. Lan-  
gego. Ilustracya J. Bukowskiego, broszur. rub. 1'80, karton. 2'10.  
**Fryderyk Nietzsche.** — Tako rzecze Zaratustra. Cztery części.  
Przełożył Wacław Berent, wyd. zwykle rub. 3'—, w oprawie 3'50,  
wytworne w 25 num. egz. 7'50.  
**Fryderyk Nietzsche.** — Poza dobrem i złem przełożył Stanisław  
Wyrzykowski wydanie zwykle rub. 2'—, w oprawie 2'50, wytworne  
w 10 num. egz. 5'—.  
**Fryderyk Nietzsche.** — Z Genealogii moralności przełożył Leo-  
pold Staff wydanie zwykle rub. 2'—, w oprawie 2'50, wytworne  
w 10 num. egz. 5'—.  
**Fryderyk Nietzsche.** — Dytyramby dyonizyjskie przełożył  
Stanisław Wyrzykowski, wydanie zwykle rub. —'60, w oprawie 1'10,  
wytworne w 10 num. egz. 1'35  
**Fryderyk Nietzsche.** — Zmierzch Bożyszcz przełożył Stanisław  
Wyrzykowski, wydanie zwykle rub. 1'20, w oprawie 1'70 wytworne  
w 15 num. egz. 2'75.  
**Fryderyk Nietzsche.** — Wiedza radosna przełożył Leopold Staff  
wydanie zwykle 2'50, w oprawie 3'—, wytworne w 15 num.  
egz. 6'—.  
**Portret Fryderyka Nietzschego,** akwaforta oryginalna Franciszka  
Siedleckiego na papierze grubym 1'—, japońskim 3'—  
**Wacław Berent** — Źródła i ujęcia Nietzscheizmu broszur.  
rub. —'80, oprawn. 1'30.  
**Romuald Minkiewicz.** — O pełni życia i o komunie duchowej  
broszur. rub. —'60, oprawn. 1'—.  
**Żywot chłopu polskiego** w pierwszej połowie XIX stul. broszur.  
rub. —'60, oprawn. 1'—.  
**St. Karpowicz.** — Ideały i metoda wychowania społecznego,  
rub. —'60.  
**J. Schlaf.** — Wiosna. Przekład Stanisława Przybyszewskiego, broszur.  
rub. 1'—, oprawn. 1'50.  
**F. Brodowski.** — Drzewa, broszur. rub. 1'—, oprawn. 1'50.

THE HISTORY OF THE  
CITY OF BOSTON  
FROM 1630 TO 1880

1630	1631	1632	1633	1634	1635	1636	1637	1638	1639	1640	1641	1642	1643	1644	1645	1646	1647	1648	1649	1650	1651	1652	1653	1654	1655	1656	1657	1658	1659	1660	1661	1662	1663	1664	1665	1666	1667	1668	1669	1670	1671	1672	1673	1674	1675	1676	1677	1678	1679	1680	1681	1682	1683	1684	1685	1686	1687	1688	1689	1690	1691	1692	1693	1694	1695	1696	1697	1698	1699	1700	1701	1702	1703	1704	1705	1706	1707	1708	1709	1710	1711	1712	1713	1714	1715	1716	1717	1718	1719	1720	1721	1722	1723	1724	1725	1726	1727	1728	1729	1730	1731	1732	1733	1734	1735	1736	1737	1738	1739	1740	1741	1742	1743	1744	1745	1746	1747	1748	1749	1750	1751	1752	1753	1754	1755	1756	1757	1758	1759	1760	1761	1762	1763	1764	1765	1766	1767	1768	1769	1770	1771	1772	1773	1774	1775	1776	1777	1778	1779	1780	1781	1782	1783	1784	1785	1786	1787	1788	1789	1790	1791	1792	1793	1794	1795	1796	1797	1798	1799	1800	1801	1802	1803	1804	1805	1806	1807	1808	1809	1810	1811	1812	1813	1814	1815	1816	1817	1818	1819	1820	1821	1822	1823	1824	1825	1826	1827	1828	1829	1830	1831	1832	1833	1834	1835	1836	1837	1838	1839	1840	1841	1842	1843	1844	1845	1846	1847	1848	1849	1850	1851	1852	1853	1854	1855	1856	1857	1858	1859	1860	1861	1862	1863	1864	1865	1866	1867	1868	1869	1870	1871	1872	1873	1874	1875	1876	1877	1878	1879	1880
------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------

















F  
350